

Anchee Min

# Katherine



Powiedziała, że ma na imię Katherine, co po chińsku brzmi jak *Kan-si-ren*, czyli „Zabić Trupa”. Dlatego właśnie utkwilo mi ono w pamięci.

Imiona mają dla Chińczyków ogromne znaczenie, ponieważ wierzą oni, że dobre imię zwiastuje dobre życie. Podobało mi się imię Katherine — brzmiało dziwacznie, arogancko, a zarazem śmiesznie. Moim kolegom i koleżankom też się podobało. W głębi duszy bowiem wszyscy chcieliśmy stać się kimś innym, niż byliśmy. Katherine uosabiała właśnie ową inność, począwszy od tego jej cudacznego imienia. Dzięki niej dostrzeżliśmy możliwość buntu, szansę odróżnienia się od pozostałych.

Nasze wargi artykułowały precyzyjnie „Zabić Trupa”, *Kan-si-ren*, Katherine. Delektowaliśmy się brzmieniem jej imienia. Wymowa nie była trudna — aby osiągnąć właściwy dźwięk, musieliśmy szeroko otwierać usta jak przy ziewaniu”. Katherine, „Zabić Trupa”.

Niesamowite. Bawiło nas wypowiedzanie tego imienia. Zwykliśmy wyobrażać sobie, że wieje od niego grozą. Zresztą lubiliśmy wyobrażać sobie wszystko, co wiązało się z jej imieniem — legendę zachodniego świata.

Powiedziała, że przede wszystkim chciałyby się od nas dowiedzieć, co oznaczało dorastanie w czasie „rewolucji kulturalnej”. Była bardzo poruszona. Czuliśmy się dziwnie, bo zawsze wbijano nam do głowy, że okazywanie uczuć jest rzeczą godną pogardy. Pouczano nas, że z uczuciem można mówić tylko:

„Kocham Cię, przewodniczący Mao”. Nigdy: „Kocham cię, mamó” czy

„Kocham cię, tato”. Słowo *namiętność* oznaczało w naszym słowniku oddanie komunizmowi i lojalność wobec niego. Wszelkie inne uczucia uznawano za truciznę dla duszy. Skoro więc straciliśmy wiarę w ludzkość, nasze umysły ziały pustką.

Jak powiedzieć naszej przybyłej z Zachodu nauczycielce, że odwróciliśmy się od przeszłości; jak przekonać, że cały czas staramy się zapomnieć o tym, że donosiliśmy na siebie, walczyliśmy ze sobą i się mordowali? „To nie była nasza wina” — zapewniliśmy. Jednym głosem, chóralnie wykrzyknęliśmy: „Jesteśmy niewinni!”.

Partia głosiła, że również przewodniczący Mao nie ponosił winy, ktoś inny zawinił, ktoś z niższego szczebla, na przykład ta suka Madame Mao, Jiang Qing. Ona sprawiła, że nasze życie stało się udręką. Otrzymała jednak wyrok śmierci, co oznaczało dla nas uwolnienie się z pęt.

Kroczyliśmy znów drogą ku wiecznej szczęśliwości. Jak więc mamy wytłumaczyć Katherine ów nonsens?

Czuliśmy się chorzy, nasze ciała były niczym tknięte paraliżem, a trzeba było oddychać i żyć. Walka o komunizm zakończyła się klęską.

*Bin-baj-ru-shan-dao* — nasze dywizje rozpadły się niczym góra w czasie trzęsienia ziemi. Próbowaliśmy budować nowe życie, lecz nasza znajomość świata ograniczała się do Rosji, Albanii i Korei Północnej, ongiś towarzyszy broni. Zwykliśmy sądzić, że istniejemy tylko po to, by eliminować kapitalistów, tymczasem z dnia na dzień staliśmy się ich partnerami. Nasi nowi przywódcy występowali w telewizji ubrani w zachodnie garnitury, nie nosili już granatowych mundurków Mao.

Wszystko wyglądało jak karykatura, nikt jednak o nic nie pytał, bo nikt nie chciał trafić do więzienia.

Gazety wciąż głosiły, że bez Chin świat czeka katastrofa. — Na przykład głodujący człowiek, który uderza się po twarzy, by spuchła i by przez to wyglądał na lepiej odżywionego — powiedział mój ojciec, siedząc na nocniku i nadymając się, by wydusić z siebie twarde kupsko. — Fakt jest faktem, że albo Chiny otworzą się na świat, albo imperialiści sami sobie utworzą drogę. Koniec kropka.

— Zamknij jadaczkę! — krzyknęła matka, która w kuchni siekała fasolkę.

Leżąc na łóżku, rozmyślałam o Katherine, cudzoziemce, jednej z tych, do których, jak mnie uczono, powinnam strzelać.

Wschodniomorski Instytut Języków Obcych znajdował się w zachodniej części Szanghaju, czterdzieści pięć minut jazdy rowerem od mojego domu. Szkoła, zbudowana w stylu wielkosocjalistycznym, miała służyć klasie robotniczej. Komitet Centralny Partii żądał, by wśród studentów byli prawdziwi robotnicy, chłopci i żołnierze.

W 1982 roku miałam dwadzieścia dziewięć lat; przydzielono mnie do grupy specjalnej studiującej język angielski. Łączyłam naukę z pracą: jednego dnia chodziłam do szkoły, a drugiego stałam przy taśmie montażowej Zakładów Zwycięskiej Drogi. Zarabiałam miesięcznie czterdzieści juanów, około pięciu dolarów amerykańskich. W fabryce pracowało pięciuset robotników. Z powodu silnie skażonego powietrza musieliśmy nosić maski chirurgiczne. Mieliśmy do czynienia z toksyczną substancją chemiczną, zwaną „woda bananowa”. Jako rekompensatę rząd przydzielał nam kupony na mleko.

Znowu znalazłam się w moim rodzinnym mieście, Szanghaju, lecz mimo to czułam się bezdomna. Dzieliłam z rodzicami i bratem dwupokojowe mieszkanie przy ulicy Leśnej, w samym centrum. Niewiele ze sobą rozmawialiśmy. Wychodziliśmy z domu rano, a wracaliśmy wieczorem ledwo żywi ze zmęczenia.

Matka gotowała nam kolacje. Starła się używać możliwie najmniej oleju z orzeszków ziemnych, mimo to zawsze w środku miesiąca zapas się kończył. Oboje rodzice nieustannie naradzali się, jak by tu jeszcze bardziej oszczędnie gospodarować.

Ojciec mówił o sobie, że jest eksprzedawcą. W gruncie rzeczy był ekswięźniem. Rząd potrzebował aż dwudziestu lat, aby uznać, że jest niewinny. Potem ojciec nie potrafił już z nikim znaleźć wspólnego języka i wszystko dokoła go mierziło. Albo udawał, że jest ślepy i głuchy, albo wpadał we wściekłość. A wtedy rzucał we mnie lub mojego brata filizankami bądź butami.

— Dalej, zrań własne dzieci! — krzychała matka, odciągając nas z zasięgu jego rąk. — Zabij je, oszczędzisz rządowi dwóch pocisków!

Czasami przy kolacji matka próbowała nawiązać rozmowę z moim bratem, pytała go, co mu się dziś przydarzyło na trasie. Brat, liczący sobie trzydzieści cztery lata, kierowca autobusu, odpowiadał: „Chciałbym mieć dość siły, by popełnić samobójstwo”. Albo: „Miałem dziś rano przejechać tego policjanta o tłustym tyłku”. „Och, dzięki Ci, Buddo z Gór Połu-dniowych — mówiła matka — za kolejny pomyślny dzień”. Ojciec w takich wypadkach syczał: „Zwierzęta!”. Przeważnie jednak wpatrywaliśmy się podczas posiłku w końce naszych pałeczek.

Żał mi było ojca. Cierpiał na raka jelit. Połowę jelit miał wyciętą, wszyto mu wewnątrz plastikowe rurki, wyłysiał wskutek naświetlania. Ciężko było z nim wytrzymać w jednym mieszkaniu, ale nie wyobrażałam sobie życia bez niego.

Pozmywaliśmy z bratem naczynia i szybko znaleźliśmy wymówkę, żeby się ulotnić. Za drzwiami nasze drogi się rozeszły. Nie wiedziałam, dokąd on chodzi; nigdy go o to nie pytałam, ponieważ nie chciałam, żeby z kolei on zadawał mnie takie pytania. Prawdę mówiąc, zazwyczaj nie wiedziałam, dokąd się udam. Najczęściej wędrowałam bez celu ulicami.

Obserwowałam przewalający się tłum z podłym uczuciem odrętwienia i wyobcowania.

Szanghaj, zamieszkały przez czternaście milionów, jest niczym monstrualny, buzujący tygiel. O każdej godzinie dnia ulice są zatłoczone.

Wielu spośród tych ludzi, podobnie jak ja, nie ma własnego kąta. Inni przyjechali z odległych wsi w poszukiwaniu pracy; za zarobione pieniądze kupią sobie prawo stałego pobytu w mieście. A gdy wydadzą całą forszę, będą zmuszeni sprzedawać własną krew, własne ciała, nawet własne dzieci. Do Szanghaju ciągną ludzie zdesperowani, ryzykując życie.

Charakterystycznym zapachem Szanghaju jest skondensowana woń ludzkiego potu. Gdy się idzie głównymi ulicami, nie sposób się o siebie nie ocierać. Szanghaj jest tworem Mao. Ilustruje jego wyobrażenie o idealnych Chinach — „w ilości siła”. Nasi rodzice odpowiedzieli na apel Mao, by uczynić Chiny krajem nie do pokonania, niezwyciężonym, i tak oto zostaliśmy poczęci. Z racji słabego zdrowia mojej matki trzecie i czwarte dziecko nie przyszło na świat. Matce czyniono zarzut, że nie jest „ciążową aktywistką”.

Już w przedszkolu rozumiałam, że jestem zaledwie kroplą w oceanie.

Jedną z miliardów. Dorastając uczyłam się chodzić jak łasica, klucząc między lasem ud na zatłoczonych ulicach. Jeśli w deszczowy dzień uderzyłam kogoś przypadkiem szpicem mojej parasolki, nigdy z moich ust nie padły słowa przeprosin; gdybym za każdym razem mówiła „przepraszam”, w ogóle nie mogłabym chodzić ulicami miasta. Poza tym nikt nigdy nikogo nie przepraszał. Ludzie zdążyli już się do tego przyzwyczaić.

1982 był rokiem zapaści, która ogarnęła cały naród. „Niczym ostra strzała u końca swego lotu”. Tak moja matka charakteryzowała Wielką Proletariacką Rewolucję Kulturalną i dodawała: „Nie sposób odmienić *feng-shui*, biegu losu”.

Wyczułam w tych jej słowach coś w rodzaju ulgi. Mówiła, że jest weteranem wojny życia, że jest gotowa złożyć broń. Patrzyłam na nią i myślałam, że ów akt rezygnacji to całkiem dobry pomysł. Cóż bowiem jej pozostało? Miała pięćdziesiąt cztery lata, twarz przypominającą przejrzały melon, pomarszczony i popękany. Podobnie ojciec. Oboje byli bardzo, bardzo zmęczeni.

Ulicami przejeżdżały autobusy, rowerzyści, tłoczyli się przechodnie i policjanci kierujący ruchem. Panował nieustający wrzask, jakby szczekała sfora psów. Po chwili nic już jednak nie słyszałam. Tłum przelewał się przed moimi oczami jak na niemym filmie, a ja płynęłam z nim w rozmytym świetle, nie czując ciężaru własnego ciała.

Chodziłam tak aż do zmroku, buty miałam całe pokryte kurzem. Myśl o przyszłości przynębiała mnie. Należałam do „zwichniętego pokolenia”; przeszłość postarzyła mnie przedwcześnie, ale mimo to byłam za młoda, by się poddać, ulec fatalizmowi. Po latach uwielbiana komunizmu warunki mego bytu pozostały nie zmienione: mam przestrzeń życiową niczym świnia w zagrodzie, łóżka bambusowe niezmiennie skrzypią, nocnik śmierdzi, a kolejki do sklepów są tak samo długie. Wczorajsi reakcyjniści jeszcze żyją; niektórzy mieszkają obok nas i śmieją się teraz ze mnie — ze mnie, która jako dziecko, z opaską Małego Czerwonego Gwardzisty, wrzeszczałam, że powinni być żywcem spaleni i pożarci. Z ich pomarszczonych ust wydobywa się złowieszczy szept: „Zęby ludzi zrodzonych w kraju, w którym króluje zaciekłość, zdolne są zagryźć wroga na śmierć”. Boję się ich teraz.

Mapa Wschodu była naznaczona czerwonymi punktami; obecnie wygląda jak krwawa plwocina gruźlika. Nasz Ojciec, Wielki Przewodniczący Mao, leżący teraz w mauzoleum pod kryształowym sklepieniem niby mumia z pradawnych czasów, oznacza trwanie. Nadal istnieje Partia Komunistyczna, a portret Mao wciąż góruje nad placem Tian'anmen. Co się zatem stało?

Napis „Zebra Wong — dobre dziecko Mao” widniał na świadectwie z wyróżnieniem, jakie otrzymałam w szkole podstawowej.

Miałam siedem lat i rozpierała mnie duma. Każdego ranka, gdy modliłam się o długie, najdłuższe życie dla przewodniczącego Mao, oczy napędliały mi się łzami.

Moim największym marzeniem jako nastolatki było umrzeć za Mao.

Podobne uczucia żywiły wszystkie dzieci w naszej szkole. Śniliśmy, że dana nam będzie szansa złożenia takiej ofiary — czy to podczas wojny w Wietnamie, toczonej przeciwko Stanom Zjednoczonym, czy przy granicy ze Związkiem Radzieckim, gdy będziemy wystawiać naszą rozplomienioną pierś na ogień broni maszynowej, czy choćby na ulicy przy próbie ratowania dziecka przed kołami autobusu. Na cześć Mao zrobilibyśmy dosłownie wszystko.

Szesnaście lat po rewolucji pytaliśmy siebie, dlaczego, skoro pracowaliśmy tak ciężko, z takim radosnym zapałem, dlaczego teraz jesteśmy tacy nieszczęśliwi?

Mieliśmy żal do komunizmu za to, co zrobił z naszym życiem, ale od Mao uciec nie potrafiliśmy. Nie potrafiliśmy uciec od mitu. Wierzyliśmy bowiem w to, że on nas stworzył. Byliśmy jego duchowymi potomkami: nosiliśmy w sobie jego geny. Krew, którą przetaczały komory naszych serc, była jego krwią. Nasze mózgi wypełniały jego myśli. I choć owo dziedzictwo rozwścieczało nas, nic nie mogło przekreślić faktu, że zostaniemy na zawsze jego dziećmi.

Obecny rząd rozczarował nasze pokolenie. W dzisiejszym kapitalistycznym świecie wczorajsza sława i chwała wprawiała nas tylko w zakłopotanie. Nie mieliśmy odpowiedniego wykształcenia. To, co pisaliśmy, brzmiało jak cytaty z Mao, a stawiane znaki były nieporadne i brzydkie. Czyż jednak mogliśmy zapomnieć o plakatach z fragmentami z Czerwonej Książeczki Mao, na które zużyliśmy tysiące buteleczek czarnego atramentu? W które wpisana została cała nasza młodość?

Pomiędzy siódmym a osiemnastym rokiem życia uczyłam się, jak być uczciwą komunistką, ot i cała moja edukacja.

Czciliśmy Mao i jego nauki. Był jak Budda — nie oczekiwaliśmy, że wszystko od razu zrozumiemy. Wierzyliśmy natomiast, że jeśli całe życie będziemy studiować jego dzieła, w końcu doznamy olśnienia.

Chińczycy powiadają: „Jeżeli ojciec jest szczurem, to syn potrafi tylko kopać dołki”.

Zrozumieliśmy, że wychowano nas na krętaczy, oszustów, i nie mogliśmy dłużej ukrywać tej prawdy. Nauczyliśmy się sztuki przeżycia poprzez walkę. Nauczyliśmy się nikomu nie ufać; działaliśmy niczym bezduszne roboty, nasze dusze wypełniał mrok; nie zadawaliśmy żadnych pytań. Wmówiliśmy sobie, że łyż to tylko siki niesfornych małp.

Ogłoszono oficjalnie, że Wielka Proletariacka Rewolucja Kulturalna zakończyła się w roku 1980. Stałam się zatem byłą rewolucjonistką; ów status dzieliły ze mną miliony ludzi.

Przewodniczący Mao mówił o sobie, że jest sługą narodu, ale był właściwie kolejnym cesarzem. Przez dwadzieścia siedem lat robił nam wodę z mózgu. Nasze umysły były słojem z maoistowską wieprzowiną, zamarynowaną w liczącym sobie pięć tysięcy lat feudalnym sosie sojowym. Owa nadpsuta mieszanka produkowała generację śmierdzących zgnilizną myśli. A te myśli mnożyły się niczym bakterie.

Począwszy od 1976 roku, śpiewaliśmy pieśni na cześć przewodniczącego Mao; teraz zaś śpiewamy pieśń żałobną dla naszych dusz. Białe strofy elegijne wibrowały w podmuchach wschodniego wiatru, przesłaniając całe niebo Państwa Środka. Łzy smętnych duchów spadały wraz z deszczem i zasalały glebę, wysuszając korzenie wiosny.

Pewnego dnia, wiosną 1982 roku, nastąpiła ta historyczna chwila, kiedy różowe peonie rozwarły swe czułe wargi, by ucałować wieczorną rosę, kiedy jaskrawozielone liście wyciągnęły swoje małe rączki, aby uchwycić łagodny wiosenny wiatr, kiedy to ona przybyła do nas z Ameryki...

Była istotą z innego świata. Władze szkolne nie kontrolowały zachowania Katherine, niech robi, co chce, wszak nie jest Chinką. Wszyscy się jej przyglądaliśmy. Utożsamialiśmy ją z Ameryką. Począwszy od roku 1980, szkoła zapraszała grupy cudzoziemskich nauczycieli, ale byli to na ogół starsi panowie i panie. Po zajęciach nie wdawali się w rozmowy ze studentami — znali zasady. Lecz nie Katherine. Ona była nowa.

Zastanawiałam się, jak to się stało, że chińskie władze ją zaakceptowały.

Cała w kolorze cynobru. Jej uszminkowane na czerwono wargi wprawiły nas w zakłopotanie. Pojawiła się w naszym życiu niczym gwiazda wieczorna, w całkowitej harmonii z naturą, i zanim to sobie uświadomiliśmy, zawładnęła naszymi umysłami. Kurtyna nocy opadła.

Wszelkie odgłosy ucichły. Powietrze stało się miękkie jak jedwab. Leżąc w łóżku, myślałam o Katherine, o jej czerwonej szmince. Kasztanowe włosy, oczy rysia, ciało węża — piękny cudzoziemski diabeł.

Dwukrotnie powtórzyła nam swoje imię. Katherine —jakaś-tam, Katherine Święta — jakaś-tam. Po chińsku brzmiało to jak nie przymierzając „wszystkiego dobrego”. Katherine Wszystkiego Dobrego.

Nieważne, jakie nosiła nazwisko. Chińczycy nie zwracają sobie głowy imieniem, które zawiera ponad trzy sylaby. Toteż przyswoiliśmy sobie pierwsze trzy: *Kan-si-ren*. Poprosiła, wyraźnie zatroskana, żebyśmy powiedzieli, co znaczy po chińsku jej imię. Uśmiechnęliśmy się, spieszyła nas ta prośba. Milczeliśmy. Ale ona nie dała za wygraną. Ktoś powiedział wreszcie cichym głosem, że jej imię znaczy „Zabić Trupa”.

Zaśmiała się tak, że aż łzy ukazały się w jej oczach. Taki śmiech.

Serdeczny. Wybuch śmiechu. Zdziwiło nas to. Nikt w Chinach nie śmiał się w ten sposób. Serce waliło mi jak szalone, ogarnęło nas dziwne, niesamowite podniecenie.

Wyjaśniła, że w tym sęk, iż nie potrafimy poprawnie wymawiać jej imienia. Głoski „th” nie należy wymawiać jak „tsi”.

Próbowaliśmy ze wszystkich sił. Niektórzy nasi koledzy studiowali angielski przez całe lata; a uczyli ich ci sami nauczyciele, którzy uczyli rosyjskiego. Katherine nie rozumiała, co oni mówią. W końcu któryś z nas jej wytłumaczył, że w naszym języku nie ma głoski „th”.

— Ale musicie się tego nauczyć — oświadczyła. — Ponieważ nie życzę sobie, byście mnie, swoją nauczycielkę, nazywali „Zabić Trupa”.

Nie mogliśmy oderwać od niej oczu. Obca twarz, można powiedzieć produkt „made in America”. Zachwyciliśmy się i zostali zniewoleni jej śmiechem, potrzebowaliśmy go. Poprosiła, żebyśmy coś przeczytali.

— Wybierzcie coś, co wam odpowiada — powiedziała. Wyrecytowałam poemat, który pamiętałam ze szkoły średniej:

— Przewodniczący Mao, och, przewodniczący Mao, jesteś czerwonym słońcem naszych serc...

Urwałam, gdy usłyszałam jej śmiech. Przeprosiła mnie, mówiąc, że nie może tego znieść. Zapytała, w jaki sposób uczyłam się angielskiego.

Odparłam, że przyswajałam sobie dźwięki, kojarząc je z tym, co oznaczają po chińsku. Na przykład „czerwone słońce naszych serc” brzmi w naszym języku jak „wielka małpa w moich butach”. Zapytała, ilu z nas stosuje tę metodę. Wyjaśniliśmy, że większość. Znowu się roześmiała.



Jej bezpośredniość poruszyła nas do głębi. Stężałe mięśnie naszych twarzy zaczęły drgać niczym lekko falujące morze. Zaczęliśmy się śmiać razem z Katherine, potem z niej, a potem z siebie. I tak w naszych umysłach rozpoczęła się rewolucja — od jej śmiechu.

Następnym posunięciem było nadanie nowej nauczycielce dobrego chińskiego imienia. Zapytaliśmy ją, co lubi najbardziej, jakie rośliny, kwiaty. Powiedziała, że uwielbia peonie. Odważna, pomyślałam. Przeczytałam potajemnie klasyczny dramat z epoki dynastii Ming, autorstwa Tang Xian-zu, zatytułowany „Pawilon peonii” oraz książkę napisaną przez Wong Fu-shi „Historia zachodniego pokoju” — i w obu tych dziełach peonia oznaczała sekretne spotkanie w ogrodzie, była symbolem szlachetnej namiętności i pożądania. Zastanawiałam się, czy Katherine zna te dzieła.

Gdy zapytała nas, co wiemy o Ameryce, odparliśmy, że to kraj kapitalistyczny, w którym panuje wyzysk człowieka przez człowieka, choć już wtedy mieliśmy co do tego niejaki wątpliwości. Za dziecinnych lat wbijano nam do głowy, że ludzie w Ameryce chodzą w łachmanach, a dzieci cierpią głód. Co pozwalało nam się cieszyć, że mieszkamy w Chinach. W końcu byliśmy pod ochroną partii komunistycznej. Za Wielkim Murem.

Zapytała nas, czy podobne wątpliwości, jak te historie o Ameryce, budzi w nas komunizm.

Nikt nie kwapił się z odpowiedzią. Katherine musiała się domyślić, że to strach spowodował, iż milczeliśmy.

— W porządku — powiedziała — nie ma rozmów o polityce.

Nigdy w życiu nie zetknęłam się z człowiekiem Zachodu. Widziałam tych ludzi tylko na obrazkach. Wyglądali groźnie. „Musimy poznać język wroga, by wygrać z nim walkę” — tak brzmiała nauka Mao. Było to wydrukowane na okładkach naszych podręczników, słowników. Dziwne, że tego straszego wroga sprowadzono tutaj, by nas uczył.

Peonia, Katherine, zawładnęła naszymi umysłami. I cieszyliśmy się z tego — co już było niebezpieczne. Okazało się, że Katherine trafiła na podatny grunt — łaknęliśmy tego, co nam ofiarowała. Fakt, że przybyła z Ameryki, świadczył o tym, że należy do innego gatunku ludzi. Ciekawe, jakie miała dzieciństwo, myślałam. Świat pełen pięknych zabawek czy też świat głodu? Żebranie na ulicach o chleb — jak w tej opowieści o dziewczynce z zapalkami, która w wigilię Nowego Roku zamarzyła niemal na śmierć? Czy rodzice Peonii to kapitaliści, czy proletariusze? Czy kupowali jej piękne ubranka, czy też zmuszali do chodzenia w łachmanach i do ciężkiej pracy od najmłodszych lat?

Wspaniale się do nas odnosiła: bez uprzedzeń, w sposób naturalny i bezpośredni. Nie wykryłam żadnych skaz w jej osobowości, które rzutowałyby na stosunek do innych. Skórę

miała gładką, bez śladów po odmrożeniu; plecy proste jak u baletnicy — żadnych oznak ciężkiej pracy w dzieciństwie; ręce szczupłe, długie palce — dowód burżuazyjnego stylu życia. Ja pod każdym względem byłam jej przeciwieństwem: zwichrowana psychika, liczne uszkodzenia skóry, zniewolony umysł i pokiereszowane serce, naznaczenie przeszłością.

Urok Katherine denerwował mnie, a zarazem pociągał. Chciałam ja zapytać: Czy jadłaś psy, węże, a może jedwabniki? Czy spałaś z karaluchami siedzącymi ci na nosie? Dlaczego wybrałaś Chiny? Czy zdajesz sobie sprawę, że stojąc przed nami, uzmysławiasz nam, jacy jesteśmy ułomni, poprzetręciani?

Ruszyła ku katedrze — i to był początek dramatu. Mierzyliśmy ją wzrokiem od stóp do głów. W milczeniu. Trzydzieścioro. Mężczyźni i kobiety o prostych czarnych włosach i żółtej skórze. Spowiliśmy ją tym naszym milczeniem. Obserwowanie jej sprawiało nam przyjemność. Nie zadawaliśmy żadnych pytań. Niech ona zacznie, niech mówi. Ale milczeliśmy czujnie. Patrzyliśmy na jej usta, gdy się odezwała:

— Proszę powtórzyć za mną: Zbliżanie się rewolucyjnej fali...

Rano jej włosy na tle czarnej tablicy wyglądały jak błysk fajerwerku. Około południa natomiast przypominały dużą czerwonawą chryzantemę; zakręcone na końcach — rzecz niewyobrażalna, by włosy Chinek mogły się podobnie układać. Gdy się odwróciła, aby napisać coś na tablicy, mieliśmy okazję nacieszyć wzrok jej szczupłą sylwetką, elegancką suknią o poszerzonych ramionach. Włosy spływały jej falą na plecy niczym morskie wodorosty.

— Powtarzajcie za mną. — Przechadzała się z podręcznikiem w dłoni.

Podeszła do mnie. — „Ludzie umarli nie snują opowieści, towarzyszu sekretarzu partii”. — Spojrzała dziwnie, potrząsnęła głową i roześmiała się. Powtórzyłam za nią.

— „Ludzie umarli nie snują opowieści, towarzyszu sekretarzu partii” — podjęła cała klasa przyciszonymi głosami.

W miarę czytania otwierał się przed nami wszechświat. Słuchaliśmy głosu, ale nie wsłuchiwaliliśmy się w treść.

— „Gdy człowiek krytykuje doktrynę posuwania się do przodu w żółwym tempie, waga problemu wydaje się znacznie przesadzona” — czytała, a my wyobrażaliśmy sobie życie w Ameryce. — „Cały świat powinien popierać kontakty między partiami komunistycznymi...”.

Widziałam statek powietrzny lądujący na jakiejś dziwnej planecie — wielka kula zawierająca zbudowane ręką ludzką miasto; w nim ludzie, samochody, pociągi, samoloty,

poruszające się jak nakręcone zabawki, olbrzymie rośliny o doskonałych kształtach i barwach.

— „Towarzysze muszą wziąć na siebie cały ciężar poskromienia antyproletariackiej propagandy... Im lepiej człowiek zrozumie, jakie przeszkody ma przed sobą, tym łatwiej mu będzie...”.

Rzeczywistość wdarła się w moje marzenia. Oto stoi przede mną Katherine, która wygląda tak samo jak ci, których kazano nam zabijać.

W nieparzyste dni miesiąca chodziłam do pracy. Nienawidziłam jej.

Hałas maszyn atakował mi każdy nerw. Pod koniec dnia cała byłam odrętwiała. Miałam stanowisko w ciemnym kącie hali. Poruszałam się jak automat — brałam kawałek prowizorycznie obrobionego plastyku, wygładzałam go palcami, potem drugą ręką wsuwałam do maszyny, która ucinała nierówne brzegi; zanurzałam go w pojemniku z alkoholem oraz gazoliną. Wyjmowałam plastyk i podkładałam pod elektryczną szczotkę, która czyściła powierzchnię i polerowała; gotowy kawałek wrzucałam do skrzyni. Brałam kolejny... i tak w kółko. Przez osiem godzin.

Po raz pierwszy dzień minął mi szybciej, ponieważ myślałam o mojej klasie i naszej amerykańskiej nauczycielce. Po pracy poszłam do łaźni, żeby następnego dnia w szkole wyglądać schludnie.

Lubiła ubierać się na czarno. Czarny komplet uszyty z dobrego miękkiego materiału; czarna bawełniana koszulka, spódnica z dzianiny, czarna jedwabna bluzka, czarne skórzane buty. Na szyi — czarny ozdobny szal.

Stała jak paw, eksponując sylwetkę, zapraszała nas ruchami, muzyką i żarem swego ciała. Sprawiała naszym oczom niewypowiedzianą wręcz radość. Jako kobieta zazdrościłam jej. Nie miałam się co z nią mierzyć.

Oficjalnie byłam tak zwanym wypożyczonym robotnikiem ze Słoniowych Pól — obozu pracy znajdującego się daleko stąd, w środkowo-zachodnich Chinach, świadczącego usługi dla fabryki Zwycięska Droga w Szanghaju. Otrzymałam prawo pobytu tymczasowego w mieście, ponieważ moje *hu-ko*, czyli karta stałego pobytu, zostało mi odebrane, gdy przed laty zesłano mnie na czas nieokreślony do pracy na wsi. W Szanghaju nie posiadających *hu-ko* pracowników zaliczono do klasy „robotników wypożyczonych”, co oznaczało, że nasza przyszłość jest bardzo niepewna. Wszystko zależało od okoliczności i układów.

Gdy miałam osiemnaście lat, zesłano mnie jako jedną z dwudziestu milionów młodych ludzi do obozu. W myśl zaleceń przewodniczącego Mao należało „nawracać przez pracę”. Znalazłam się w Słoniowych Polach, położonych wśród skalistych gór, daleko w głębi kraju.

Wywodząca się z miasta młodzież musiała wrywać ze skał solidne kamienie na użytek przemysłu i wojska. Narzędzia, jakie nam dostarczono, nie były lepsze od tych, jakimi posługiwali się jaskiniowcy.

Ja pracowałam, używając dynamitu.

W Słoniowych Polach przeżyłam osiem lat. Wspomnienia z tych czasów są gorsze niż najstraszniejszy koszmar. Starłam się usilnie wyrzucić z pamięci ten okres, nie wracać myślą do przeszłości. Wmawiałam sobie, że stało się, co musiało się stać, i nie mam się czego wstydzić. To był jedyny sposób, by przeżyć. Byłam młoda, niewiele wiedziałam. I prawdopodobnie nie byłam jedyną dziewczyną...

Nachodził mnie o świcie, zawsze o świcie. W ostatniej godzinie snu.

Trzymałam płonąca laskę dynamitu, biegłam wśród suchych krzewów, wskakiwałam na skały, do jadącego traktora, na drzewa. Słyszałam swój przeraźliwy krzyk wśród ciemności i ciężki oddech, chrapliwy od trucizny na szczury. Czułam krople kapiące mi wolno z nosa, rozmazywały się na policzkach, zakwitały niczym kwiat na mojej twarzy.

Spływały po szyi, tworząc na ziemi czerwoną kałużę.

Nauczyłam się żyć ze wstydem. Zimą 1979 roku przywódca, sekretarz partyjny Słoniowych Pól, poczuł się winny wobec mnie za to, co mi zrobił, i zaproponował układ. Jeśli obiecuję, że nie puszcę pary z ust, on postara mi się załatwić powrót do Szanghaju. Starłam się usilnie, załatwiał transakcje przez pośredników i w końcu udało mu się „wypożyczyć” mnie zakładom elektronicznym.

Wyjechałam ze Słoniowych Pól, tak jak stałam, bez jednej walizki. Nie chciałam nic ze sobą brać, nawet ubrania. Wyrzuciłam wszystko, co mogłoby mi przypominać tamten koszmar.

Dzień, w którym miałam wyjechać, był wyjątkowo bezwietrzny. Nie świeciło słońce, schowane za grubą warstwą chmur, szarą jak cała ta wysuszona kraina. Olbrzymia mrówka pełzła ku mnie. Stałam na rozstaju dróg, czekając na traktor, który mnie zabierze. W głowie miałam pustkę.

Czułam się tak, jak gdyby nigdy mnie tu nie było. Stałam nieruchomo, aż mrówka weszła mi na szyję i ukąsiła boleśnie. Zgarnęłam ją dłonią i życząc szczęścia, upuściłam na ziemię. Wmaszerowała mi na nogę i znowu poczułam ból od ukąszenia. Zrzuciłam mrówkę na piasek i przydeptałam butem. Popatrzyłam na to zmiażdżone stworzenie i pomyślałam, że ta mrówka jest symbolem mojego życia w Słoniowych Polach. Zabijając ją, zamordowałam własną przeszłość.

„Nigdy nie dawaj wiary temu, że miękki jedwab jest tylko miękkim jedwabiem, może się bowiem pod nim kryć śmiertelna broń” — taką oto prawdę głosiły hasła rewolucji kulturalnej. Przestaliśmy sobie ufać.

Żyliśmy w duchowej izolacji, doświadczając grozy samotności.

Usiłowaliśmy traktować ową groźbę tak, jak traktujemy ukąszenie komara — drobiazg, nic się nie stało. Tak jak moja matka wierzyłam w moc ułudy. „Okiem serca dostrzeżesz melona w sezamowym ziarnie”.

Moim kierownikiem w zakładach elektronicznych był ambitny proletariusz. Wierzył głęboko, że jeśli produkt, który wyrabia, będzie wykorzystany w walce światowej rewolucji przeciwko imperializmowi, on awansuje i sekretarz partyjny wyniesie go do godności partyjnego parlamentarzysty. Uważał, że byłby to dla niego wielki zaszczyt, i robił wszystko, by osiągnąć cel. Pewnego dnia, czytając „Renmin Ribao”, zapytał mnie, czy znam jakiś obcy język. Ja z kolei zapytałam, o co mu chodzi.

Zaciągnąwszy się głęboko papierosem, spojrzał na mnie zza swoich grubych szkielek i rzekł:

— Jak ci wiadomo, język angielski jest najbardziej znanym językiem na świecie. Gdybyś nauczyła się angielskiego, mogłabyś przetłumaczyć na ten język katalog wyrobów naszego zakładu. Postarałbym się wtedy, żebyś otrzymała *hu-ko*, prawo stałego zamieszkania w Szanghaju.

Nie mogłam wprost uwierzyć, że otwiera się przede mną taka fantastyczna perspektywa. Powiedziałam kierownikowi, że choć nie znam angielskiego, to jeśli da mi pozwolenie na uczęszczanie do szkoły, chętnie się nauczę tego języka. Gdy się zgodził, wstąpiła we mnie taka energia, że zaczęłam się uczyć na własną rękę i wkuwałam dziennie dwadzieścia słówek. Próbowałam sama wszystko wykoncypować, tylko przy użyciu słownika chińsko-angielskiego. Wbijalam sobie do głowy poszczególne słowa, nie wiedząc, jak się je wymawia. Szłam potem do biblioteki, pytałam o właściwą wymowę i zapisywałam ją fonetycznie po chińsku. Niebawem rozpoczęłam naukę według przyspieszonego, rocznego programu.

Szef był zadowolony z moich postępów w zdobywaniu wiedzy. Trzy dni po przyjęciu mnie na kurs rozpoczęłam przekład katalogu. Uczęszczanie do szkoły nie zmieniło mojego statusu „wypożyczonego robotnika”, ale istniała nikła szansa, że pozbędę się owego zaszeregowania, jeśli będę dobrze się uczyła. Uczyłam się pilnie, żyjąc nadzieją na zmianę.

Kobieta w moim wieku powinna znaleźć sobie męża. Czułam, że nie mam na to żadnych szans, sama nie wiem dlaczego. Może ze względu na moją przeszłość. Nie chciałam robić

tego, czego się po mnie spodziewano. Jednakże samotność doskwierała mi, napawała niepokojem. Serce pragnęło, rozum przestrzegał.

Mój brat zaręczył się z koleżanką, konduktorką autobusu. Liczył na to, że się wyprowadzę, by on mógł się ożenić i zamieszkać ze swoją żoną.

Nigdy mi tego nie powiedział, ale ja nie miałam wątpliwości, czego się ode mnie oczekuje. W końcu to nie ja byłam synem w rodzinie i powinnam pomóc bratu, usuwając się. Powinnam znaleźć sobie człowieka, który zapewni mi dach nad głową. Wielu moich dawnych kolegów i koleżanek zawarło związek małżeński tylko dlatego, że w ten sposób zyskiwało dach nad głową. I to ma być szczęście!

Miałam dwadzieścia dziewięć lat. Nie byłam szczęśliwa, ale wiodłam przynajmniej lepsze życie niż w Słoniowych Polach. Zamknąwszy oczy, wyobrażałam sobie, że jadę na kawałku śliskiej skorupy arbuza — i podążam tam, dokąd ona mnie zawiedzie.

Katherine według chińskich standardów nie była dobrą nauczycielką. Nie trzymała się ściśle podręcznika. Przez połowę lekcji opowiadała nam o Ameryce. Przyznała się, że teksty w podręczniku potwornie ją nudzą.

Przeważnie mówiła wolno po angielsku, czasami po chińsku, co było dla nas raczej kłopotliwe. Swoim czarem osobistym i perfumami skupiała naszą uwagę bez reszty, bez najmniejszego z jej strony wysiłku.

Nikt z nas nie używał perfum, które były uważane za burżuazyjny przeżytek. Gdy wychwytywaliśmy nozdrzami zapach jej ciała, stawaliśmy się czujni. Wiedzieliśmy, że nie powinno nam to sprawiać przyjemności, więc udawaliśmy, że nic nie czujemy. Lecz potajemnie wdychaliśmy tę woń i unosiła nas ona przez Pacyfik do kraju naszych marzeń. Wyobrażaliśmy sobie zasnutę mgiełką krajobrazy, których nigdy w życiu nie widzieliśmy; pełne wdzięku ciała mężczyzn i kobiet, czasem nagie, czasem w strojach — takich strojach, jakie oglądaliśmy na starych obrazach, zniszczonych podczas plądrowania domów w latach rewolucji kulturalnej. Słyszeliśmy tony nieznanej zachodniej muzyki, która opowiadała o sekretnych romansach.

— Lustro. Powtarzajcie za mną. Lustro. — Katherine uczyła nas słowa „lustro”. — Cud poranka odbija się niczym w lustrze w tafli wielkich jezior, jakich jest mnóstwo w naszym ojczystym kraju. — Powtarzaliśmy za nią tekst. — Wystawa ilustruje wspaniałe osiągnięcia rewolucji socjalistycznej i... — Roześmiała się nagle i zaraz przeprosiła.

Nie widzieliśmy w tym nic śmiesznego. Wzrastaliśmy wśród takich cytatów. Kiedy wdychaliśmy perfumy Katherine, nie wolno nam było zapominać, że w ten sposób przygotowuje się nas do rewolty. Mieliśmy już niejaki doświadczenie, wiedzieliśmy, jak

poskramiać w naszych umysłach nieposłuszne myśli. Było to częścią naszej tradycji: *Zuoguan-yang-wen-zbang* — Nadaj formie najdoskonalszy kształt. Od czasów starożytnych ozdoby, elegancja, doskonałość formy mają wartość najwyższą. My jednakże różnimy się od poprzednich pokoleń, ponieważ wiemy, jakie męki znosili nasi przodkowie, żeby dobrze wyglądać — byli zbyt światowi, zbyt przejęci formą, więc stracili *tian-qiu* — dane od Boga radość i natchnienie. Choć nie przestaliśmy uznawać mądrości tego stwierdzenia, byliśmy świadomi, że w gruncie rzeczy pozbawione wszelkiego sentymentu lekceważenie ludzkiego ducha jest powszechne.

Urodziliśmy się z popękanyim mózgiem. Pokoleniu Czerwonej Gwardii kazano odrzucić tradycję, a tymczasem nasze babcie chodziły potajemnie do świątyń, paliły kadzidło, a w nocy szeptały modlitwy do Buddy.

Byliśmy żołnierzami w wojnie przeciwko honorowi, atakowaliśmy tradycję, którą przecież każdy miał we krwi. Jako zwycięzcy mieliśmy prawo nagiąć ją do naszych potrzeb.

Podstawą naszej wiary była koncepcja Wielkiej Pustki — powyżej nic, co uchroni nasze głowy, poniżej ani skrawka ziemi dającej oparcie stopom.

Należało zaakceptować fakt, że nasze życie to bezmierny, wciąż zmieniający się ocean. Wielka Pustka obiecywała wieczny pokój i ogromną mądrość. Nasze babcie wierzyły, że tam nie istnieje lęk, przemoc, panuje natomiast wieczna szczęśliwość. Tradycja wywróciła na nice mój umysł i nie uwolniła od cierpień współczesności.

Gdzieś w zakamarkach mojego mózgu błąkała się myśl, że właśnie z powodu tradycji nie byłam wystarczająco *wu* — nie rozumiałam, że życie duchowe tam nie ma nic wspólnego z życiem człowieka na Ziemi; musiałam przyjąć ową niewiedzę. I nie wierzyłam w obietnice Wielkiej Pustki. Nie chciałam wieść życia mojej matki i babci. Chciałam działać na własny sposób i słuchać własnego rozumu.

Obserwowałam jej oczy, cienkie, jak narysowane ołówkiem brwi, aksamitne powieki. Byliśmy niczym ryby pływające wokół niej, chłonna jej zapach i wyobrażające sobie, jak wspaniale musi smakować. Nasi koledzy zachowywali się dziwnie. Zadawali mnóstwo pytań, i raptem okazało się, że nie są bystrymi uczniami. Co, ich zdaniem, dawało im prawo domagania się, by Katherine poświęcała im szczególną uwagę. Stawali w pąsach, gdy nauczycielka wywoływała ich do czytania razem z nią. Nie umieli wymówić „Pan Brown”, mówili „Pan Belong”. Katherine podchodziła do każdego z nich i poprawiała.

Uśmiechając się jak kwiat w pełni rozkwitu, mówiła:

— Panie Duży Li, patrz, jak układam usta, Brown, Brown, nie Belong.

Tak, teraz dobrze. A ty, panie Mały Li, masz ten sam problem. Brown, nie Baloon.

Jeden z kolegów milczał jak zakłęty, gdy zadawała mu pytania. Siedział dwie ławki za mną. Był wysoki i chudy, miał lśniące czarne włosy — jak przylepione do czaszki. Pociągła twarz, skośne oczy ponad zbyt małym nosem, ramiona jak orle skrzydła, lekko przygarbiony. Nazywał się *Jie-fang* — Wyzwolenie. Był również „wypożyczonym robotnikiem-studentem”. Z Fabryki Czerwonych Traktorów Hangchou.

Ponieważ wyróżniał się w pracy, zakład płacił mu za naukę. Zapytałam go kiedyś, czy po skończeniu szkoły wróci do fabryki.

— Nigdy w życiu. Nigdy!

Z pasją wyrzucił z siebie te słowa. Dobrze go rozumiałam. Zapłacił wysoką cenę, by się stamtąd wydostać.

— Za długo byłem eunuchem. Najwyższy czas, żebym stał się mężczyzną — wyszeptał mi do ucha.

Przybrał angielskie imię Jim. Śmieliśmy się wszyscy z niego, bo wymawiał je po chińsku i brzmiało to — *hen*. Wyzwolenie się nie przejmował. Oświadczył, że zmienił imię ze względu na Katherine, żeby łatwiej jej było wymawiać. Oczywiście kłamał, nikt nie miał co do tego wątpliwości. Chciał zwrócić na siebie jej uwagę. Tak czy owak my również mieliśmy ochotę pójść w jego ślady — nadać sobie nowe imiona.

W gruncie rzeczy przez zmianę imion chcieliśmy zmienić życie.

Nie było dobrego angielskiego imienia, które by odpowiadało znaczeniu mojego — Zebra, czyli „nieposkromiony charakter; wybitna osobowość”. Zastanawiałam się, co oznacza po angielsku „Katherine”.

Jeden z kolegów zapytał ją o to. Odparła, że jej imię to po prostu imię. Nie uwierzyłam. Jak to możliwe, żeby imię nic nie znaczyło? Sprawa jest zbyt ważna, by jej nie doceniać. Może po prostu nie chce nam o tym powiedzieć? Może uważa, że za mało nas zna, by się z tym zdradzić?

Obserwowałam ją z jeszcze większą uwagą.

W obecności Katherine Jim był niczym szara myszka, ale poza jej plecami przepoczwarzał się w złośliwe kocisko. Rozgłaszał wszem wobec, że w poprzednim wcieleniu był angielskim komikiem. Opowiadał angielskie dowcipy. Tłumaczył nam je i zanosił się śmiechem, nawet gdy nie mogliśmy zrozumieć tych kawałów. W każdym razie podziwialiśmy jego wiedzę. Pewnego dnia oznajmił, że dowiedział się, co naprawdę oznacza imię Katherine. Że na dwa sposoby można je pisać — albo używając litery „K”, albo „C”, ale znaczenie ma to samo. „Catherine” to pojęcie filozoficzne — „Proces oczyszczania ducha przez sztukę”. Jim znalazł w słowniku odpowiedź, dlaczego Katherine przyjechała do Chin.



Cathy, pewna odmiana jej imienia, perorował, znaczy dosłownie „starożytna chińska poezja”. Jim był przekonany, że nadejdzie taki dzień, kiedy docenimy wielkość jego odkrycia.

Pobudził naszą ciekawość. Chwyciliśmy nasze angielsko-chińskie słowniki, by się przekonać, czy to, co opowiada Jim o „Catherine”, jest prawdą. I nie rozczarowaliśmy się. „Proces oczyszczania ducha przez sztukę”. Wpisałam z przejęciem to zdanie do notatnika.

W tym samym czasie Jim miał niejaki kłopoty z nauczycielką. Katherine nie dała za wygraną, jeśli idzie o jego wymowę.

— Jim, co się stało z twoim językiem? To jest pan Brown. Powtórz.

Jim wytarł nos i w zakłopotaniu podrapał się po głowie.

Czekają na odpowiedź. Nie mogła pojąć, dlaczego nagle Jim ma takie trudności. Nie przyszedłoby jej nigdy na myśl, że chodzi o jej perfumy i fakt, że stała blisko młodego mężczyzny.

Po dwóch tygodniach dołączył do nas nowy student. Wszedł do sali, gdy składaliśmy ukłon Katherine. Przez dłuższą chwilę nie powiedziała ani słowa; mierzyła go surowym spojrzeniem.

— Siadajcie — rzuciła wreszcie.

Powoli zajęliśmy miejsca. A ona wciąż nie spuszczała z niego wzroku.

Był niski, miał na sobie spraną granatową kurtkę, z rodzaju tych, jakie wszyscy nosili za życia Mao. W ręku trzymał zieloną wojskową torbę.

Potargane włosy spadały mu na oczy.

— *Tian-shi*, Głowa Lwa — przedstawił się. Przeczesał dłonią włosy i uśmiechnął się. — Przepraszam, ale taki już się urodziłem — wyjaśnił, zauważywszy pytające spojrzenie Katherine. — Mam niesforne włosy, grube jak stalowe druty. Nie chcą się układać. Żaden fryzjer nie daje im rady. Matka mówi, że począłem się w niewłaściwym łonie.

Dziwne, ale Katherine nie zareagowała na jego płynny angielski.

Powiedziała, że władze szkolne uprzedziły ją o jego przybyciu. Wskazała mu wolne miejsce pod ścianą.

— Jesteśmy na stronie szesnastej — powiedziała. Głowa Lwa usiadł na wyznaczonym mu krześle. Zdjął maoistowską kurtkę, pod którą nosił czerwoną trykotową koszulkę.

Odsłaniała umięśniony, gruby kark. Był brzydki, przesadnie męski. Miał brudne chłopskie ręce. Nieproporcjonalnie duże. Był podobny do słonecznika rosnącego na przesolonej glebie — wielkie liście i mały kwiat o ciemnym środku.

Katherine prowadziła dalej lekcję, a ja nie odrywałam od niego oczu.

Przeczytałam biały napis biegnący w poprzek jego koszulki: „Wspiąłem się na wielki mur”. Zauważyłam szarobure spodnie i zielone wojskowe buty.

Katherine zaczęła czytać poemat Mao pt.: „Podarunek dla kobiet żołnierzy”.

*Jasne, odważne spojrzenie,*

*długi karabin.*

*O pierwszym brzasku dnia*

*jawią się, maszerując ku żołnierskiemu obozowi. Ambitne córki Nowych Chin, które wolą broń niż róż na twarzy.*

— To bardzo piękny wiersz, ale czy naprawdę kobiety w tym kraju wolą broń od makijażu? — Uniosła wzrok znad podręcznika i rozejrzała się po sali.

Gdy nasze oczy się spotkały, nie spuściłam głowy jak inni, lecz nie odpowiedziałam na jej pytanie. Nie mogłam. Nikt nie odważyłby się na krytyczną uwagę o słowach Mao. Miałam jedną głowę na karku i nie chciałam jej utracić. Ale podobało mi się wyzwanie rzucone Mao.

Ciekawe, jak daleko się posunie?

Usłyszałam niesamowity śmiech Głowy Lwa.

Obie z Katherine spojrzaliśmy na niego. Jego oczy przypominały dwie gaśienice.

— Oczywiście, że tak — powiedział. — Ale jeśli pani chce dowiedzieć się czegoś więcej o swoich uczennicach, proszę porozmawiać z nimi w ich sypialniach.

Znowu tak się dziwnie roześmiał. I wówczas dobiegł nas z drugiego końca klasy dźwięk podobny do ćwierkania ptaka. To Jasmine, córka dyrektora szkoły. Przypominała indyka. Jaskrawoczerwony zakiet z bistoru, obcisłe żółte spodnie, pomarańczowo-brązowe buty ze sztucznej skóry, na wysokich obcasach, wyłożone na wierzch purpurowe skarpetki

— to był jej styl. Mała blada twarz okolona długimi, ondulowanymi włosami. Usta ułożone zawsze w kształt litery „O”. Krótka szyja. Patrzyła na ludzi, przekrzywiając głowę na bok, jak gdyby czegoś się wstydziła.

Brwi również układały się w kształt litery — tym razem „Z”. Lubiła, kiedy ludzie mówili: „Och, jesteś zupełnie jak zagraniczna lalka”. Nigdy nie widzieliśmy zagranicznej lalki, więc wygląd Jasmine był dla nas równie egzotyczny jak ta zagraniczna lalka.

Skupiła na sobie uwagę wszystkich oprócz Głowy

Lwa. Patrzyła na niego z takim wyrzutem w oczach, że jej usta w kształcie litery „O” wyglądały jak dziobek dzbanka do herbaty.

Sprawiała wrażenie nieśmiałej, ale miała serce skorpionia. Była zwolniona ze służby wojskowej. Miała zostać inżynierem radiowym, tyle że nic o radiu nie wiedziała. Chciałam się z nią zaprzyjaźnić, ale dowiedziałam się, co stało się z jej kolegą. Kiedyś żartował sobie z

niej, nazywając ptasim mózdzkiem. Nazajutrz jej ojciec zesłał chłopca do odległego obozu pracy pod zarzutem „łżenia i atakowania członka partii”.

Bałam się ludzi takich jak Jasmine. Zdaniem innych była łagodna i dobra

— i za taką się uważała. Dzisiaj w istocie była łagodna, bo Głowa Lwa znajdował się w pobliżu. Jak można jednak zapomnieć, że posunęła się do okrucieństwa? Nie skazuje się ludzi na podły los tylko dlatego, że nastąpili ci na odcisk.

Zanim Katherine zdążyła zapytać Jasmine o zdanie, dziewczyna ostentacyjnie opuściła głowę i utkwiała wzrok w podręczniku.

— Coś mi się wydaje, że niewiele wiem, co się dzieje w duszy Chińczyka — rzekła z westchnieniem nauczycielka.

Głowa Lwa nałożył na twarz własnoręcznie wykonany wielki zakrzywiony nos — i przerwaliśmy naśladowanie zachodniego meteorologa, przedstawiającego prognozę pogody. Turlaliśmy się po podłodze ze śmiechu. Katherine przyglądała mu się uważnie. Była wyraźnie ubawiona. Głowa Lwa zawsze był dobrym uczniem. Opowiadał nam, że kiedy miał dziesięć lat, posłano go do szkoły specjalnej, gdzie uczył się rosyjskiego, francuskiego, niemieckiego i angielskiego — ponieważ miał solidne czerwone pochodzenie: trzy pokolenia prawdziwych proletariuszy.

Wychowywał się nad morzem. Kochał wodę i wolną przestrzeń. Jadał żywe homary i kraby i nigdy nie chorował.

Całą naszą klasę wprawiał w zakłopotanie. Umysł miał, można powiedzieć, śliski, wymykał się nam. Wszystkim z wyjątkiem Katherine.

Uwielbiała go. Powiedziała z uśmiechem, że jego angielski jest za dobry jak na naszą klasę. Odparł, że nic nie szkodzi, byle tylko Katherine pozwoliła mu tu zostać. Pracował w biurze polityki zagranicznej. Był czwartym zastępcą okręgowego sekretarza partii. Stanowisko *xianzhi* — praca bez pracy; wielu w rządzie miało taki status. Nie obchodziło go to, dopóki dostawał pensję. Zapłacono mu nawet za naukę w naszej szkole.

A dołączył do nas dlatego, że lubił gawędzić z cudzoziemcami, ponadto miał możliwość szlifowania języka angielskiego.

W czasie przerwy Głowa Lwa i Katherine prowadzili ożywioną dyskusję.

Inni otaczali ich kręgiem — uczyli się rozumieć potoczną angielszczyznę.

Byliśmy zazdrośni o Katherine.

Nie posiadała się z zachwytem nad poczuciem humoru Głowy Lwa. Wprost zmuszał ją do śmiechu. Na ogół nie rozumieliśmy, z czego się śmieją, ale nie chcąc wypaść na głupków,

śmieliśmy się razem z nimi. Czasem zdawali sobie z tego sprawę — i śmieli się jeszcze głośniej.

Dzięki Głowie Lwa dowiedzieliśmy się, jaki był główny cel przyjazdu Katherine do Chin. Przyjechała, by uczyć nas angielskiego, to prawda, ale także zbierała materiały do książki traktującej o sytuacji kobiet chińskich w latach osiemdziesiątych. Wyjaśniła nam potem, że ów problem wchodzi w skład jej dysertacji, po której przyjęciu otrzyma stopień doktora filologii. Rzuciła perły przed wieprze — nie mieliśmy pojęcia, co oznacza „Ph. D.”, jak również słowo „dysertacja”. Oświadczyła, że to nieważne, bo i tak nie znamy zasad amerykańskiego systemu edukacji. Musi dużo rozmawiać z ludźmi, by jak najwięcej się dowiedzieć o interesującym ją temacie.

Przepadała za rozmowami na ulicy, z przechodniami. Była szczerą i bezpośrednią. Głupia. Czułam, że zaszkodzi sobie tym gadaniem, powie ludziom coś niestosownego i doniosą na nią. Sprawiała wrażenie, że nic jej to nie obchodzi. Każde wymawiane przez nią chińskie słowo brzmiało śmiesznie dla mego ucha, chropawo, matowo. Lubiłam jednak tę jej ufność, nieunikanie konfrontacji, zapał do nauki, borykanie się z trudnościami, chęć postawienia na swoim.

Pewnego razu poprawiłam jej akcent, gdy wymawiała przez nos słowo *bi-zi* jak *bie-zhu* — okulała świnia. Zapytała mnie wtedy, czy mogłabym odpłatnie udzielać jej lekcji chińskiego. Powiedziałam z zachwytem, że oczywiście, będę ją uczyć języka chińskiego, ale bezinteresownie. Nie zdawała sobie sprawy, że jakiś szpieg mógłby zadenuncjować mnie, iż biorę od niej pieniądze. Odparła, że jestem śmieszna.

— Nie ma o czym gadać — rzekła. — Jeśli nie chcesz przyjmować pieniędzy, nie ubijemy interesu.

Odparłam, że nie mogę jej tego dokładnie wytłumaczyć, bo za mało ją znam. Skąd mogę mieć pewność, że mnie nie zadenuncjuje? Gdyby doniosła władzom szkolnym o naszej rozmowie, popadłabym w niezłe tarapaty. Przypięto by mi etykietkę osoby, która w fałszywym świetle przedstawia zagranicznemu gościowi obraz Nowych Chin.

Zmieszałam się, gdy usłyszałam jej słowa, że to mój wybór, który ona musi uszanować. Nie miało to nic wspólnego z „wyborem”. Taka jest rzeczywistość i jeśli chcę przeżyć, muszę się do niej dostosować.

Jedno z jej posunięć wprawiło nas w szczerą zdumienie. Otóż wynajęła dla siebie chłopską chatę. Otaczały ją poletka ryżowe, a od szkoły była odległa o pół godziny jazdy rowerem.

Moim zdaniem postąpiła nierozsądnie, odrzucając ofertę zamieszkania w akademiku. Chałupa była prymitywna; Katherine musiała chodzić za potrzebą do chlewika. Ale mimo to cieszyła się, że ma chatę. Nazywała ją „mój dom”.

Przed końcem semestru Katherine zaprosiła całą naszą klasę na przyjęcie do siebie. Byliśmy podnieceni tą perspektywą. Zastanawialiśmy się, co tu zrobić, by otrzymać od władz szkolnych pozwolenie na tę wizytę. Głowa Lwa zasugerował, żeby Katherine poinformowała władze, iż zamierza dać nam lekcję gotowania potraw, jakie jada amerykańska klasa robotnicza.

Z otrzymaniem zgody nie było problemu. Przyszliśmy do tej jej chałupy o wiele za wcześnie. Słońce stało jeszcze wysoko, ale upał wyraźnie się zmniejszył. Katherine pożyczyła od sąsiadów kilka słomianych mat, mogliśmy zatem siedzieć na zewnątrz. Przygotowała pieczone kurczaki z zielonym pieprzem i cebulą. Razem z Jimem zbudowaliśmy „zimny piec”. Poinformowaliśmy gospodynię, że w czasie wojny Mao i Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza gotowali w takich właśnie piecach. Głowa Lwa poszedł po gałęzie, słomę i suche liście, a Jasmine i inni przynieśli z pola świeżą fasolę.

Katherine powiedziała nam, że ciężko przeżyła widok zarzynanych przez wieśniaków kur. Nie tknie więcej mięsa. Zbagatelizowaliśmy to jej przeżycie. Jim oznajmił, że szybko jej to minie. Dodał, że chętnie jej pokaże, jak zabić kota i przyrządzić go na słodko-kwaśno z dodatkiem żab. Wy tłumaczył, że nóżki pieczonych żab wyciągają się błagalnie ku pieczonemu mięsu kota. Jasmine wtrąciła, że nałapała już cały garnek żab. Katherine odparła, że zaraz zwymiotuje, i wydało mi się, że słyszę burczenie w jej żołądku.

Chcąc rozładować atmosferę, zapytałam, dlaczego zrezygnowała z akademika. Odparła, że lubi wieś i ceni sobie prywatność. Zielen, przyroda odgrywają w jej życiu wielką rolę.

Rozejrzałam się dokoła, chcąc popatrzeć na to, co ją otacza, jej oczami.

Po obydwu stronach poletka ryżu. Dalej, na lewo płynął mały strumyk, przysłonięty olbrzymimi, okrągłymi, zielonymi liśćmi lotosu. Z wody wyrastały dwa wielkie czarne drzewa. W strumyku byk robił sobie błotną kąpiel. Trzy gęsi przywarły do siebie szyjami i żuły *gaobai*, rzepę. Kaczki toczyły walkę o dżdżownicę.

Niedaleko stąd chłopcy pracowali w polu. Na prawo od chaty widać wąską ścieżkę dochodzącą do drogi wiodącej do miasta. Tumany kurzu nad drogą świadczyły, że przejechał właśnie autobus.

Miałam wrażenie, że ta chata służyła przedtem jako magazyn zbożowy.

Katherine mieszkała tu od dwóch miesięcy i nie mogła się wprost nacieszyć tym swoim domostwem. Zaprowadziła mnie na podwórko — biegały tam kurczaki, koza i dwa koty.

— To moje zoo — oznajmiła z dumą. Ogrodzenie zrobiła sama. — Nie wysiliłam się specjalnie, ale starczy tu miejsca dla zwierzaków. — Roześmiała się i wyznała, że kocha zwierzęta.

Nie miało to dla mnie sensu. Zwierzęta oznaczają pokarm. Dlaczego obdarza uczuciami te bezmózgowe stworzenia? Uśmiechnęłam się ironicznie. Zauważyła, lecz nie powiedziała ani słowa.

Usiedliśmy i zaczęliśmy jeść wędzoną zieloną fasolę, zastanawiając się, czy Katherine nie była Chinką w poprzednim wcieleniu. Ona sama nie miała co do tego wątpliwości.

— Musiałś więc jeść te zwierzęta — powiedziałam. — Dlaczego teraz przed tym się wzdrasz?

— Nie! Nikt mnie nie zmusi do jedzenia takiego mięsa! — rzekła podniesionym głosem.

— Ale przecież sama powiedziałaś, że byłaś Chinką! — wykrzyknęłam. — Wypróbujemy cię.

Jim i Głowa Lwa uśmiechnęli się i rozpoczęli wyliczankę: — Psie mięso w sosie sojowym, smażony wąż ze świeżym małym mózdzkiem, świńskie oczy...

— Słabo mi — jęknęła i uciekła jak dziecko na widok martwego szczura na ulicy.

Sprawiło nam przyjemność znęcanie się nad nią, cieszyliśmy się, widząc jej piękne oczy rozszerzone ze strachu.

— Naprawdę jecie małpie mózgi? — zapytała. — Oszukujecie mnie.

Nauczcie mnie lepiej więcej chińskich słówek.

I nauczyłam ją. Nauczyłam ją potocznych ordynarnych słów o podwójnym znaczeniu; na przykład „przećwicz to” może również znaczyć „popieprz się ze świnią” Nowo poznane sformułowania demonstrowała nam potem w klasie, wymawiając je z amerykańskim akcentem. Konaliśmy ze śmiechu. Miała niewyobrażalny wręcz urok.

Zdarzało się, że poplątały jej się słowa oraz ich tonacja — zdanie brzmiało następująco: „przećwicz pieprzenie się ze świnią”.

Zjedliśmy danie, jakie przyrządziła nam na podwórzu. I zaczęliśmy zadawać jej pytania. Najpierw Głowa Lwa, dość bezczelnie, zapytał ją, czy jest zameżna. Wyciągnęliśmy szyje niczym gęsi, nadstawialiśmy uszu w oczekiwaniu odpowiedzi. Nie sprawiała wrażenia zmieszanej.

Odparła, że była mężatką i rozwiodła się. Nie ma dzieci. A bardzo by chciała mieć.

Milczeliśmy. Spojrzeliśmy z dezaprobatą na Głowę Lwa, że śmiał ją o to zapytać. Można było wyczytać z naszych oczu: „nie posypuje się rany solą”.

Jej wypowiedź zdziwiła nas.

— Co się z wami dzieje, moi drodzy? Dobrze, że mnie pytacie. I niepotrzebnie jest wam przykro. Rozwód to nic strasznego. Postanowiłam wyjść za mąż i postanowiłam się rozwieść. Życie uczy człowieka.

Zerwałam z przeszłością. Nie ma powodu się martwić.

Powiedziała jeszcze, żebyśmy uwierzyli, że jest szczęśliwa, że cieszy się wolnością.

Mimo to nie mogliśmy przestać się o nią martwić. Solidnie się nagłowiliśmy, żeby ją zrozumieć. W Chinach nikt się nie rozwodzi — prędzej już mąż zamorduje żonę albo odwrotnie. Staraliśmy się ją pocieszyć, ponieważ nie mieliśmy wątpliwości, że bardzo cierpi.

Podsunęliśmy jej myśl, że powinna się z mężem dogadać.

— Nie przejmuj się, na pewno sobie wybaczyacie — stwierdziliśmy.

Roześmiała się i potrząsnęła głową. Speszyło nas to jeszcze bardziej.

- Porozmawiajmy lepiej o czymś innym zamiast o moim nieudanym małżeństwie, dobrze? — zaproponowała. — Co powiecie na przykład na posłuchanie moich ulubionych piosenek?

Skinęliśmy głową. Wzięła kasetę i włożyła do magnetofonu. Obchodziła się z tym przedmiotem bez ceregieli, aż mechanizm się zaciął. Wyjęła kasetę i sięgnęła ręką do środka. Przewinąwszy taśmę poklepała magnetofon, mrucząc:

— Nie rób mi więcej takich numerów. — I już z uśmiechem odwróciła się do nas. — Gotowi? To The Beatles.

— Co to znaczy The Beatles? — zapytała Mały Ptaszek, dziewczyna o dużych przerażonych oczach.

Byłam rada, że o to zapytała, ponieważ i ja nie wiedziałam, co to są The Beatles. Jim wstał i zaczął nam wyjaśniać. Zapytał, czy pamiętamy artykuł w partyjnej gazecie z początku lat siedemdziesiątych — chodziło o grupę młodych zachodnich muzyków noszącą nazwę The Beatles, *pi-tou-shi* po chińsku, czyli mężczyźni o długich włosach. Już sam ten fakt czynił z The Beatles przygłupów. Pamiętam ten krytyczny artykuł.

Według gazety byli oni przywódcami „pokolenia destrukcji”.

Zapomniałam o tym, bo nigdy ich nie słyszałam.

— Czy chodzi o tych długowłosych? — zapytałam Jima.

Skinął głową.

Katherine podziękowała Jimowi za informację.

— Niech teraz przemówi ich muzyka.

Słońce zbliżało się ku zachodowi. Zielone poletka ryżu zamieniły się w złoto. A długowłosi śpiewali: „Chcę trzymać cię za rękę”. Wzruszyliśmy się. Katherine przetłumaczyła nam słowa piosenki, a ja pomyślałam sobie o moim życiu w Słoniowych

Polach. Łzy napłynęły mi do oczu; ogarnęła mnie radość, że udało mi się przetrwać tamte czasy, że dożyłam dnia, w którym słucham takiej oto piosenki. Dostrzegłam także łzy w oczach Głowy Lwa i Jima. O czym myśleli?

O zaprzepaszczonej młodości, o miłości? Albo może o tym, jak mogłoby się im ułożyć życie? Jasmine siedziała obok Głowy Lwa. Popłakiwała.

Pełne uczucia słowa piosenki były niczym promienie słońca w samo południe — roztapiały nasze zlodowaciałe serca. Słyszeliśmy niemal dźwięk łamania lodu wewnątrz naszych zeszywniałych ciał. Katherine nie mogła tego pojąć. Nie rozumiała wagi tego faktu. Spojrzałam na nią.

Uśmiechała się, a wzrok miała pełen ciepła. Uczucie osamotnienia zniknęło w jednej chwili. Prosiłszy ją, by przegrała tę taśmę, jeszcze raz i jeszcze raz, aż jej się to znudziło.

Lubiłam, kiedy Katherine zwracała się do mnie w klasie po imieniu.

Brzmiało to egoztycznie. *Shao-jun, Zebra* — musiała nieźle łamać sobie język. Powiedziała, że bardzo jej się podoba, iż otrzymałam imię od nazwy zwierzęcia, choć tak trudno jej to słowo wymówić. Wobec tego ma nadzieję, że Chińczycy mimo wszystko nie są takimi wrogami zwierząt.

— *Shao-jun, Shao-jun, Zebra* — powtarzając moje imię, śmiała się serdecznie. — Dobrze wymawiam?

Teraz my się roześmieliśmy.

— Świetnie!

Po tej piątkowej lekcji Katherine poprosiła mnie, żebym udzieliła jej wywiadu.

— Na jaki temat? — zapytałam.

— Opowiedz mi o życiu chińskiej kobiety — odparła.

Milczałam. Słyszałam, że przeprowadzała wywiady w akademiku. Nie chciałam być jedną z tych, którzy opowiadają jej, cudzoziemce, takie rzeczy, jakie podobałyby się naszemu rządowi.

— Studenci z entuzjazmem opowiadali mi o swoim życiu — oznajmiła, otwierając notatnik.

Paw demonstruje mi klejnoty swoich piór. Paw myśli, że obchodzi mnie jego piękno. Postanowiłam udawać, że jestem krótkowidzem.

— Co z tobą? — Uśmiechnęła się. Miała długą szyję. W tym momencie wydawało mi się, że za długą. Czułam się przytłoczona, wywierała na mnie presję.

— Czy dużo wiesz o Chinach? — zapytałam.



— Sporo — odparła. — Zanim tu przyjechałam, studiowałam sześć lat i spędziłam mnóstwo czasu w różnych bibliotekach.

Nie wiedziałam, co jej powiedzieć. Jestem Chinką, a mimo to wciąż nie rozumiem mojej ojczyzny. A ona ma zrozumieć? Spędziła sześć lat na studiowaniu różnych książek. I uważa, że poznała Chiny. Śmieszne!

— Jaki obraz Chin jawi ci się w wyobraźni? — zapytałam.

Zmieszła się.

Potrząsnęłam głową, nieważne.

— Co chciałabyś ode mnie usłyszeć?

— Wszystko — rzekła.

— Nie dowiesz się wszystkiego.

— Zaraz, zaraz, coś ty powiedziała? Byłam zmęczona, ale odbiłam piłeczkę:

— Chcesz, żebym mówiła o sobie, tak? Powiem ci, co to oznacza dla mnie. Otóż na mnie, na moją osobę, tak jak to widzę, składają się głównie różne wybrane fragmenty mojej przeszłości. Nie można sądzić mnie po tym, kim jestem teraz, tylko po tym, kim byłam, i dlatego to, co się składa na moją przeszłość, jest dla mnie bardziej realne niż terażniejszość.

Terażniejszość jest płynna, nieuchwytna. Żaden Chińczyk ani Chinka nie będzie mówić o swojej przeszłości, bo nikt nie chce malować własnego wizerunku w czarnych barwach. Nasza przeszłość nie świadczy o nas dobrze i nikt z nas nie chce do niej wracać, woli nie patrzeć wstecz. Lecz to, czym byliśmy, jest faktem bezspornym i ostatecznym. Na tej bazie kształtuje się nasza przyszłość, to, jacy będziemy. Mówiąc szczerze, bardziej identyfikuję się z tym, czego już nie ma, niż z tym, co jest obecnie. Kłamiemy, że jesteśmy teraz tacy czy inni, i ta kłamliwa wersja znajdzie się, niestety, w twojej książce.

Czy zatem w dalszym ciągu chcesz, żebym o sobie opowiadała?

Katherine patrzyła na mnie ze zdumieniem. Milczała. Wstałam i wyszłam. Słyszałam, jak uderza piórem o notatnik.

— Hej, Zebra! — krzyknęła za mną. — Myślałam, że chciałaś wysłuchać jeszcze paru piosenek. Mam ci je przegrać?

W drodze do domu spotkałam Głowę Lwa. Oboje jechaliśmy rowerami.

Miał na sobie spraną maoistowską kurtkę, zapinaną na guziki w kształcie winogrona, niebieskie spodnie i wojskowe buty. Ja byłam ubrana podobnie. Jechaliśmy w stronę miasta wysadzaną wierzbami ulicą. Łany pszenicy we wczesnej wieczornej poświacie wyglądały jak ciepły ocean.

Zanim włączyliśmy się w strumień rowerów wyjeżdżających na główną ulicę, śmignął między nas ubrany na czerwono rowerzysta.

Była to Katherine. Pędziła jak wystrzelona z łuku strzała. Miała na sobie czerwony żakiet. Rower też pomalowany był na czerwono. Znikła w tłumie.

Głowa Lwa zaprosił mnie do siebie, by pokazać antyczne przedmioty, które udało mu się ostatnio zdobyć. Mieszkał w zachodniej części miasta, w dzielnicy Pu-Tuo, którą nazywano opuszczonym zakątkiem. Jego dom znajdował się na samym końcu długiej ulicy. Minęliśmy prowizoryczny czarny rynek. Ludzie sprzedawali tu wystawione na kierownicy roweru towary: odzież, ryż, olej sezamowy, bambusowe maty, przybory kuchenne. Handlarze, ubijając interes, rzucali wokół spłoszone spojrzenia, czy aby nie nadchodzą milicjanci. Głowa Lwa powiedział mi, że klienci również mają się na bacności. Handlarz, który rozpoznał tajniaka, przekazuje zaraz wiadomość koledze obok: „Czarny niedźwiedź wyszedł z jaskini”. W ciągu paru sekund wszyscy znikają. Po bazarze nie ma śladu. Milicjant odchodzi z niczym, a życie na bazarze szybko wraca do normy.

Głowa Lwa mieszkał na drugim piętrze. Pokój był wąski i ciemny, dziesięć do piętnastu stóp długości. Bez okien. Przed wejściem znajdowała się niewielka weranda, gdzie gotował i uprawiał mały ogródek. Mieszkanie owo dzielił z osiemdziesięcioletnią babcią, która sypiała w spiżarnianej wnęce. W ciągu dnia praktykowała *tai-chi* i razem z innymi starszymi paniami pracowała społecznie, inkasując bilety przed wejściem do parków.

Głowa Lwa nazywał swoje mieszkanie Wyspą Skarbów. Sąsiedzi uważali go za niespełna rozumu, bo zbierał takie stare śmieci, jak buty z liści lotosu, trójkątne, wyhaftowane subtelnym ścięciem damskie pantofle, które w epoce dynastii Qing, w XVII wieku kobiety nosiły podczas wesela. Ceramiczne malowane na wzór skóry tygrysyj „chłodzące poduszki”, na których w upalne miesiące starzy ludzie lubili sypiać; „kociołek stu róż” — męski nocnik wykonany z pięknej ceramiki, ozdobiony precyzyjnie wymodelowanymi rzeźbami oraz białymi i niebieskimi rysunkami w środku i na zewnątrz. Ze ścian i z belek sufitu zwisały pomalowane na czerwono drewniane maski chińskich bogów i bogiń. Gdyby nie dochodzący z ulicy hałas, mogłabym sobie wyobrazić, że oto odbyłam podróż w czasie, wkroczyłam w pradawną epokę.

Dziewiętnastowieczne ceramiczne dzbanki należały do przodków Głowy Lwa. A te wszystkie przedmioty przetrwały rewolucję kulturalną tylko dlatego, że obecny właściciel pochodził z pewnej politycznie, robotniczej rodziny. Jego dom nie tylko nigdy nie był plądrowany przez Czerwoną Gwardię, ale jeszcze Głowa Lwa kupował za papierosy od oficerów Czerwonej Gwardii przeróżne stare przedmioty.

Dzbanki były tak kunsztownej roboty, o tak subtelnym kształcie, iż odnosiło się wrażenie, że lada chwila rozsypią się w proch. Głowa Lwa bardzo ostrożnie się z nimi obchodził. Powiedział, że jego pokój jest zbyt wilgotny. Obawiał się, by nie uległy zniszczeniu. Pomagałam mu je ustawiać na werandzie, żeby przeschły na słońcu.

Oznajmił mi, że jest samoukiem, miłośnikiem historii; jego ukochany bohater, przewodniczący Mao, też lubił historię. Mao miał zaledwie podstawowe wykształcenie, ale sam uczył się wszystkiego, co niezbędne, by stać się współczesnym cesarzem, który wywodzi się z historii i tradycji. Studiował „Sztukę wojny” napisaną przez Sun-Tzu. Dla Mao ludzie byli pionkami, on zaś był mistrzem gry w szachy.

— Podziwiam go — powiedział Głowa Lwa. — Był wybitnym taktykiem. Człowiekiem wolnym. Nie odrzucał z pogardą konwencji, ale nie pozwolił się nimi spętać. Właśnie dlatego stał się bohaterem. Potrafił traktować dynastię instrumentalnie i nie dopuszczać do tego, aby dynastia mogła go wykorzystać.

Głowa Lwa wciąż mówił, chyba raczej do siebie niż do mnie. Upajał się sobą, popisując się wiedzą historyczną, jaką samodzielnie zdobył. W takich chwilach czuł się chyba jak Mao, pomyślałam.

Ścierając delikatnie kurz z tych antycznych przedmiotów, powiedziałam mu, że lubię malować, i zapytałam, czy zna metody, jakimi posługiwali się dawni malarze. Odparł, że mieszały farbę z żółtkiem. Rzecz kosztowna, ale daje dobre wyniki. On również maluje, lecz woli fotografię. Dał mi w prezencie nowy pojemnik z farbą i zapytał, co najchętniej maluję. Powiedziałam, że przeważnie symbole, na przykład białą maskę na czarnym tle lub olbrzymi zegar bez cyfr, świecę palącą się z obu stron, twarz bez twarzy. Odparł, że jego marzeniem był zawsze autoportret — twarz bez twarzy. Próbował uchwycić ten obraz aparatem fotograficznym, ale nic z tego nie wyszło.

Dłuższy czas siedzieliśmy w milczeniu.

Opowiedziałam Głowie Lwa o tym, że Katherine chce za wszelką cenę zrozumieć Chiny. Zapytał, czy widziała moje malarstwo.

— Tak. Pokazywałam jej coś niecoś.

— Jak to skomentowała?

— Stwierdziła, że moje obrazy tchną gniewem. Głowa Lwa wzruszył

ramionami i roześmiał się. Rozmawialiśmy o nadziejach Katherine i o tym, czy są realne. Wygląda na to, że dotarło do niej, iż nie może jednym haustem połknąć całego Pacyfiku, i zamierza teraz pić go po trochu, filiżanka po filiżance. Oznajmiłam mu, że swoje

doświadczenia zamierza zawrzeć w książce podzielonej na części, napisanej prostym językiem, aby czytelnicy mogli to wszystko zrozumieć. Wierzy, że jej się to uda; tak jak fachowcy mierzą krzywe, redukując je do sekwencji coraz mniejszych odcinków.

— Typowo zachodni sposób myślenia — powiedział. — Widzisz, przewodniczący Mao rządził Chinami poprzez nie-rządzenie. Latem pływał w rzece Jangcy, jesienią i wiosną objeżdżał swoje królestwo, a zimą pisał wiersze w Zakazanym Mieście. Koncepcja Wielkiej Pustki i zachodnia wiara w Boga — to podstawowa różnica między nami. Oni uważają, że Bóg istnieje przez *wei*, *tworzenie*, podczas gdy my wierzymy w moc *wu-wei*, *nietworzenia*, która jest prawdziwą siłą twórczą.

Przestawiając i czyszcząc swoje skarby, mówił dalej:

— Żeby zrozumieć Chiny, żeby ustalić jakieś fakty, Katherine musi sobie uzmysłwić, że świat nie składa się z poszczególnych oddzielnych części, złożonych razem, jak maszyna. Chińczycy nie dociekają, jak świat został stworzony, co Katherine musi wydawać się dziwne. Jeżeli wszechświat został stworzony, to musi być ktoś, kto wie, w jaki sposób to się stało, ktoś, kto potrafiłby wytłumaczyć od strony technicznej, jak to wszystko złożono do kupy, jak zmontowano ten mechanizm. Lecz wszechświat po prostu się powiększa i ubóstwo języka — to przede wszystkim — wyklucza możliwość wyjaśnienia, jak to się dzieje. Katherine musi zrozumieć, że wszechświat nie działa według planu. Zachodni sposób widzenia tych problemów wypaczył jej umysł. Powinna wiedzieć, że aby zdobyć wiedzę, trzeba otworzyć się na nieznanne.

Babcia Głowa Lwa pojawiła się niczym duch. Stała oparta o framugę drzwi. Głowa Lwa przedstawił mnie jej. Uśmiechnęła się pokazując jedyny ząb, jaki jej został.

— Czy ty jesteś tą dziewczyną, która była tu w zeszłym tygodniu? — zapytała.

Głowa Lwa wyraźnie się speszył.

— Nie było tu w zeszłym tygodniu żadnej dziewczyny — odparł podniesionym z lekka tonem. — To Jim mnie odwiedził.

— Nie jestem aż taka stara — odpowiedziała stara kobieta. — Mam jeszcze dobre oczy. Ona miała długie włosy. Nie strugaj ze mnie wariata.

— To był on, nie ona — upierał się.

— Nic podobnego! Na pewno była to dziewczyna. Żaden chłopak nie zapuściłby takich długich włosów!

Głowa Lwa, chowając swoje skarby, powiedział do mnie:

— Jim jest pod wpływem Bitelsów, długowłosych.

Roześmiałam się wyobrażając sobie, jak ludzie są zaszokowani długimi włosami Jima. Pomyślałam o Katherine. O Bitel-sach. „Chcę trzymać cię za rękę”. Katherine, cudzoziemka czarodziejka.

Jedliśmy z Głową Lwa makaron z bakłażanem, danie, które babcia przyrządziła na werandzie. Patrzyliśmy w dół, na „ruchomy bazar”.

Tysiące ludzi poruszających się nieustannie, zupełnie jak mrówki.

— Nie wiesz czasem, dlaczego Katherine jeździ na rowerze w czerwonym stroju? — zapytałam Głowę Lwa, kiedy podawał mi herbatę.

— Czy to taka moda?

— Nie — odparł. — W ten sposób unika potrącenia przez autobus.

Kierowcy w tym kraju są bezwzględni, tak jak twój brat; nigdy nie bywają w dobrym humorze. Katherine jest cudzoziemką. Nic jej nie obchodzi, co ludzie sobie pomyślą o jej jaskrawej kurtce. Obchodzi ją natomiast jej własne bezpieczeństwo.

Pamiętam, że ktoś w klasie nastraszył kiedyś Katherine, że jeśli autobus ją potrąci, nikt nie przyjdzie jej z pomocą i umrze na jezdni, bo życie ludzkie w Chinach niewiele jest warte. Nie rozumiała chińskiego poczucia humoru. Wierzyła święcie, że jeśli uda się w Szanghaju do restauracji, to podsuną jej węża albo jakiegoś innego gada.

— Nie można w żaden sposób jej przekonać, że ludzie stroją sobie z niej żarty — powiedziałam. — Jest bardzo dziwna.

— Ciekaw jestem, co kształtuje osobowość amerykańską — rzekł. — O ile wiem, ich głównym posiłkiem jest ser, a ser śmierdzi, poza tym zamyka komórki mózgowe.

— Co ona zrobiła ze swoim rowerem? — zapytałam.

— Najpierw pomalowała go na czerwono, co miało być ostrzeżeniem dla kierowców. Potem poprosiła przyjaciół z Ameryki, żeby przysłali jej żakiet z błyszczącego materiału w czerwone paski. Podobne mundurki noszą u nas pacjenci w szpitalu dla umysłowo chorych. Nie sposób jej nie zauważyć na ulicy. Porusza się nieustannie tu i tam, jak czerwona wałka. Jeszcze tylko powinna pomalować się cała na czerwono, od stóp do głów. Roześmiałam się.

— Ma ciekawy kolor włosów — ciągnął. — Chciałbym kiedyś ich dotknąć. Nie są chyba naturalne. W Ameryce wyprawiają różne dziwne rzeczy. Jestem przekonany, że za pieniądze spółkowałiby nawet ze zwierzętami.

Uszu naszych dobiegł cichy odgłos kroków na klatce schodowej. Głowa Lwa wyszedł i nie wracał przez dłuższy czas.

Poszłam sprawdzić, co się dzieje, i zobaczyłam, że parę stopni niżej stoi Jasmine i rozmawia z Głową Lwa. Po jej oczach poznałam, że jest na niego wściekła.

Nie pozdrowiła mnie. Wpatrywała się w Głowę Lwa. Spostrzegłam w ułamku sekundy, że ma nienaturalnie długie brwi, jak domalowane. Z całą pewnością coś z nimi zrobiła. Takie zadarte do góry brwi nie pasowały zupełnie do jej drobnej twarzy, prawie nie widziało się policzków. Kształt ust się zmienił — zamiast litery „O” pojawiła się litera „Q”.

Nie miałam odwagi się odezwać.

Głowa Lwa ostrożnie dobierał słowa.

— Powinnaś odpocząć. Jesteś zmęczona. Zły

nastój wytwarza trujące związki chemiczne, które mogą ci zaszkodzić. Nie bądź taka spięta. — Braterskim gestem poklepał ją po ramieniu. — Bądź dobrą dziewczynką — powiedział z czułością.

Nie na wiele zdały się jego słowa; przeciwnie, jeszcze bardziej ją rozdrażniły. Teraz utkwiała we mnie wzrok i widziałam, że szuka zaczepki. Podejrzewała mnie. Ściągnęła usta. Rozpląkała się, co wcale nie zmniejszyło jej złości. Z jej oczu można było wyczytać: „On jest mój, nie wolno ci się z nim zadawać”. Żałosne. Zdenerwowałam się.

— Na mnie pora — powiedziałam. Zeszłam ze schodów, słysząc szlochanie Jasmine.

Trzy tygodnie później, gdy wracaliśmy po południu z biblioteki, depcząc wczesnojesienne liście, Głowa Lwa opowiedział mi, co go łączy z Jasmine.

Była ukochaną córką pana Hana, który pełnił funkcję dyrektora naszej szkoły, a w swoim czasie uczestniczył w Wielkim Marszu Mao. Jasmine stała się dla starego człowieka oczkiem w głowie, jedynym skarbem, odkąd w czasie rewolucji kulturalnej Czerwona Gwardia zatłukła na śmierć jej matkę jako osobę zaprzedaną kapitalizmowi. Jej matka była znaną pięknoscią. Pan Han pragnął, by jego córce nie przydarzyło się w życiu nic złego, żeby była szczęśliwa. Ciężko pracował jako pierwszy zastępca poprzedniego sekretarza partii w szkole. Później awansował na dyrektora i został nowym sekretarzem partii. Szukał dla córki prywatnego nauczyciela i wybór padł na Głowę Lwa, bo był młody, inteligentny i skromny.

Głowa Lwa przyjął propozycję z entuzjazmem. Trzy razy w tygodniu udzielał Jasmine prywatnych lekcji. Uczył ją angielskiego. Rozmawiali ze sobą łamaną angielszczyzną z brytyjskim akcentem. Lubiała popisywać się przed ludźmi: niech słyszą, że oni nie rozmawiają po chińsku. Głowa Lwa nigdy nie zapomniał, czyją ona jest córką. Uwodził ją systematycznie i po trzech tygodniach zakochała się w nim bez pamięci.

— Czy ona jest tobą zainteresowana? — zapytałam Głowę Lwa.

Po chwili namysłu powiedział, że ma takie uczucie, jakby siedział na kraterze wulkanu. Nie wyjaśnił bliżej, co przez to rozumie.

Nigdy nie wyrażał słowami swoich pragnień, ale zawsze wiedział, czego chce. Był jak wytrawny krawiec, którego praca, choć nie widać tego gołym okiem, jest bardzo skomplikowana.

Wiele osób podziwiała jego łagodne usposobienie, inteligencję, dowcip.

Pomyślałam, że właśnie dlatego Jasmine się w nim zakochała. Tylko że również ja, w głębi serca, pragnęłam spędzać jak najwięcej czasu w jego towarzystwie. Moje nudne życie nabierało wtedy barw.

Każdego ranka Katherine przemieniała się w modelkę, w przeciwieństwie do nas. Przez cały rok chodziliśmy w tych samych ubraniach, a ona zmieniała stroje codziennie. Obserwując jej styl, poznawaliśmy gust amerykański. Dziś rano miała na sobie ciemnozielone dzinsy i mocno dopasowaną czarną bluzkę bez rękawów. Pas z miedzianą sprzączką opinał jej talię. Szyję zdobił naszyjnik z paciorków, kamyków i muszelek.

Ów strój podkreślał jej kształty.

W milczeniu pożeraliśmy ją wzrokiem.

— *Chi-zao-fan-la?* Jedliście śniadanie? — zapytała po chińsku, zmieszana nieco naszymi natrętnymi spojrzeniami.

Z naszych ust nie wydobył się żaden dźwięk.

— No, obudźcie się! — zawołała, klaszcząc w dłonie. Uśmiechnęliśmy się do niej, jak zwykle. Wiedziała, że podziwiamy jej sposób ubierania się, jej ozdoby. Czuliśmy, że robi to dla nas, a ona domyślała się, że zachwycamy się nią. Stała chwilę z opuszczoną głową, po czym powiedziała:

— Dość tego, zabieramy się do nauki.

Jasmine na ogół się nudziła. Lubiła jednak zadawać różne wymyślne pytania. Na przykład: „Co pani rozumie przez emocję?”. Używała takich słów jak na przykład „zaślepienie”. Katherine zdawała sobie sprawę, że klasa nie jest w stanie za tym nadążyć. Odpowiadała na pytania Jasmine, następnie zwracała się do nas, że nie musimy wszystkiego rozumieć, to całkiem normalne. Nie jest ważne to, o czym była mowa.

— Najważniejszą dla was rzeczą jest poznanie języka, uporanie się z wymową. Niech jego melodia zabrzmi w waszych uszach — mówiła, dodając nam odwagi. Nigdy nie przerywała Jasmine, choć można było wyczuć, że jest na nią zła.

A Jasmine jakby zapomniała, że w klasie jest trzydzieści osób. Nie podobało nam się, że usiłuje skupić na sobie całą uwagę Katherine. Lecz z drugiej strony Jasmine stanowiła dla nas

motywację — pragnęliśmy tak samo znać angielski jak ona, chcieliśmy zadawać Katherine tak samo mądre pytania. Nigdy przed północą nie kończyłam odrabiania lekcji.

Uczyłam się przy światłach latarni ulicznych. Egzaminy szły mi dobrze.

Katherine była ze mnie zadowolona. Dodawała mi odwagi. Po zaledwie kilku miesiącach byłam na dobrej drodze do wysławiania się po angielsku, do mówienia pełnymi zdaniami.

Nie pamiętam, od jak dawna straciłam z rodzicami wszelki kontakt. Gdy wracałam rowerem do domu, oni już spali. Parokrotnie matka czyniła wysiłki, by na mnie zaczekać, ale ja umyślnie utrudniałam jej to, przeciągając swój powrót; po północy była już tak zmęczona, że zasypiała na siedząco. Nazajutrz oznajmiałam jej, że do późna odrabiałam lekcje w szkolnej bibliotece.

— Język angielski — mówiłam — jest znacznie trudniejszy od chińskiego. Nie pouczaj mnie więc, jak powinnam pracować.

Nie powiedziałam matce o tym, że mam im za złe, iż nie zapewnili mi własnego kąta. Nie mogłam zaprosić do domu Katherine, tak jak na przykład Głowa Lwa. Nie miałam przyjaciół. A stuknęło mi dwadzieścia dziewięć lat. Serce biło w mojej piersi, lecz nie miałam nikogo, na widok którego zabiłoby żywiej. Czułam się pusta, wypalona do cna.

Mój brat spotykał się z nową dziewczyną. Jego narzeczona, konduktorka autobusu, porzuciła go dla innego mężczyzny, ponieważ mój brat nie miał nadziei na własny pokój. Matka znalazła pod jego poduszką list do jakiejś dziewczyny o imieniu

Mała Lilia. „Spotkajmy się dziś o siódmej wieczór w Parku Ludowym” — pisał. Matka, pokazując mi ten list, była bardzo zaaferowana. Zapytała, czy znam Małą Lilię i czy to miła dziewczyna.

Odparłam, że nie znam. Może to pielęgniarka w szpitalu, w którym leżał mój brat, kiedy rozchorował się, gdy porzuciła go owa konduktorka autobusu. Nieważne, czy ona jest miła, ładna, powiedziałam matce.

Ważne jest natomiast, by mój brat miał własny pokój, żeby i ta dziewczyna z nim nie zerwała.

— Po co rodzić dzieci, jeśli nie ma dla nich miejsca w domu? — zapytałam ze złością i zaraz pożałowałam tych słów. Matka milczała. Ze spuszczoną głową wyszła z pokoju. Uraziłam jej uczucia, ale nie mogłam się powstrzymać, skoro sama była tak nieszczęśliwa z tego powodu.

Brat dawał mi do zrozumienia, że jestem okropnie stara, i tak się zresztą czułam. On miał trzydzieści cztery lata i nie mógł już dłużej czekać.

Prawie ze mną nie rozmawiał. Ranił mnie tym swoim milczeniem.



Każdego dnia, każdego wieczoru. Płakałam bezgłośnie. Poza lekcjami angielskiego, Katherine i jej muzyką nic ciekawego nie działo się w moim życiu.

W łazience, którą używaliśmy razem z sąsiadami, popatrzyłam na swoje odbicie w lustrze. Niech dzieciaki sąsiadów sikają w majtki, pomyślałam i zamknęłam drzwi na klucz. Pamiętam, co kiedyś powiedział mi dziadek.

A mianowicie, że nasz wielki filozof Zuuang Zi zwykł był mówić, iż człowiek doskonały przegląda się w swoim umyśle jak w lustrze. Lustro niczego się nie domaga; niczego nie odmawia. Przyjmuje, lecz nic nie zatrzymuje dla siebie. Dziadek usiłował prowadzić mnie ku Wielkiej Pustce, lecz ja miałam uczucie, że urodziłam się z ułomnym mózgiem.

Nie czułam się zdolna, by stać się lustrem doskonałym. Zatrzymywałam to, co dało mi samo życie.

W moim własnym wewnętrznym lustrze zobaczyłam upływ czasu. Starzałam się szybciej, niż byłam na to przygotowana. Jak mogłabym temu zapobiec, zanim będzie już za późno? Czy ludzie w Ameryce żyją inaczej? Katherine sprawia wrażenie zadowolonej, radosnej. Na pewno żyje w zgodzie ze sobą. Jak ona to robi? Ma szczerzy uśmiech osoby pogodnej, interesuje się losem innych. Czy w Ameryce była dobrze traktowana? Dlaczego tu przyjechała? Co ciekawego jest w Chinach, że budzą zainteresowanie takich ludzi jak ona? „Chinki lat osiemdziesiątych”. Tytuł przyszłej książki Katherine. Co tu opisywać?

Naszą hańbę? A jeśli przed Nowym Rokiem mój brat postanowi się ożenić z Małą Lilią? Przyprowdzi ją do domu i w mojej sypialni ją poślubi? Dokąd ja się udam?

Katherine przekazała nam trochę wiadomości na temat ubierania się. Jeśli nie macie co na siebie włożyć, ubierajcie się na czarno. W poniedziałek wszyscy byliśmy ubrani na czarno. Czarne bluzy, czarne spodnie, czarne buty, czarne skarpetki. Śmieszne, cała klasa na czarno, jakbyśmy w niedzielę ufarbowali na czarno wszystkie nasze ciuchy. Z początku staraliśmy się nie okazywać zakłopotania, w jakie nas to wprawiło.

Udawaliśmy, że to zwykły zbieg okoliczności.

Powiedziałam Głowie Lwa, że wybieram się na pogrzeb, dlatego jestem w czerni. A on na to, że ubrał się na czarno, ponieważ babcia sobie tego życzyła. Dodał, że ubranie jest szyte na miarę, z dobrego materiału, i długo leżało w walizce, aż mole się do niego dobrały. Wszystko było jako tako, póki Katherine nie wkroczyła do sali.

Otworzyła szeroko usta ze zdziwienia i wybuchnęła śmiechem. Śmiała się i śmiała, zgięta wpół.

— Kochani, macie naprawdę kapitalne poczucie humoru — powiedziała.

Śmieliśmy się razem z nią. Miała na sobie jaskrawoczerwoną bawełnianą sukienkę. Powiedziała, że czarne z czerwonym bardzo ładnie się komponuje. Wyjęła z torby aparat fotograficzny, by zrobić nam zdjęcie. Głowa Lwa, jako fotograf, zaoferował swoje usługi.

Kazał Katherine stanąć w środku. Sam wszedł na katedrę i wycelował w nas aparat.

— Wyglądacie jak wielki kwiat z czerwonym sercem — powiedział i nacisnął guzik.

Pan Han przyszedł na wizytację bez uprzedzenia. Wiedzieliśmy, że jest ojcem Jasmine, ale on udawał, że nie jest niczym ojcem. Skinął głową Katherine i z kamienną twarzą miarowym krokiem przemaszerował przez salę.

Jasmine siedziała na samym końcu, żeby mieć w polu widzenia Głowę Lwa. Gdy pan Han przechodził obok córki, żadne z nich nie wymieniło pozdrowienia, wyraz twarzy obojga nie uległ zmianie. Pan Han usiadł w ostatniej ławce, w kącie.

Panowała taka cisza, że słychać było zgrzyt kredy na tablicy pod dłonią Katherine.

Pan Han był wysokim mężczyzną z północy, o głowie jak kartofel i przerażonych oczach. Miał spojrzenie wilka i niezdrową, jakby pokrytą pęcherzykami cerę. Jasmine powiedziała nam kiedyś, że pewien lekarz, uprawiający medycynę tradycyjną, oświadczył, że ojciec ma w sobie zbyt wiele ognia, że aby przedłużyć sobie życie, spożywał za dużo *ginseng*.

Kiedy pan Han był z czegoś zadowolony, głośno się śmiał i dłubał w nosie. Zawsze publicznie dłubał w nosie, co wprawiało Jasmine w zakłopotanie. Podobno od czasu śmierci swej pięknej żony wrócił do dawnych chłopskich obyczajów — dłubał w nosie, wycierał nos w rękę, a potem rozmazywał smarki, gdzie tylko mógł sięgnąć — na ścianie, pniu drzewa, drzwiach; a podczas jedzenia siedział w kucki na ławce, jak sowa. Mówił, że przewodniczący Mao zawsze podczas wojny jadał w tej pozycji.

A kiedy był niezadowolony, zły, opanowywał się w ten sposób, że podwahał językiem swój złoty ząb i ssał go głośno.

Czasami, doprowadzony do ostateczności, wyjmował z wściekłością ząb palcami, wycierał go o koszulę i wkładał z powrotem. Wszyscy starali się wtedy trzymać od niego z daleka.

Usiadł wśród nas i staliśmy się zupełnie inni, staliśmy się śrubkami, które wprawiają w ruch mechanizm partii komunistycznej, ludźmi kroczącymi drogą, którą powinni podążać. Siedzieliśmy sztywno wyprostowani.

Wyglądaliśmy jak na fotografii, jak manekiny.

Nasz lęk przeraził Katherine. Była coraz bardziej zdenerwowana. Czując, że przybycie pana Hana to sygnał ostrzegawczy przed grożącym niebezpieczeństwem. Przystąpiła do lekcji:

— Komuniści są nadzieją przyszłych pokoleń...

Wszyscy powtarzaliśmy dobitnie jej słowa.

Odnosiłam wrażenie, że między nami a Katherine istnieje tajemny kod.

Nie zносиła tekstów z podręcznika, przygotowała więc dla nas własny program. Opowiadała o Ameryce, o swych przeżyciach w dzieciństwie i młodości, o przyjaciółkach, sąsiadach oraz życiowych doświadczeniach.

Zapomnieliśmy niemal o oficjalnym, obowiązującym nas podręczniku.

Udawaliśmy wobec pana Hana, że Katherine nic a nic nas nie obchodzi.

Zachowywaliśmy się jak stuprocentowi komuniści.

Jasmine była wyraźnie niezadowolona z przybycia ojca. Ukryła twarz w dłoniach i przedrzemalała całą jego wizytę.

Przed wyzwoleniem budynek naszej szkoły był letnim pałacem jakiegoś bogacza. Za owym murowanym gmachem, w odległości mniej więcej stu jardów, płynął strumień, w którym topiły się konkubiny dawnego właściciela. Strumień osłaniały dzikie zielone rośliny, gęsty bluszcz.

Woda w nim była zimna nawet w lecie. Rankiem mgła spowijała staw, przynosząc ze sobą zapach martwych zwierząt. Za strumykiem znajdował się niewielki las. Nazwano go „Laskiem konkubin”. Drzewa pozbawione były kory. W nocy wyglądały jak gromada nagich ludzi.

Pozwolono nam jako studentom uczyć się słówek nad strumykiem. Ale przychodziliśmy tam także dlatego, aby w tajemnicy przeżuwać to, czym Katherine nas karmiła. Właśnie tam snuliśmy fantazje na temat jej życia, tam marzyliśmy, aby zostać Amerykanami.

Późną jesienią pozwolono Katherine przeprowadzić z nami „rewolucyjne badania” w górzystym południowo-zachodnim terenie — dawnym polu bitwy Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, kopcu rewolucji. Gdy Katherine oznajmiła nam tę wiadomość, nikt się nie ucieszył, bo po prostu nikt nie mógł w to uwierzyć. Podróżowanie wiązało się bowiem ściśle z burżuazyjnym przepychem. Nie śmielibyśmy marzyć o takiej wycieczce.

Lecz Katherine sprawiła, że owe marzenia się ziściły.

Gdy to naprawdę do nas dotarło, usiedliśmy wkoło i zaczęliśmy omawiać plany. Nie mogliśmy myśleć o niczym innym niż tylko o Katherine i górach.

Pracowaliśmy w fabryce przez trzy nocne zmiany, żeby otrzymać pozwolenie na dłuższą nieobecność. Oczywiście byliśmy zbyt podekscytowani, żeby usnąć w noc poprzedzającą wyjazd. O wpół do piątej rano Głowa Lwa znalazł się pod moim oknem. Powiedział, że nie mógł zasnąć, i już jest spakowany. Ja także skończyłam się pakować.

— Na co czekasz? Chodźmy — powiedział.

Siedzieliśmy z Głową Lwa nad strumykiem w pobliżu szkoły. Była piąta rano. Zaczęło świtać. Włożyliśmy gumowe buty, by chronić nogi przed komarami. Dzikie gęsi śpiewały w mroku swą poranną pieśń. Głowa Lwa podniósł kamień i rzucił do strumyka. Odpowiedziało mu leśne echo.

Rozmawialiśmy o konkubinach. Zdaniem Głowy Lwa musiały być bardzo piękne.

— Spójrz na te pozbawione kory pnie drzew — powiedział. — Na pewno są gładkie jak jedwab.

Zapytał, czy boję się duchów. Odparłam, że nie wierzę w duchy.

— A co zrobisz, jak przyjdą po ciebie?

— Zastrzelę je — rzekłam. — Zastrzelę je tak, jak uczyli nas strzelać do amerykańskich imperialistów.

Westchnął. Powiedział, że on też często myśli o tym, jak uczono nas strzelać do amerykańskich imperialistów.

— Dobry byłeś w strzelaniu do celu? — zapytałam.

— Jestem pierwszorzędnym strzelcem. Mam za sobą sześć lat treningu.

— Lekki uśmiech pojawił się na jego ustach.

— Założę się, że wiem, o czym myślisz — powiedziałam.

— No to zgaduj. Napiżemy po angielsku pierwszą literę słowa, a potem przekonamy się, czy myślimy o tym samym.

Wodziliśmy palcem po błocie. Ja napisałam literę „K”. Przechyliłam się, żeby zobaczyć, co on napisał. Też literę „K”.

Ubrania przesiąkły nam rosą. Wschodziło słońce, chmury zabarwiły się na czerwono. Przyszło mi nagle do głowy, że byłoby fatalnie, gdyby ktoś zobaczył nas razem, siedzących tu tak wcześnie i tak blisko siebie.

Oskarżono by nas o przestępstwo: nie poślubieni sobie mężczyzna i kobieta spędzają razem noc.

— A co będzie, jeśli ktoś nas zobaczy? — zapytałam.

— Nie przejmuj się. Nie robimy nic złego. W razie czego Jasmine zaświadczy.

— Jasmine! — Rozejrzałam się dokoła. — Jest gdzieś tutaj?

— W ukryciu. Jestem o tym przekonany. Byłem u niej, zanim poszedłem do ciebie. Powiedziałem, żeby przysłała, że oboje tu będziemy.

Spojrzałam na niego. Nie widziałam wyraźnie jego oczu. Zapytałam, co sądzi o Jasmine. Odparł, że nie lubi rozmawiać z kobietą o innej kobiecie. Jest to godne szacunku, pochwaliłam go, a on na to, że nie będzie zgrywać się przede mną, bo ja i tak wiem, że z niego kawał łobuza.

Zaczął się zwierzać. Jego zdaniem Jasmine jest ładna, ale nie atrakcyjna.

Byłam zaskoczona. Nudzi się, ciągnął swoje wywody, bo nie wie, co ze sobą zrobić, jak postępować.

— Bezduszne ciało — podsumował.

A czy ja mam duszę? — zadałam sobie w myślach pytanie. Z mojej pamięci wyłoniły się obrazy Słoniowych Pól — dynamit, dym, eksplozje, ciężki oddech mężczyzny... Odsunęłam te okropne wspomnienia.

Głowa Lwa odwrócił się i popatrzył na mnie. Powoli wstał i zaczął się przechadzać wzdłuż strumyka.

Wróciłam myślami do Jasmine. Wydawała mi się interesującą osobowością, choć Głowa Lwa był innego zdania. Przy nim traciła pewność siebie, a to dlatego, że on jej tej pewności siebie skutecznie pozbawił. Zrobił jej krzywdę, bo uwierzyła, że jest nic niewarta. To, że nie potrafiła go zdobyć, wytrącało ją z równowagi, dobijało. Przeżywała tortury. Nie mogła się z tego wyrwać, otrząsnąć. Zauważyłam, że gdy byli razem, na jego twarzy malowało się uczucie żalu, politowania. Jego twarz mówiła: „jak mogę kopać psa, który utonął”. Znudzony, dawał jej do zrozumienia, że nie może zapewnić jej szczęścia. Powtarzał często:

„Jasmine, co się z tobą dzieje? Przecież nie jesteś moją niewolnicą”.

Wypowiadał takie i podobne zdania publicznie. A Jasmine wyłakiwała oczy; potem błagała go przy ojcu, już w domu, zmuszała go, by ją przeprosił. Powtarzała w nieskończoność, że byłaby najszczęśliwszą kobietą pod słońcem, gdyby mogła stać się jego niewolnicą.

Jim był wściekły na Jasmine za jej bałwochwalczy stosunek do Głowy Lwa. „Piękna świeża róża wetknięta w krowie łajno” — mówił.

Tłumaczył Jasmine, że jest głupia, że Głowa

Lwa igra sobie z nią. Zdawała sobie sprawę, że jej miłość jest chorobliwa, ale nic na to nie mogła poradzić. Oddała mu duszę. Bez niego byłaby chodzącym szkieletem.

Zapytałam Głowę Lwa o jego ideał pięknej kobiety. Odparł, żebym zwróciła się z tym do Jasmine.

— Ona zna mój pogląd na kobiety.

W końcu poranek przedarł się przez mgłę. Ukazał Jasmine, w brązowej sukience, z koszykiem w ręku. Zbliżała się do nas, widziałam coraz wyraźniej jej drobną postać. Zastanawiałam się, jak długo siedziała niedaleko stąd, w ciemności.

Przyniosła Głowie Lwa bułeczki zrobione na parze. Dał jej ręką znać, by i mnie poczęstowała jedną. Podsunęła mi koszyk, nie kryjąc niezadowolenia.

Przyglądałam się, jak wpatruje się w jedzącego mężczyznę. Na jej twarzy malowało się pożądanie. Byłam tym poruszona. Głowa Lwa, taki z wyglądu niepozorny, był tym, który odebrał jej duszę. Jej oczy były oczami samicy w okresie rui. Patrzyła na niego tak, jakby jedynym celem jej życia było podobanie się mu, skupienie na sobie jego uwagi. Lecz on, gdy skończył jeść, nie przejawiał już nią żadnego zainteresowania. Wstał i ruszył na spotkanie kolegów, którzy zaczęli się właśnie schodzić.

Jasmine stała pod drzewem z pustym koszykiem w ręku. Przetarła twarz kawałkiem materiału, którym Głowa Lwa wytarł sobie przedtem ręce.

O wpół do ósmej przyszła Katherine. Była w kwiecistych bawełnianych spodniach, żółtej krótkiej bluzie i pasujących do spodni skórzanych butach. Włosy zaczesła do przodu, nadając im kształt chryzantemy.

Niosła dużą czarną torbę. Na widok nauczycielki zapomniałam o Jasmine.

Podeszłam do Katherine i się przywitałam.

— Kto będzie naszym przewodnikiem w górach? — zapytałam.

— Jim — odrzekła. — W czasie rewolucji kulturalnej, jako chłopak z miasta, przez siedem lat odbywał w tamtej okolicy służbę w obozie pracy.

Przyszedł już?

Głowa Lwa, pozdrowiwszy Katherine, odwrócił się ku mnie. Uśmiechał się. Zapytałam, dlaczego się uśmiecha.

— Ładnie razem wyglądacie — odparł. — Ty i Katherine.

— Niepotrzebnie ubrałam się na czarno — powiedziałam.

— Nic nie zmieniaj. Lubię wasz sposób ubierania się, twój i Katherine.

Świetnie się uzupełniacie.

— Dobry zestaw kolorów? — zapytałam.

— Nie wiem, czy w tym tkwi sedno. — I poszedł poczęstować papierosem kierowcę autobusu.

Wyczułam utkwiony we mnie wzrok Jasmine. Upajała się swoją nienawiścią. Z wściekłości łamała koszyk na drobne kawałki.

Ucieszyliśmy się wszyscy, gdy wreszcie pojawił się Jim. Kierowca zatrzasnął drzwi autobusu. Był to stary wóz, trzeba się było dobrze napracować, żeby włączyć bieg. Po trzydziestu minutach byliśmy już poza obrębem Szanghaju.

Głowa Lwa gestem dłoni poprosił Katherine, by usiadła obok niego.

Zanim nauczycielka zdążyła się zorientować, o co mu chodzi, Jasmine zajęła miejsce obok Głowy Lwa. Katherine uśmiechnęła się i przysiadła się do mnie. Głowa Lwa pochylił się ku niej i zapytał, czy może mu pożyczyć walkmana. Wręczyła mu go razem ze słuchawkami.

Przez całą drogę nie zdjął słuchawek z uszu. W ten sposób ukarał Jasmine za jej zaborczość.

Jasmine nie reagowała. Patrzyła przez okno.

Zapytałam Katherine, jak dużo materiałów zebrała do pracy o chińskich kobietach. Odparła, że im dłużej studiuje to zagadnienie, tym większy chaos ma w głowie.

— Nie palą się do wywiadów — rzekła. — A jeśli już się godzą, to nigdy nie mówią prawdy. Mają własny pogląd na tę sprawę i uważają, że dam się na to nabrać. Jediną formą wzajemnego porozumienia się jest rozmowa o niczym, lawirowanie po obrzeżach.

— Nikt ci tutaj nie powie prawdy. Musisz się domyślić, gdzie jej szukać.

— Gdzie? — zapytała z zaciekawieniem.

— Czytałaś powieść „Sen czerwonej komnaty”?

— Próbowałam, ale szczerze mówiąc, nie przypadła mi do gustu. Zbyt rozwlekła. Ludzie spędzają tam życie na rozrywkach umysłowych.

— Takie właśnie są Chiny. Zmyślanie, wymyślanie. Od czasów starożytnych rozrywki umysłowe stanowiły istotę naszej kultury. Aby znaleźć właściwy trop, trzeba przestać o tym myśleć. „Mądry człowiek zabiega o pokarm dla żołądka, nie dla oka”, z czego wynika, że będziesz w stanie tylko wyczuć prawdę. Tak jak drzewa, które nadają kształt wiatrowi, tak jak fale, które obdarzają księżyc energią, siłą witalną. Nigdy ci się nie uda uchwycić prawdy w sensie fizycznym. Musisz opierać się na konkretach, na własnym doświadczeniu, i nie przystosowywać ich do czysto teoretycznych wzorców. Może się to wszystko zdać na nic, jeśli zaczniesz stosować zachodnie metody, zachodnią technikę.

Wyrecytowałam jej stary wiersz:

*Stonoga była szczęśliwa,*

*dopóki ropucha*

*nie rzekła do niej żartem:*

*„Proszę cię, powiedz, która noga podąza za którą?”. Zapanował w jej umyśle ogromny chaos, leżała zbita z tropu, zastanawiając się, jak ruszyć z miejsca.*

Katherine zamrugała niewyobrażalnie wręcz długimi rzęsami. Pamiętam, że kiedyś śniły mi się jej rzęsy. Zamieniły się w krzewy, rzęsy ziemi.

Odwróciła się do mnie i powiedziała, że rozmowa ze mną była bardzo interesująca i że chętnie by do niej później wróciła. Oświadczyłam, że nie życzę sobie wywiadu. Dlaczego, spytała, dodając, że czasem jestem dziwna, że wprawiam ją w zakłopotanie.

Rzekłam, że należy brać przykład ze stonogi. Niechaj wszystko biegnie naturalnym torem.

Wioska Śliwa Daktylowa leży wśród gór, w cudownej okolicy.

Nieprawdopodobnie biednej i nieprawdopodobnie pięknej. Mieszkańcy tej ziemi chodzą w lachmanach, mieszkają w prymitywnych chałupach zbudowanych głównie z granitu. Wieś otaczają drzewa śliwy daktylowej oraz bardzo dziwne krzewy, które tutejsi nazywają „drzewami mydlanymi”. Drzewo mydlane ma brązowe liście i rodzi owoce w kształcie półksiężyca, w strączkach. Kiedy jesienią owoce dojrzewają, dzieci strząsają je, zbierają z ziemi, suszą i układają w koszyku; służą ludziom jako mydło. Miejscowi nie mają zaufania do mydła używanego przez nas. Myją dzieci owocem drzewa mydlanego, piorą nim odzież, zmywają naczynia. Ma fantastyczny zapach, pachnie prawie jak lilia.

Mieszkańcy wsi odznaczają się niezwykłą zyczliwością. Żyją z uprawy krzewów herbacianych i sprzedaży suszonych daktylowych śliw. Nigdy przedtem nie widzieli ludzi z miasta. Wysłali dzieciaki po domowej roboty przekąski ze słodkich kartofli i po suszone śliwy daktylowe — przechowują te przysmaki na uroczystości noworoczne. Rewanżując się, podarowaliśmy dzieciom pomysłowe notatniki, długopisy i kolorowe torby plastikowe. Mieszkańcy wioski pozwolili nam zakwaterować się w szkolnej sali.

Wieczorem, z filiżanką świeżej herbaty w ręku, siedzieliśmy na szczycie góry i podziwialiśmy wioskę. Była jak z dawnego chińskiego obrazu — smugi szarego dymu wydobywały się z kominów. Wąchaliśmy owoce drzewa mydlanego i obserwowaliśmy, jak dzieci witają wieśniaków, powracających z pola z motykami i innymi narzędziami rolniczymi na ramionach. Śmiech i śpiewy rozbrzmiewały w powietrzu.

Właśnie tutaj dowiedzieliśmy się czegoś więcej o Katherine, dziewczynie z Michigan, z Ameryki. Wróciliśmy na boisko szkolne wioski Śliwa Daktylowa i Katherine pokazała nam, jak się wywija koziołki.



Patrzyliśmy na nią zafascynowani. Nie zdziwił nas fakt, że fikała koziołki i jak to robiła; byliśmy natomiast zaskoczeni niedostatkami naszej wyobraźni: nikt z nas nie przypuszczał, że potrafi poruszać się jak sarna, że wywija koziołki jak zawodowa gimnastyczka. Skończyła, zanim ten obraz zapisał się na trwałe w naszej pamięci. Nie śmieliśmy prosić o po-wtórkę. Baliśmy się, że powie, że nic podobnego nie robiła, że to tylko wytwór naszej bujnej wyobraźni.

— Co się z wami dzieje?! — wykrzyknęła. — Nie wypadło to chyba źle, prawda?

Nasza ciekawość osiągnęła apogeum. Zapytaliśmy ją łamaną angielszczyzną, gdzie się tego wszystkiego nauczyła i od kogo.

Roześmiała się, po czym zaczęła opowiadać o swoim rodzinnym mieście, na którego obrzeżach rosną piękne dęby.

— W latach sześćdziesiątych sprzedaliśmy nasz dom i kupiliśmy nowy, z dużym ogrodem. Moi rodzice woleli mieszkać na przedmieściu niż w centrum... — Powiedziała, że tamtejsze jezioro nosi nazwę jezioro Michigan. — I właśnie z powodu tego jeziora rodzice wybrali ów dom.

Ubóstwiałam zapach świeżego powietrza, odgłos fal bijących nocą o brzeg...

Było to dla nas zupełnie niezrozumiałe. Nie znaliśmy pojęcia „woleli”, „wybrali”, „kupili dom”. Byliśmy jak nasiona dzikich roślin.

Wzrastaliśmy i umieraliśmy w miejscu, dokąd zaniósł nas wiatr. Nie przyszło nam nigdy do głowy, że mamy w życiu jakiś wybór, że możemy robić to, co „lubimy robić”. Nigdy nas nie pytano, co „wolimy” albo czy „chcemy dokonać wyboru”. Nigdy nie przypuszczaliśmy, że dom można „sprzedać” lub „kupić”. Zaczęliśmy pojmować, co w życiu straciliśmy, rozumieć, jaką cenę trzeba zapłacić, czego się wyrzec, aby podporządkować się grupie i wyznawanym przez nią ideom.

W miarę poznawania życia Katherine z Michigan, w Ameryce, poznawaliśmy smak czegoś, co było zarazem słodkie i smutne.

Powiedziała, że nie zna swego biologicznego ojca, nigdy go nie widziała.

Matka była od urodzenia ślepa i głucha. Kiedy Katherine miała sześć tygodni, matka dowiedziała się od sąsiadki, że od kilku godzin dziecko zanosi się płaczem; matka nic nie słyszała. Złękła się, że córka może w nocy zachorować, a ona nie będzie wiedziała, co się dzieje. I wtedy podjęła decyzję, żeby ją oddać do adopcji. Katherine miała dwa miesiące. Była zdrowym, silnym dzieckiem, miała ładne, błyszczące, ciemnobrązowe oczy. Podnosiła małą rączkę i przypatrywała się jej z zaciekawieniem. Wyglądało na to, że wszystko jest z nią w porządku, choć istniała możliwość, że może być głucha i ślepa.

Adoptowało ją pewne żydowskie małżeństwo, które miało własne niepełnosprawne dziecko. Gdyby się okazało, że Katherine jednak jest ułomna, nie będzie się czuła osamotniona w swym kalectwie. Jej przybrany ojciec pracował jako robotnik w fabryce samochodów, matka zaś była sprzedawczynią w sklepie spożywczym. Ponieważ oboje rodzice pracowali, Katherine prawie cały wolny czas spędzała w ogrodzie za domem — bawiła się lalkami, patrzyła, jak rosną kwiaty, szukała robaczków świętojańskich — i zawsze czekała z niecierpliwością na powrót rodziców.

Mała dziewczynka bawiąca się w ogrodzie lalkami — miałam ten obraz przed oczami. Mogłabym też narysować inny o sobie — buty z odpadającą podeszwą, łażenie po ulicach w deszczowy dzień, zbieranie grosików dla głodujących dzieci amerykańskich. Oczami wyobraźni widziałam młodziutką Katherine śpiewającą piosenki, zwiedzającą w ogrodzie swoje wymyślone zoo. I przypominałam sobie, jak musiałam zabić mojego jedyne ukochanego zwierzaka — kurę o naj czerwiejszym grzebieniu — w odpowiedzi na wezwanie Mao, by nie dopuścić do choroby w mieście i zarazem wykazać swoją lojalność.

Słuchałam opowieści Katherine o jej samotnym dzieciństwie i wspominałam, ileż to wieczorów stałam przed bramą mojego przedszkola, sama, gdy wszyscy już poszli. Czekałam na rodziców wracających z drugiej zmiany; choć bywało też, że w ogóle się nie pokazali.

Obrazy mieszały się w moim umyśle, nakładały na siebie, i jej łzy stawały się moimi, a moje — jej.

Katherine mówiła teraz o rzeczach zakazanych, o Bożym Narodzeniu i amerykańskich rodzinnych tradycjach; o swoich idealistycznych marzeniach — wstąpiła swego czasu do wyznającego humanitarne ideały Korpusu Pokoju; o tęsknocie, miłości i namiętności; o zafascynowaniu chłopakiem z sąsiedztwa — ona miała szesnaście lat, on siedemnaście.

Pewnej księżycowej nocy, pod wielkim dębem młodzi uznali, że nie sposób stawiać tamy własnej namiętności. Byli w sobie zakochani, nie przejmowali się brakiem pieniędzy, szkołą, tym, że istnieją pewne granice, których nie należy przekraczać. Być razem albo umrzeć — to była ich dewiza. Chłopak wkradł się po cichu do pokoju Katherine, brał ją w ramiona, ich ciała zespalały się.

— Był taki czuły i delikatny. Bez przerwy się całowaliśmy, przez całą noc. Zasypialiśmy ze łzami szczęścia na twarzy. Boże, nie do wiary, że tyle czasu minęło. Było to jak pieśń, jak film, jak poemat, zawsze jest to we mnie, każe mi pamiętać, że bywają w życiu cudowne chwile.

Miękkie, ciepłe brzmienie głosu Katherine... Byliśmy wzruszeni do głębi.

Nasze serca przepajała słodycz. Cała klasa zakochała się w niej i ta miłość będzie użyźniać glebę naszych serc.

Podczas powrotu z gór moje stosunki z Głową Lwa uległy zacieśnieniu.

Spędziliśmy trzy dni w wiosce Śliwa Daktyłowa, wśród chłopów, i uczyliśmy się kochać chiński krajobraz. Kąpaliśmy się, myliśmy nasze ciała owocami drzewa mydlanego, dzięki czemu każde z nas pachniało lilią, wszyscy byliśmy przesiąknięci tym zapachem.

Ta wycieczka z Katherine rozświetliła nasze dusze. W drodze powrotnej, w autobusie, nie mogłam się powstrzymać i wciąż coś do niej mówiłam.

Moje usta były jak podniesiona na rzece zapora, słowa płynęły z nich strumieniem. Zadawałam jej mnóstwo pytań, nawet tych, których nigdy nie zadałabym moim rodakom: pytałam o mężczyzn, jacy się jej podobają, jakich uważa za atrakcyjnych. Zdziwiła mnie jej odpowiedź, że uważa Głowę Lwa za atrakcyjnego mężczyznę. Od tej chwili zaczęłam na niego patrzeć całkiem innymi oczami.

Powiedziała, że mężczyzna powinien być pewny siebie, działać zgodnie z własną wolą i mieć swój styl. Rozejrzałam się, popatrzyłam na kolegów i doszłam do wniosku, że istotnie Głowa Lwa najbardziej odpowiada tym wymogom. Rzeczywiście miał styl, i to dosyć niesamowity.

Wyznała mi, że Głowa Lwa jej się śnił, a ona wcieliła się w rolę Jasmine.

To był „gorący sen”. Poprosiłam, żeby mi to wyjaśniła.

— Gorący. Seksualny. — Roześmiała się.

Patrzyłam na nią ze zdumieniem. Czy to znaczy, że Katherine pożąda Głowy Lwa? Obejrzałam się w jego stronę; spał jak małe dziecko na końcu autobusu, z jego twarzy emanował spokój. Przyszedł mi na myśl anioł z bożonarodzeniowych opowieści Katherine.

Słowa Katherine tak na mnie podziałały, że Głowa Lwa stał się dla mnie mężczyzną o nieodpartym uroku. Jego dziwaczny śmiech uznałam za czarujący, a jego wypowiedzi za niezwykle mądre, dające wiele do myślenia. Zaczęłam uważać tego chłopca-mężczyznę za Syna Światła; dokądkolwiek się udał, roztaczał się tam blask, kwitły kwiaty. Jego arogancja podsyciała moje pożądanie. Rozumiałam już teraz, dlaczego Jasmine trzymała się go tak kurczowo.

Od moich sąsiadów wyprosiłam dla niego kilka tradycyjnych obrazów utrzymanych w żółtej tonacji. Wyraził uznanie dla mojego „perwersyjnego” gustu. W zamian podarował mi suszone owoce drzewa mydlanego, które przywiózł ze Śliwy Daktyłowej. Powiedział, że kocha ten zapach. Ilekroć go odwiedzałam, chciał koniecznie wachać mi szyję.

Że niby stał się człowiekiem drzewa mydlanego.

— Jasmine nie ma już owoców tego drzewa i jej ojciec jest wściekły, że nie zaopatrzyłem odpowiednio jego córki.

Któregoś dnia Głowa Lwa oznajmił mi, że pan Han przeprowadził z nim poważną rozmowę. Nie wątpił, że Głowa Lwa rozumie, iż cała jego przyszłość zależy od Jasmine. Pan Han uprzedził go, co może się wydarzyć, jeśli w dalszym ciągu będzie zaniedbywał jego córkę.

Głowa Lwa powiedział mi, że uważa się za człowieka miłującego wolność. Zniewolić go to znaczy pozbawić życia. Usiłował lawirować wokół pułapki zastawionej przez dyrektora szkoły, ale pan Han nie był głupi. Ostrzegł Głowę Lwa, że istnieją zasady, których nie wolno złamać, i granice, których nie wolno przekroczyć.

— Przetnąc kark Jasmine, jeśli ten stary podlec znowu mi wykręci taki numer — oświadczył Głowa Lwa i podjął pewną decyzję. Postanowił uznać wolę wszechwładnego dyrektora, ale nie kosztem własnego cierpienia. Wkroczy do królestwa ducha, gdzie sam sobie będzie panem.

Wierzył, że drogą wyzwolenia jest stopniowe uwalnianie siebie od wszelkich form tożsamości, uświadomienie sobie, że nie jest się tym ciałem, tymi myślami, tą świadomością. Wyjaśnił, że w ten sposób można zmienić istotę realnego życia.

— Po to by wzrastać — powiedział — muszę przestać wiedzieć. Jestem władcą wiedzy, a władca wiedzy może znać się na różnych innych rzeczach, ale nie może uczynić z siebie obiektu własnej wiedzy, tak jak ogień może spalać różne rzeczy, lecz nie może spalić siebie.

Z trudem zrozumiałam jego wywód. Raz był człowiekiem czynu osiagającym w pędzie cel, jaki sobie postawił; innym razem był żyjącym z dnia na dzień wędrowcem. Kiedy przelewał na mnie cały strumień tej swojej filozofii, brzmiało to wszystko całkiem sensownie. Ale gdy po powrocie do domu zaczęłam się nad tym zastanawiać, stwierdziłam, że jego słowa nie pokrywają się z czynami. Z jednej strony robił z siebie bezwonną marionetkę, ofiarę okoliczności; z drugiej — głosił, że jest wszechwładnym reżyserem swego życia, wolnym od wszelkich ograniczeń, podobnie jak, według filozofii Zen, księżyc odbija się w lustrze wody; że jest fenomenem uosabiającym całe ludzkie doświadczenie. Woda jest podmiotem, księżyc — przedmiotem. Bez wody nie byłoby odbicia księżyca na jej powierzchni, tak jakby w ogóle go nie było. Gdy księżyc pojawił się na niebie, woda natychmiast przyjmowała go. A kiedy najmniejsza nawet kropla padała obok, księżyc w jednej chwili darował jej blask; mimo iż zamiarem księżyca nie było obdarzenie czegoś blaskiem, woda zaś z własnej woli nie przyjmowała go na swoją powierzchnię.

Księżyc i woda. Głowa Lwa wypowiadał się swobodnie na podobne tematy. Powiedział, że jest człowiekiem, który „zachowuje spokój, nigdy go nie traci i nie zna uczucia skrepowania”.

Pewnego dnia przyniósł kwiaty Jasmine, a mnie zaprosił do siebie na wieczór. Poszliśmy do parku i całymi godzinami spacerowaliśmy w mroku zapadającej nocy. Opowiadał mi o Jasmine i ojej koszmarnym ojcu. Mówił ze spokojem o przetrwaniu i o tym, że ma ambicję zostać bohaterem naszych czasów, że Jasmine robi żalostną minę i zawsze otrzymuje, co chce. Prawda jest taka, że ona nigdy nikomu nie ustąpi. I wygrywa. Swoim zachowaniem doprowadza do tego, że ludzie czują się winni wobec niej i w końcu ulegają. Taka była od dziecka. Jej łzy zawierają truciznę.

— Nigdy mnie przy sobie nie zatrzyma — powiedział z mocą. — Nie jestem niczyją konkubiną.

Podziwiałam go. Pod pozorami niezłomności — dostrzegłam to — kryło się pragnienie, by ktoś wsparł go w tej niebezpiecznej grze. I ofiarowałam mu swoją pomoc.

Któregoś wieczoru miał w domu alkohol. Zgarnął do kąta swoje starocie i usiadł na bambusowym łóżku. Potem położył się i kazał mi usiąść obok na krześle. Za krzesłem stał kwadratowy stół; świeciła się na nim lampa.

Półki były pełne książek, spora ich sterta piętrzyła się również na podłodze. Jego ubranie wisiało na haku wbitym w drzwi.

Patrzyliśmy z bliska na siebie. Czułam zapach mydłanego drzewa. Oczy Głowy Lwa błyszczały. Zapytał mnie, czy wiem, co to dzisiaj za dzień.

Przypomniałam sobie nagle, że dziś jest na niebie półksiężyc. Głowa Lwa nalał mi alkoholu do filiżanki. Powiedziałam, że nie piję. On na to, że choć łyček. Spełniliśmy toast.

Antyczny zegar głośno wybijał godziny. Jak zamierające dźwięki nakręcanego samochodziku. Alkohol mi smakował. Twarz mnie paliła. Nieważne. Głowa Lwa powiedział, że przyrządził jarzyny na słodko-kwaśno i pikle. Zajęło mu to trzy dni.

— Pierwszego dnia krajesz jarzyny i solisz — mówił. — Drugiego splukujesz sól, po czym wrzucasz jarzyny do garnka z osłodzonym octem; szczelnie przykrywasz garnek pokrywką. Trzeciego dnia dolewasz trochę octu, mieszasz jarzyny, ugniatasz je z lekka i niech stoją.

Smakują później doskonale. Kruche i słodkokwaśne.

Jadłam jarzyny. Kruche, słyszałam, jak chrupią mi w zębach. Łyknełam trochę trunku. Czułam się lekko, krew szybciej płynęła mi w żyłach.

Wyciągnął dłoń i dotknął palcem mojego policzka.

— Jesteś dziś starożytną boginią — powiedział. Zapytał, czy mam ochotę wysłuchać dawnego wiersza, którego autorką jest Li Jing-dao.

— Wiem o niej wszystko — rzekłam. — Uwielbiam ją, jej poezje.

— Świetnie — odparł. — Powiedzmy głośno ten wiersz.

*Niknie woń czerwonego lotosu,*

*jesienny chłód dotknął bambusowej maty.*

*Rozpięłam swoją przewiewną szatę*

*i płynę samotnie na łodzi z orchidei.*

*Kto przez zwały chmur śle owo wytworne posłanie?*

*Gdy dzikie gęsi powracają kluczem w rodzinne strony,*

*komnatę od zachodu wypełnia światło księżyca.*

*Opadają płatki kwiatów, rzeki płyną w dal.*

*Obraz miłości,*

*dwa oddzielone od siebie smutki. Nie sposób odpędzić to  
uczucie. Gdy schodzi z oczu, wchodzi do serca.*

Głowa Lwa zaproponował, żebyśmy pojechali do Wilczych Zębów na Święto Półksiężyca. Wilcze Zęby leżały poza miastem; cztery godziny jazdy autobusem. Znajdował się tam przy skale starożytny ołtarz. Zabobonni ludzie przyjeżdżali do Wilczych Zębów, by modlić się o zbawienie.

Przybyliśmy tam tuż przed północą. Mieliśmy ze sobą latarki, ale nie były potrzebne — księżyc świecił tak jasno, że oświetlał wszystko wokół. Nad ołtarzem rosły wielkie krzewy. Usiedliśmy obok i czuliśmy się tak, jakbyśmy siedzieli pod jakimś sklepieniem. Uniosłam wzrok i ujrzałam skałę w kształcie wilczych zębów, rysującą się wyraźnie w świetle księżyca. Zwisaly z niej różne górskie rośliny, zupełnie jakby to była broda samego Boga. Za skały docierał do nas odgłos wodospadu, jak gdyby Bóg, czyniąc zadość swoim potrzebom, opróżniał pęcherz.

Zapach dzikich kwiatów wdzierał mi się w nozdrza. Liście drżały na wietrze. Czułam mowę ziemi. Powoli nadchodziła zewsząd mgła, odbierając nam twarze, przykrywając nas jak prześcieradłem. Noc nadawała barwę naszej skórze. Księżyc oblał blaskiem pobliską chmurę.

— Czy dzisiejszej nocy wilki stąd odeszły? — zapytałam, choć wiedziałam, że wilki od stu lat nie pojawiły się w tej okolicy.

— Boisz się? — spytał Głowa Lwa. Głos mu drżał z podniecenia. — Ja kocham ciemność. — Odwrócił się i spojrzał na mnie. Lwie włosy stanęły mu dęba.

Zapytał mnie, czy moim zdaniem jest atrakcyjnym mężczyzną.

Odparłam, że do tej pory uważałam, iż nie. Zapytał dlaczego. Wyznałam z ociąganiem, że nie podobał mi się jego niski wzrost, nieokrzesanie, arogancja. Roześmiał się.

— Co sprawiło, że zmieniłaś zdanie?

Przyznałam, że stało się to za sprawą Katherine. Pod jej wpływem zwątpiłam w swoje poczucie estetyki; pod jej wpływem bestia wypiękniała. Katherine nauczyła mnie traktować naturę jako całość, doceniać indywidualizm, szanować wyjątkowość. Spojrzałam na niego oczami Katherine i zaczął mi się podobać; ufałam jej i dostrzegłam piękno, w którego istnienie nigdy nie wierzyłam. Kiwał aprobująco głową i powiedział, że mam szczęście.

Zapytałam go o jego dzieciństwo, rodzinę. Odparł, że był najstarszy spośród siedmiorga dzieci. Ojciec pracował jako robotnik, matka była praczką. Od piątego roku życia chodził po brudną odzież do ludzi, a potem odnosił czystą. Najbardziej wbiło mu się w pamięć uczucie głodu.

Zrobiłby wszystko, by zdobyć pożywienie. Kradł różne produkty, by nakarmić braci i siostry. Nauczył się oszukiwać ludzi, a gdy zdarzyło się, że przyłapano go na kradzieży, udawał niewiniątko. Zawsze potrafił jakoś wybrnąć z tarapatów. Już jako bardzo młody chłopak nauczył się być oportunistą.

Był nieduży jak na swoje lata i musiał ciężko pracować, by przebrnąć przez szkołę. Ale dzięki dobremu, od-trzech-pokoleń-prawdziwie proletariackiemu pochodzeniu by uczniem politycznie pewnym. Mając szesnaście lat, wstąpił do partii komunistycznej i jako dobry towarzysz zdobywał co roku pochwały.

Zdawał sobie sprawę, że nie był tym, za kogo uchodził. W szkole kradł książki; zachodnie, które uświadomiły mu, czego naprawdę pragnie.

Udało mu się zdobyć zaufanie wysokich rangą towarzyszy partyjnych i innych prominentów. Osiągnął to, że wszyscy uznali, iż jest szczery, wierzyli, że jest gotów umrzeć dla partii. Stał się w oczach partii wiernym sługą, co pociągało za sobą liczne przywileje. Kiedy podczas ceremonii z okazji zjazdu partii przysięgał dochować jej wierności, nie miał poczucia winy z powodu tych łągarstw. Uznał bowiem, że jedynie kłamstwo stwarza możliwość życia opartego na prawdzie.

Powiedział, że zwierza mi się, bo zostaliśmy ulepieni z tej samej gliny.

— Jesteś kobietą o skomplikowanej osobowości — rzekł. — W ciągu dnia przybierasz maskę damy, tak jak ja dobrego kumpla. Dopiero wieczorem stajemy się naprawdę sobą. W ciemności możemy postępować wedle naszej woli. Gdy przewodniczący Mao zamyka oczy, my, niczym sowy, udajemy się na łowy. Jesteśmy zbyt sprytni, aby umierać z głodu, i zbyt

ciekawi świata, żeby marnować własne życie. A chcąc zachować tożsamość, musimy odpowiadać na wołanie innych. Jak fale radiowe w powietrzu włączamy się do odpowiednich kanałów.

Dreszcz mi przeszedł po plecach, nie mogłam wydusić z siebie ani słowa.

— Jesteśmy tutaj i to jest nasz los. Nie sędzę, byś chciała mnie się pozbyć, bo jedziemy na tym samym wózku. Potrzebujemy się wzajemnie, ty dostarczasz duchowej strawy mnie, ja — tobie. Wyrzeczenie się mnie oznacza wyrzeczenie się siebie. Wiem, że myślisz, iż moje słowa są chłodne, bez uczucia, ale pozwól sobie przypomnieć, że trzeba sporo uczucia, by przyjechać tu z tobą, wiesz przecież, jakie ryzyko jest z tym związane. Daj mi teraz radość, a ja odplacę ci się tym samym. Zrzućmy z twarzy tę proletariacką maskę. Obnażmy się, bądźmy zwierzętami.

Odkryjmy nasze prawdziwe ja.

Rozebrał się. Położył się obok mnie. Dotknął mnie z czułością. Ciepło jego ciała przyprawiło mnie o drzenie. Szeptał coś. Powiedział, że jest ciekaw, czy rozumiem określenie „szczyt wiatru”, albowiem takim „szczytem wiatru” jest właśnie on. Był wiatrem. Poruszał się wedle jego woli. Wolny duch Głowy Lwa był wszędzie i nigdzie. Nadchodził bezgłośnie, a żaden cień za nim nie podążał.

Zapytał mnie, skąd pochodzę. Chciał, bym zdała mu suchą relację o swoim życiu, i tak też uczyniłam. Moja rodzina wywodziła się z południowej części kraju. Dziadek był urzędnikiem bankowym. Niewysoki człowiek, w okularach o grubych szklach na nosie. Cały czas się bał. Bank zbankrutował i dziadek stracił pracę.

Rodzina przeniosła się z prowincji Szandong do Szanghaju.

W drodze do Szanghaju, na okręcie, moja matka, trzynastoletnia wówczas dziewczynka, przeżyła załamanie nerwowe. Wybuchła tam wtedy epidemia tyfusu. Starszy brat matki i młodsza siostra zapadli na tę chorobę. Ani pieniędzy, ani lekarza. Konali. Pasażerowie byli przesądni; ich zdaniem, jeśli ktoś umrze na okręcie, okręt zatonie. Wyrzucili za burtę brata i siostrę, zanim ci wydali ostatnie tchnienie. Działo się to na oczach mojej matki — była w szoku. Ani pożegnania, ani łez. Załamała się, zapadła w sobie. Rodzina nie była już tą samą rodziną. Rok później moja babcia zmarła na raka gardła. Wkrótce potem dziadek, nagle, na zawał serca.

Matka wyszła za mąż za ojca, gdy była jeszcze studentką — chciała zostać nauczycielką w szkole podstawowej. Wierzyła święcie, że tylko powszechna edukacja zbawi Chiny. Ojciec był sprzedawcą w sklepie spożywczym. Od piątego roku życia pomagałam mu we wszystkim.



Potem nastął czas „ruchu antyprawicowego”. Siły bezpieczeństwa partii aresztowały o północy mego ojca. Spałam wtedy twardym snem, śnił mi się pociąg w pędzie, bo słyszałam przez sen hałas. Jacyś ludzie walili w nasze drzwi. Wyważyli je wreszcie i zabrali ojca. Jako zwolennika kapitalizmu. Było to trzeciego marca 1959 roku. Rodzice mieli właśnie obchodzić dziesiątą rocznicę ślubu.

Oskarżono ojca o zdradę stanu, bo przed 1949 rokiem, przed wyzwoleniem narodu przez partię komunistyczną, pracował jako strażnik kolejowy, a był wtedy uczniem szkoły średniej, nastolatkiem. Całe oskarżenie oparli na jego własnych zeznaniach. Mógłby zataić przed partią swoją przeszłość. Nie musiał mówić prawdy. Mógłby wszystkiemu zaprzeczyć, tak jak to robiło wielu jego kolegów. Ale on był uczciwy.

Sądził, że praca w straży kolejowej to żadne przestępstwo. Miał przecież zadanie chronić pasażerów, a więc klasę robotniczą.

Uczciwość zabiła mego ojca. Został skazany na dwadzieścia lat więzienia, ponieważ potrzebny był jeszcze jeden człowiek do wypełnienia liczby, ustalonej w odpowiedzi na wystosowany przez przewodniczącego Mao apel o walkę z prawicowym odchyleniem. Na całe dwadzieścia lat ojciec był zmuszony opuścić żonę i małe dzieci.

Nienawidziłam pociągów, ponieważ zabrały mi ojca.

Po jego odejściu stałam się inną dziewczynką. Czarodziejskie opowieści matki straciły dla mnie urok, nie wywierały już żadnego wrażenia.

Lekcja, jaką było dla mnie uwięzienie ojca, wryła się w mój mały mózg.

Nauczyłam się jednego: uczciwość nie popłaca, uczciwość jest równoznaczna z głupotą. Nie mogłam zapomnieć chwili, kiedy zabierano ojca. Straciłam zaufanie do wszystkiego i wszystkich. Jeden jedyny raz pozwolono ojcu odwiedzić rodzinę, miałam wtedy osiem lat. Popęłnił grzech i całe nasze życie obrócił w ruinę.

Uniewinniono go w roku 1979. Wyszedł na wolność zaopatrzony w świstek papieru z adnotacją, iż jest „dobrym towarzyszem”. Wyszliśmy po niego na dworzec. Nie poznałam go. Patrzę, a tu moja matka bierze torbę z rąk jakiegoś starego człowieka. Starzec szedł na drżących nogach.

Matka kazała nam powiedzieć do niego „tato”, co nieśmiało uczyniliśmy.

Ojciec miał zupełnie białe włosy. Kiepsko widział. Gdy przechodziliśmy przez ulicę, mało brakowało, a wpadłby pod autobus. Cały czas wzdychał i wzdychał, i przecierał oczy. Dziwnie się zachowywał. Spał tylko przy palącym się świetle.

Matka stała się zdziwaczalą starszą panią. Od samego początku miała z ojcem ciężki los. Przywykła żyć własnym życiem. Inni mężczyźni byli dla niej uprzejmi, ale czekała na ojca,

robiła to dla nas. Przez ostatnie dwadzieścia lat marzyła o połączeniu rodziny, i spełniło się jej marzenie.

Lecz ojciec nie był już tym mężczyzną, jakiego знаła. Zawiodła się na nim.

Był niespełna rozumu. Matka mówiła ciągle o swojej zmarnowanej młodości. Co za pech, że poślubiła takiego człowieka. Miałam po dziurki w nosie tego jej narzekania, ale potrafiłam ją zrozumieć. Ja też bym z nim nie wytrzymała. Jego umysł był wciąż uwięziony. Wciąż czegoś się bał.

Przez całe lato okna musiały być zamknięte. Bał się promieni słonecznych. Wolał siedzieć w zaduchu, niż wyjść na dwór i zażyć świeżego powietrza. Krzyczał przez sen: „Tak jest! Śmierć reakcjonistom! Niech żyje przewodniczący Mao!”. Zdarzyło się raz, że obudził tym krzykiem wszystkich sąsiadów. Matka powiedziała, że chyba przepędzono go z piekła, bo budził umarłych, i bogini piekła orzekła, że przysparza tylko kłopotu.

Wychowałam się na ulicy. Myślałam, że zasłużyłam sobie na to, bo mój ojciec siedzi w więzieniu. Był wrogiem proletariatu. Kiedy miałam dziesięć lat, oskarżyłam publicznie mego ojca. Przyjęłam nazwisko matki. Miałam szalone myśli o przyszłości, o życiu bez poczucia winy.

Chciałam być sierotą, córką męczennika, który zginął, broniąc ideałów rewolucji. Wyobrażałam sobie, że zostaję ranna w wypadku samochodowym, ratując trójkę dzieci, i w nagrodę stoję przed obliczem Mao. Oto jakie miałam marzenia, gdy uczęszczałam do szkoły podstawowej.

Głowa Lwa, przytulając mnie, przysłuchiwał się w ciemności moim słowom. O Słoniowych Polach tylko mu wspomniałam. Na przykład to, że dowódca wioski w dniu mego przybycia zaprosił mnie na rodzinny obiad. Na tę okoliczność rodzina ugotowała ogromny gar ryżu.

Czekałam, kiedy podniosą czarną pokrywkę i raptem dotarło do mnie, że to nie pokrywka, tylko warstwa much. Gruba, czarna latająca pokrywka.

Zrezygnowałam z poczęstunku.

Wieśniacy bez mrugnięcia okiem pałaszowali ryż razem z muchami.

Mieszkałam z pewną rodziną osiem lat i w końcu i ja bez wahania jadłam ryż z muchami. Gdy wyjeżdżałam stamtąd, miałam dwadzieścia sześć lat i siwe włosy.

Wyczuł, że drzę. Powiedział, że nie muszę ciągnąć tej opowieści. Że rozumie, iż w Słoniowych Polach straciłam wszystko, co miałam — marzenia i, co najważniejsze, wiarę w ludzi. — Że to, co opowiedziałam, jest nie tylko historią mojego życia, lecz historią wielu ludzi z naszego pokolenia.

Patrzyłam na niego, gdy pochylił się, by mnie pocałować. Szeptał, że dotknęło nas tyle nieszczęść i teraz musimy cieszyć się życiem. Błądził

rękami po moim ciele — cała byłam spięta. Pragnęłam intymności, ale w moim mózgu zapalało się czerwone światełko. Przeżywałam coś w rodzaju rozdwojenia jaźni. Z jednej strony chciałam rzucić się w jego objęcia, z drugiej — opierałam się temu napływowi namiętności. Chciałam być kochana, lecz zdawałam sobie sprawę, że to, co czuję do Głowy Lwa, to tylko pociąg fizyczny.

Jego dotknięcia były jak dolewanie oliwy do ognia. Szeptał, że szaleje za mną, że mnie pragnie, a moje ciało wiło się z rozkoszy. Umysł nie był już taki oporny. Krople potu z jego czoła kapały mi na twarz. Poddałam się jego woli.

Po północy zerwał się wiatr. Pędy trawy grzebienicy muskały mi twarz.

Płakałam, bo od tak dawna nikomu nie pozwoliłam się dotknąć.

Delikatność i szlachetność Głowy Lwa sprawiły, że uwierzyłam w jego miłość. Obudził moje ciało, obudził wspomnienia. Wbrew woli jawiły mi się z całą ostrością obrazy z dawnych lat. Szare niebo, dynamit, krew spływająca mi po nogach, ściekająca do butów, wycieranie o trzcinę zakrwawionych dłoni, bieg, usuwanie się ziemi spod stóp, bezgłośny krzyk, pochylająca się linia horyzontu.

Wyczuł, że drzę. Przerwał pieszczoty. Przytulił mnie mocno, jak gdyby wiedział, co mnie dręczy. Gładził mnie po policzkach. Pomyślałam o Katherine — chciałam być nią, nie byłabym tak skrępowana, niespokojna. Zdumiały mnie te myśli, że tak bardzo chciałam być nią, nie sobą. Brzmiał mi w uszach jej śmiech, jej cudowny głos, gdy mówiła po chińsku.

Znowu mnie pieścił. Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo mnie zubożono. Objęłam go. Czułam się jak małe dziecko.

— Jesteś ptakiem z podciętymi skrzydłami — powiedział miękko. — Chcę sprawić ci nowe. Chcę, żebyś latała. Żebyś była ci potrzebna, żebyś mogła na mnie polegać, żebyś tak jak ja szalała z pożądania. Rzucę latarkę do wodospadu, byśmy nie mogli wrócić do domu, by ogarnął nas lęk. Będziemy ochraniać się wzajemnie, będziemy razem walczyć z demonami lęku.

Leżał na mnie, pieścił mnie jego oddech, pieściły jego słowa.

— Nie martw się. Nie wejdę w ciebie. Czuj podmuch wiatru — szeptał mi do ucha. — Wsłuchaj się. Słyszysz odległy jęk morskich fal. Słuchaj uważnie. — Moja wyobraźnia była w ciągłym ruchu, jak fale morskie. —

Słyszysz śpiew wiatru wśród drzew — mówił dalej. Jego włosy omiatały mi twarz. — Okaż mi swój żar, teraz, natychmiast!

Poruszał się na mnie i nagle się odsunął — od moich ust, od moich piersi.

— Nie — rzekł przez zaciśnięte zęby. — Nie łam swoich zasad.

Ciemność cię pożre, zniekształci.

Prąd elektryczny przebiegł mi przez ciało. Nasze pożądanie było jak chłód mogiły. Chciałam go prosić, błagać, żeby mnie dotykał. Chciałam powiedzieć: „Proszę cię, weź mnie znowu w ramiona”. Milczałam jednak. Wstydziałam się swego pożądanego.

— Powiedz mi, że tego nie chcesz — zażądał. — Powiedz, że chcesz być sama, zawsze sama.

Czułam, że moje ciało gotowe jest go przyjąć.

— Powiedz mi, że mnie potrzebujesz, powiedz, niech usłyszę to z twoich ust — jęknął. Twarz miał wilgotną, usta — słodkie.

— Chcę ciebie — usłyszałam swój głos. Chwycił mnie za ramiona, potrząsnął.

— Ty jadowita żmijo, ty czarna chmuro, ty siąpiący deszczu, ty głodny tygrysie, bij mnie, odbierz mi życie, daj mi swoje, ja daruję ci siebie.

Prowadził moje dłonie, bym poznała jego ciało. Rozkoszował się oczekiwaniem rozkoszy. Upajał się torturowaniem, okrucieństwem.

Patrzył, jak przemieniam się w dzikie zwierzę.

Nasze ciała toczyły ze sobą walkę. Nie był we mnie, opóźniał tę chwilę.

Gdy miał już przyspieszony oddech i z trudem łapał powietrze, oderwał się od mego ciała, wysunął do przodu, tak że jego kolana były tuż nad moją twarzą.

— Powiedz, że mnie pożądasz — rozkazał i moją ręką dotknął siebie.

— Pożądam cię — powtórzyłam za nim z zapartym tchem. Głowa Lwa, leżąc na wznak, jęczał jak wycie morza w czasie nocnej burzy.

— Och, mój ty dziki rumaku! Mój trujący skorpionie, mój słodki bie, mój kwiecie lotosu...

Drugą ręką szarpał trawę, grzebał w ziemi, wyginając się ku księżycowi.

Drżałam w przyływie gwałtownej rozkoszy.

— Czekaj na mnie — mruknął. — Wrócę.

— Można śmiało rzec, iż coś się wydarzyło. — Szczerze Katherine spieszyła mnie, choć bardzo pragnęłam móc się komuś zwierzyć. Chciała się dowiedzieć, jak to się stało, co czułam, czy jestem zakochana. Nie znajdowałam odpowiednich słów.

Zapytała, czy Głowa Lwa jest dobrym kochankiem. Odparłam, że nie mam skali porównawczej. Więc poprosiła o szczegóły. Chciała poznać chińskie metody — tak to określiła.

W głębi duszy byłam rada, że zainteresowałam ją sobą.

— Głowa Lwa chciał mi dać rozkosz i dopytywał się, czy jej doznałam — tak zaczęłam swoje zwierzenia.

— A doznałaś? — zapytała. Oczy jej błyszczały. Powiedziałam, że nie mam pewności co do swoich uczuć.

Nie jestem ani zadowolona, ani niezadowolona z tego, co się stało.

Czułam pożądanie i bardzo mnie to krępowało. Pamiętam, że go pragnęłam, a co do reszty nie jestem pewna.

— To dobrze, że masz wątpliwości — pocieszyła mnie. — Wasi mistrzowie Zen twierdzą, że prawdziwy stan uczuć nie podlega klasyfikacji. Jest niepoznawalny. Tak jak nie można chwycić dłonią tej samej dłoni. Jest takie stare amerykańskie powiedzenie: Związek z osobą płci odmienną to jak zakup butów; musisz je zmierzyć i przekonać się, czy są na ciebie dobre.

Nie spodobało mi się to amerykańskie powiedzenie. Brutalna szczerłość Katherine dotknęła mnie.

— Nie jestem butem do mierzenia.

— Wybacz mi — rzekła. — Ale wiedz, że staram się być twoją przyjaciółką.

Poinformowałam ją, że Chińczycy nazywają prostytutki „znoszonymi butami”.

Liście za moim domem wyglądały jak wycinanki. Nie mogłam spać.

Świat wokół mnie wydawał mi się zupełnie bez sensu, mimo to nie potrafiłam się powstrzymać od próby nadania mu jakiegoś znaczenia.

Może właśnie to łączyło nas ze sobą, mnie i Głowę Lwa, że chętnie ucieklibyśmy z tego bezsensownego świata. Lecz jego wypowiedzi na temat tej ucieczki były pełne sprzeczności. Mówił o uwolnieniu umysłu, o płynięciu z prądem, niczym piłka rzucona do górskiego strumienia, jak transcendentalna byłaby to ekstaza, i zaraz dodawał:

— Ja naprawdę chcę uciec. Daleko, i nigdy nie wrócić.

Chcę uciec tam, gdzie nikt nie będzie sterować moją wolą, gdzie będę wolny i będę mógł robić to, na co mam ochotę. — Powiedział, że tylko czeka na odpowiednią okazję. — Módl się za mnie w tych swoich świątyniach.

Usiłowałam podążyć za tokiem jego myślenia, ale było to tak, jakbym czerpała wodę sitem. Gdy zapytałam go, co według niego oznacza miłość, zaśpiewał mi tę oto starodawną pieśń.

*Chin-chin-tse-chin Youg-youg- wou-shin. Kolor twego szala jest wiosną mego serca. Chin-chin-tse-pei Youg-youg wou-si. Twoje kobiece koronki są nicią mego pożądania.*

— Miłość jest pieśnią — ciągnął. — Spektaklem. Wielbię miłość za jej magię. Zapytałaś niewłaściwą osobę. Wzrastaliśmy w nienawiści, skąd mamy wiedzieć, co to jest miłość?

Tej nocy znów rozmyślałam o życiu mego ojca w więzieniu, o jego pojedynczej celi, nie większej niż trumna. O małym okienku, jedynym źródle światła i powietrza. Jak nie mógł się wyprostować, jak leżał na gołym betonie, nie na pryczy, jaki był bezbronny wobec zimy, jak stawy u rąk i nóg zaczęły mu odmawiać posłuszeństwa. Dwadzieścia lat tęsknoty, kiedy to nie było minuty, w której by nie myślał o swojej żonie i dzieciach, jak też one sobie radzą. Dwadzieścia lat potwornej samotności.

Zdaniem partii „samotność jest skalpelem, którym operuje się duszę”.

Ojciec ufał swoim marzeniom, że przeżyje.

W przeciwieństwie do Głowy Lwa miałam uczucie, że wiem, co to miłość, bo zbyt dużo doświadczyłam nienawiści. Wiedziałam, co znaczy dziecięca tęsknota do ojca. Wiem, co czułam, kiedy siedziałam na chodniku, marząc o tym, jak powitam wysiadającego z autobusu ojca.

Zrozumiałam, że okrucieństwo zimy pozwala nam docenić ciepło wiosny, nieznośny upał lata, chłód jesieni.

Któregoś dnia, wczesnym wieczorem odwiedziłam Katherine; chciałam się dowiedzieć, jak postępuje praca nad jej „chińskim dziełem”. Był to oczywiście pretekst, żeby się z nią zobaczyć. Nie wspomniała już nigdy o płaceniu mi za lekcje konwersacji; być może zrozumiała, że tylko przyjaźnią może mi się zrewanżować.

Stwierdziłam, że Katherine wydawała mi się interesująca bez względu na to, co robiła czy powiedziała. Zakotowałam sobie w pamięci słowa, jakie padały z jej ust. Mówiła ciekawe rzeczy, które nigdy nie przyszły mi do głowy, na przykład:

— Pozwól dojść do głosu swoim najgłębszym, najszczerszym uczuciom.

Tłumaczyła mi i tłumaczyła, zanim rozumiałam, o co jej chodzi.

Powiedziała, że miała na myśli ten rodzaj wzruszeń, jaki znajduje wyraz w poezji i jest porównywalny z uczuciami, które towarzyszą powstawaniu wiersza.

Czasem zupełnie nie mogłam za nią nadążyć, ale wsłuchiwałam się uważnie w każde wypowiedziane przez nią słowo. Nie posiadałam się z zachwytem, ponieważ pobudzała mnie

do myślenia nie znanymi mi dotąd metodami. Mówiła, a ja się w nią wpatrywałam. Wydawało mi się niekiedy, że śnię. Była moim oknem, przez które oglądałam całkiem inny świat.

Śmiała się szczerze. Usłyszawszy, że jestem zażenowana tym, co wydarzyło się między mną a Głową Lwa w Wilczych Zębach, wybuchnęła śmiechem. Powtarzała mi wciąż:

— Pamiętaj, masz dwadzieścia dziewięć lat. Gdybyś mieszkała w Ameryce, byłabyś od dawna mężatką, a może i rozwódką. Tak to wygląda.

— Nie! Nie! Nie! Mylisz się! — Usiłowałam jej tłumaczyć: — Musisz zrozumieć różnicę między Zachodem a Wschodem.

— Daj spokój! Wschód, Zachód, ludzie są tacy sami wszędzie.

Powiedziała, że jestem dziwaczką. Że wielu Chińczyków to na swój sposób dziwacy.

— Doprowadzasz mnie do szału, a ja, niestety, bardzo to lubię — rzekła, gładząc się po włosach. — Chcesz wiedzieć, co myślę? Że jesteś dzikim stworzeniem. Tak samo jak ja. Tak naprawdę to nikt cię nie okiełzna.

Przecież żyjesz w innej epoce, nie krępujecie już sobie stóp.

Spojrzałam na nią. Skinęłam głową. Jaka ona jest piękna, pomyślałam.

Chciałabym być do niej podobna.

Powiedziała to, co ja myślałam. Była sierpem, ja — grabiami.

Zadziwiła mnie jej logika, sposób, w jaki konstruuje swoje przemyślenia, za i przeciw, ołówkiem na kawałku papieru; sposób, w jaki podejmuje decyzje. Życie jest ciągłym dokonywaniem wyboru, mówiła. Należy się przygotować na nieuniknioną śmierć, która nadchodzi wraz z odmianą losu. Prosiła, żebym zapamiętała sobie raz na zawsze, że dokonując wyboru, zawsze można ponieść stratę. Lubiła śpiewać: „Trochę zyskasz, trochę stracisz...”.

Kazała mi się uczyć od siebie samej. Zamieniła mnie w gąbkę.

Wysysałam nektar z jej wiedzy. W Ameryce, powiedziała, jest wielu psychoterapeutów, którzy zarabiają na życie, omawiając z ludźmi ich problemy. To jest bardzo kosztowne, lecz wielu Amerykanów nie może się bez tego obejść. Im więcej płacą, tym lepiej się czują. Niektórzy są przekonani, iż jest to jedyna droga, by zapewnić sobie właściwą kurację.

— Jesteś strasznie poważna — powiedziała, widząc moje zakłopotanie — nie chwytasz moich żartów, prawda? Bardzo mnie to martwi, boja ciągle żartuję. Jeśli nie potrafisz odróżnić żartu od prawdy, to wszystko będziesz widziała na opak. Odezwij się do mnie, nie rób takiej nadętej miny.

Katherine zwierzyła mi się, że jej skrytym marzeniem jest zaadoptowanie dziecka. Niełatwo mi było ją zrozumieć. Siedziałam na skraju jej łóżka i patrzyłam na nią. Skończyłam właśnie opowieść o pewnej wiejskiej rodzinie mieszkającej w prowincji, z której pochodzi moja ciotka; pozbyli się własnego dziecka, ponieważ była to dziewczynka. W oczach Katherine pojawiły się łzy.

— Rodzice wyrzekli się własnego dziecka?! Jak to możliwe? Gdzie oni mieli serce?

Chciałam zignorować te jej pytania — jej reakcja zmuszała mnie do tego.

Nie wiedziała, że tego typu historie to dla mnie nic nowego. Zdarzają się w Chinach aż nazbyt często.

Nie przyjmowała tego faktu do wiadomości. Powiedziałam, że niepotrzebnie tak to przeżywa, to tragedia innych ludzi, nie jej. Milczała.

Widziałam, że jest wściekła.

— Jesteście zimni jak gład — rzekła wreszcie. — Okrutni. Szeroko otwarte oczy, tak podobne do oczu rysia, były pełne niewypowiedzianych pytań. Nie wiem, jak to się stało, ale w tym momencie moje serce przepelniała czułość do niej. Jej sposób myślenia poruszył mnie do głębi. Powiedziała coś, o czym ja zupełnie zapomniałam albo może nigdy nie byłam tego świadoma. Rozwinęła płatki mego wysuszonego serca. Kwiat, o którego istnieniu nie miałam pojęcia, zakwitł nagle we mnie. Zbyt długo moja dusza była jak sparaliżowana. Nie pamiętam, kiedy przestałam boleć nad moim narodem. Katherine wyrwała moje życie okolicznościom mu towarzyszącym. Wzruszyła mnie swoista czystość uczuć, jaką udało jej się zachować.

Miała moc dziecka. Przycisnęła mnie do muru i wywołała rewolucję w moim sercu.

Siedzieliśmy w jej chacie przy oknie, patrząc na poletki ryżu; obserwując rolników, którzy gołymi rękami rozrzucaли świński nawóz; przysłuchując się, jak klną na pogodę i zwierzęta.

Powiedziałam Katherine, że nigdy nie wątpiłam, iż jestem taka, jaką ukształtowało mnie życie, i że wierzyłam zawsze w to, iż ludzie są źli z natury, rodzą się źli. Uważałam to za prawdę uniwersalną, ponieważ doświadczyłam tego na własnej skórze. Przeżywają tylko ci, którzy postanowili, że trzeba brać to, co przynosi realną korzyść, resztę zaś odrzucać. Tacy ludzie nie chcą wiedzieć, co to znaczy wstyd. Czy rodzice, którzy porzucili własne dziecko, wstydzą się tego? Ich zdaniem ten ból się opłaca. Gdy kładą na wiejskiej drodze swoje śpiące dziecko, wstępuje w nich nadzieja. Nie chcą słyszeć jego płaczu. Wierzą, że wraz ze wschodem słońca wszystko ulegnie zapomnieniu. To są właśnie moje Chiny, nie jej, obcego przybysza.



Rozpłakałam się. Katherine była wstrząśnięta, że się zrobiłam taka wrażliwa. Nie wiedziała, co począć.

Powiedziałam, że nie pochwalam jej sentymentalizmu.

— Wy, Amerykanie, macie życie usłane różami. Cóż wy wiecie o lęku przed jego utratą? Głodujące dzieci kradną, oszukują, mordują — zrobią wszystko, by napełnić żołądek. To jest mój świat. Zaniechałam prób pogodzenia się z losem. Ja nie zabiłam dziecka, ja zabiłam siebie! Siebie!

Patrzyła na mnie; oczy jej powoli łagodniały. Siedziała obok i trzymała mnie za rękę. Przytuliła do siebie, poczułam na policzku jej łzy.

— Uwiedziono mnie i zgwałcono — zaczęłam. Opowiedziałam jej o sekretarzu partyjnym w Słoniowych Polach, panu Ki, sześćdziesięcioletnim mężczyźnie. Na początku znęcał się nade mną.

Przydzielał mi najbardziej niebezpieczną pracę. Po roku wezwał mnie i powiedział, że przenosi mnie z robót na wolnym powietrzu do pracy biurowej — będę jego osobistą sekretarką.

Zabierał mnie na zebrania partyjne i w czasie jazdy traktorem wszędzie mnie dotykał. Obiecywał, że jeśli będę mu powolna, odeśle mnie z powrotem do Szanghaju. Miałam wtedy dwadzieścia lat i byłam daleko od domu, ale nie chciałam się sprzedać.

Pan Ki znowu skierował mnie do robót na wolnym powietrzu \_ miałam teraz pracować z dynamitem. Byłam świadkiem kilku poważnych wypadków przy tego rodzaju pracy i bardzo się zlekłam. W święto chińskiego Nowego Roku zaprosił mnie do domu pewnego wieśniaka, by „porozmawiać ze mną o mojej przyszłości”. Ten wieśniak był ślepy.

Usiedliśmy na dużej glinianej platformie, która służyła zarówno za stół, jak i łóżko. Palily się świece — jedyne źródło światła w tym domu. Piłam wino, którym częstował mnie pan Ki, i wkrótce potem zemdlałam.

Wsywał do wina jakiś proszek. Zgwałcił mnie, zanim zdałam sobie sprawę, co się stało. Czułam wprawdzie, że mnie rozbiera, ale nie byłam w stanie się poruszyć ani krzyknąć. Gdy odzyskałam świadomość, pan Ki już sobie poszedł, a ślepiec oświadczył, że poza mną w domu nie było nikogo. Udałam się do pana Ki — jadł obiad z żoną i rodziną, świętując wigilię Nowego Roku. Ocierając umazane olejem usta, powiedział, że nie ma pojęcia, o czym ja mówię, że w ogóle nie widział się ze mną. Oskarżył mnie, że go obrażam i chcę zrujnować mu opinię. — Nie próbuj wyrywać włosa z tygryskiej głowy — ostrzegł mnie.

Przez dwa miesiące nie miałam menstruacji. Włosy stawały mi dęba na myśl, że noszę w sobie diabelski pomiot pana Ki. Wstydziłam się pójść do lekarza. Każda kobieta w Chinach, która przed małżeństwem zajdzie w ciążę, jest potępiona, na nic w życiu nie może już liczyć. Nie wiedziałam, co począć z moim powiększającym się brzuchem. Biegałam, skakałam, piłam brudną wodę, harowałam poza godzinami, żeby tylko się tego pozbyć. Lecz nie mogłam zatrzymać bicia małego serca we mnie. Pan Ki widział, co się stało, i zabrał mnie do swojej krewnej, wioskowej znachorki. Kazała mi wypić chińskie lekarstwo zatruwające płód.

Gdy je wypiliśmy, zdałam sobie jasno sprawę, że już nigdy nie będę w stanie uniknąć swego losu. Byłam matką, która w jednej chwili postanowiła zamordować własne dziecko. Któregoś dnia po pracy położyłam się wśród trzciny. Wieczór był pochmurny i wietrzny. I zaczęłam przemawiać do mojego umierającego dziecka. Prosiłam je o przebaczenie, mówiłam, że nie wyobrażam sobie, co ono czuje, mając taką matkę. Płakałam, bo było już za późno — zażyłam lekarstwo.

Staralam się nie myśleć, którą część jego ciała zaatakowała trucizna.

Oczyrna duszy widziałam — nie mogłam się przed tym powstrzymać — jak trucizna przeżera serce, dobiera się do mózgu. Czułam, jak dziecko walczy o życie. Wyłam pod niebiosa, pytałam Boga, dlaczego musiałam tak okrutnie postąpić. Trzy miesiące. Chłopiec czy dziewczynka? Jakaś część mnie umierała wraz z nim. Dotknęłam moich nabrzmiałych piersi.

Ona czy on nigdy nie spróbują mleka matki, mojego mleka. Znachorka opowiedziała mi o innych kobietach, które do niej przychodziły.

Większość po zażyciu leku pozbywała się płodu, ale kilka urodziło zdeformowane dzieci. Podała mi adres sierocińca — jeżeli aborcja się nie uda, mam ukradkiem, w nocy, podzucić tam niemowlę. Czy dziecko umrze we mnie, czy też urodzę kalekę? Marzyłam, żeby umarło. Byłam na skraju załamania nerwowego.

Dwa tygodnie później pchałam wózek pełen kamieni. I nagle poczułam, jak trysnął ze mnie ciepły strumień krwi. Pobiegłam w stronę krzaków.

Krew płynęła mi po nogach. Ukryłam się, przykucnęłam i wypadł ze mnie zakrwawiony embrion. Wyglądał jak ryba. Było to moje nie ukształtowane jeszcze dziecko.

Byłam zdruzgotana. Nie mogłam tego dotknąć. Zdjęłam bluzkę i usiłowałam zatamować nią krew. Ręce miałam całe czerwone. Oczy suche, bez jednej łzy. Krótki oddech. Usłyszałam w pobliżu wybuch dynamitu, jakby cały świat się zawalił.

Straciłam przytomność.

Ocknęłam się. Był wczesny wieczór. Chciałam

pochować „rybę”, ale nie miałam siły. Przykryłam „to” trzcina i uciekłam stamtąd najszybciej, jak mogłam.

Katherine objęła mnie mocno. Gładziła mnie czule po plecach. Krańcowo wyczerpana, zapadłam w sen. Trzymała mnie w ramionach całą noc.

Obudziłam się o świcie. Katherine nie było. Siedziała na ławce przed domem i pisała coś w notatniku. Podeszłam do niej; zapytała, jak się czuję. Odparłam, że ilekroć myślę o Słoniowych Polach, pogardzam sobą i nienawidzę całego świata. Przyglądała mi się w promieniach wschodzącego słońca.

— Nie wiem, co zrobić, żebyś spojrziała na życie z innej strony. Bardzo możliwe, że nigdy tak naprawdę się nie zrozumiemy. Kiedy przeżywam ciężkie chwile, mówię sobie w duchu: rozczarowania nie mogą prowadzić do rezygnacji. Rezygnacja jest łatwiejsza niż wytrwałość w dążeniu do celu. Ponieważ moja matka była ślepa i głucha, boję się, że w każdej chwili i ja mogę stracić wzrok i słuch. Nie chcę podejmować ryzyka urodzenia dziecka, jeśli istnieje chociaż cień podejrzenia, że i ono będzie ślepe i głuche. Nie jestem jednak z tego powodu zgorzkniała, nie pozwalam sobie na to. Uważam, że życie jest piękne. W Ameryce zwykliśmy mówić: „Zdaniem pesymisty szklanka jest do połowy pusta, zdaniem optymisty — do połowy pełna”. Wszystko zależy od punktu widzenia, od tego, jak spoglądasz na świat. Rozumiesz mnie?

Usiadłam obok niej. Podała mi swój notatnik. Przewróciłam kilka stron.

Nie potrafiłam nic przeczytać — taki miała rozchwiany charakter pisma.

Odwróciłam się, by na nią spojrzeć. Miała na sobie brązowy sweter; wystawiała na słońce swą bladą twarz.

Moje i jej życie jakoś się ze sobą splotły. Przyszło mi na myśl, że Katherine, która miała wszelkie powody, aby być okrutną, cyniczną, która mogłaby zostać złodziejką, oszustką, narkomanką, morderczynią, wybrała jednak inne życie. Dokonało się zwycięstwo ducha nad złym losem. Wyrwała mnie ze świata koszmarów i wprowadziła do świata nadziei. Przepędziła ze mnie zgorzkniałość i moja osobowość zaczęła przybierać inny kształt. Byłam szalona, ale i łagodna.

Na skraju poletka ryżowego słońce przeskoczyło przez szary horyzont niczym olbrzymia ognista kula. Katherine, nie odwracając głowy, chwyciła obie moje ręce.

— *Tai-yang-ni-zao*, dzień dobry, słoneczny promieniu — powiedziała z uśmiechem, ze łzami błyszczącymi w oczach.

Jasmine była wściekła. Narysowała magiczny obrazek, rodzaj fetysza, napisała na nim moje imię, po czym spaliła go na popiół. Głowa Lwa był przerażony — powiedział mi o tym pewnego wieczoru, gdy w mieszkaniu jego babki piliśmy herbatę. Siedzieliśmy wśród drogocennych staroci —

małych figurek z kości słoniowej, przedstawiających cesarza i cesarzową, wyrzeźbionych w drewnie sekwoi fantazyjnych łódeczek, koników z miedzi, starych haftowanych draperii. Głowa Lwa powiedział, że od wielu dni nie może wieczorem zasnąć. Coś go nęka.

— Muszę wziąć się w garść — rzekł.

Chciał zataić przede mną powód swojego niepokoju, ale się nie udało — bardziej potrzebował widocznie podzielenia się ze mną swoim zmartwieniem. Przyznał, że boi się ojca Jasmine. Owo wyznanie do reszty popsuło nam nastrój. Siedzieliśmy w milczeniu — klątwa Jasmine zawisła nad nami.

Postanowiłam pomóc Katherine w adoptowaniu dziecka. Będzie to dla mnie rodzaj pokuty. Napisałam do wszystkich moich krewnych z prośbą, aby pomogli mi nawiązać kontakt z sierocińcami i zbierali odpowiednie informacje.

Katherine mówiła o swoim przyszłym dziecku z niezwykłą determinacją.

— Wyobrażam sobie jej lekko skośne oczy, czarne proste włosy i małe usta w kształcie wisienki. Będzie stała przy furtce i czekała na mnie.

Moi rodzice i brat nie mogli jej zrozumieć.

— Po co dźwigać cudzy ciężar, skoro własny jest wystarczająco dotkliwy? — pytali.

Nie potrafiłam im wytłumaczyć, że to nie ma nic wspólnego z dźwiganiem ciężaru. Nikt z mojej rodziny nie wiedział, co mi się przydarzyło w Słoniowych Polach. Nikt by nie zrozumiał, że uratowanie dziecka pomogłoby mi pozbyć się złych wspomnień ciążyących na całym moim życiu.

Ojciec kazał mi zaprosić Katherine na najbliższą niedzielę. Zdziwiłam się niepomrotnie, że ojciec nie boi się cudzoziemki. Traktował ją jak córkę.

Kiedy przekroczyła próg, wskazał jej krzesło i rzekł: „siadaj”, jak gdyby zwracał się do mnie lub do mego brata. Nie powiedział „proszę siadać”.

Matka była zdenerwowana i czuwała przy drzwiach, czy aby nikt nas nie szpieguje.

Ojciec zapytał Katherine, czy adoptowanie dziecka jest tym, czego oczekuje od życia, i czy zastanowiła się nad konsekwencjami, jeśli okaże się w przyszłości, że dziecko jest niepełnosprawne.

Odparła, że nikt nigdy nie może tego przewidzieć i nie należy nastawiać się na najgorsze. Oczywiście, że taka ewentualność napawa ją niepokojem, ale jej decyzja jest nieodwołalna.

— Mam nadzieję, że rozumiesz, jaką odpowiedzialność ty bierzesz na swoje barki? — zwrócił się do mnie ojciec. Skinęłam głową. — Bądź wilkiem, jeśli zajdzie taka potrzeba. — Znowu skinęłam głową.

— Nie, nie, w żadnym wypadku — zaprotestowała matka. — Jak możesz namawiać własną córkę, by zachowywała się jak wilk? Musi wierzyć, że moralność zawsze w końcu zwycięża.

— Powiedziałem, że musi być wilkiem tylko w razie potrzeby — odparł ojciec. Wskazując palcem Katherine, mówił dalej: — Zebra cię obroni. A kiedy już to się stanie, życzę ci, byś nie zdruzgotała sobie serca.

Katherine milczała. Powiedziała wreszcie, że nigdy mego ojca nie zapomni. Odprowadziłam ją, a potem w drodze powrotnej myślałam o ojcu. Kochał mnie, lecz nigdy nie okazywał swoich uczuć. Zabrali go do więzienia, kiedy byłam jeszcze dzieckiem. Nie dano nam szansy na nawiązanie bliskich więzi, więc przestaliśmy o to zabiegać. Dziś jednak okazał mi swą miłość, traktując Katherine jak własną córkę.

Głowa Lwa oznajmił mi, że poszedł do Jasmine i powiedział jej parę ostrych słów. Nazwał ją zwariowaną wiedźmą. Żeby dała mu święty spokój, odeszła z jego życia. Zapytałam, jak na to zareagowała. Podobno się przestraszyła jego wybuchu.

Nie dała mu jednak spokoju. Jej oczy mówiły przy każdej okazji:

„Kocham cię, Głowo Lwa”. Wpatrywała się w niego, błagała o miłość.

Aż do śmierci będzie go kochać. Nic na to nie poradzi, to ponad jej siły.

Upokarzała się, lecz przyjmowała to jak zrzędzenie losu.

Głowa Lwa nie przestał się z nią spotykać; wiało jednak od niego chłodem, i z tego powodu czuł się winny. Był przekonany, że nikt na świecie nie będzie go kochał tak jak Jasmine, z takim bezgranicznym oddaniem, lecz on nie odwzajemniał jej miłości.

— Nie mogę nawet jej dotknąć — powiedział mi. I dodał: — Ona jest gotowa za mnie umrzeć i zrobi to, na pewno.

— Co dokładnie jej powiedziałaś? — zapytałam.

— Że moja miłość jest inna, kocham inaczej. — Westchnął. — Cóż mogłem powiedzieć? Wąchaj własne bździny, stara wiedźmo? Doniesie o tym ojcu, a ten dopiero się ze mną rozprawi.

Katherine zapytała, czy Głowa Lwa mnie kocha. Szłyśmy ze szkoły do jej chaty. Mijały nas rowery i autobusy, rozlegały się dzwonki, rozbrzmiewały klaksony, ale nie docierało to

do moich uszu. Świat wokół nas nie istniał. Odparłam, że mówi, iż mnie kocha, ale to są tylko słowa.

— Wierzysz w te jego słowa?

Powiedziałam, że zastanawiałam się nad tym, lecz nie ma to dla mnie większego znaczenia. Ważne jest to, dlaczego jestem z Głową Lwa, a nie z kim innym. Czy jej zdaniem istnieje jakaś wiarygodna definicja miłości?

— Nie pytaj mnie o to. Sama chciałabym wiedzieć. Nie jestem tak doświadczona, jak ci się zdaje. — Wyznała, że miała wielu mężczyzn, w tym sensie, jaki nadają temu pojęciu Chińczycy. Przeżyła piękne chwile.

— W Ameryce wszystko łatwo przychodzi, od chwili urodzenia. To naprawdę obrzydliwe, nie uważasz?

Potrząsnęłam przecząco głową. Nie wyobrażałam sobie wręcz, by łatwe życie mogło być obrzydliwe.

— No dobrze. Powiedzmy sobie prawdę — jestem samotna. Spotykam dość atrakcyjnego mężczyznę czy to w szkole, czy na jakimś przyjęciu.

Bawi mnie jego towarzystwo, flirtuję z nim. Żaden partyjniak nie zagląda nam przez ramię, prawda? Ów mężczyzna podrywa mnie, ja nie mam nic przeciwko. Być może idziemy do kina, potem kolacja w miłym nastroju, dobre wino, proponuje, żebym go odwiedziła, i nasze stosunki się zacieśniają. Opowiada, że jestem piękna i tak dalej... No i idziemy do łóżka. Czy może być coś bardziej nudnego? Nie sądzę, żebym miała specjalne szczęście — dodała. — Amerykanie istotnie mają nadmiar wszystkiego, z wyjątkiem tego na „N” — namiętność, i tego na „M” — miłość. Nie wiem, może nie mam racji. Ale piwo i wino nie wyczarowują miłości. Po kilku takich doświadczeniach czujesz się jeszcze bardziej samotna, nawet jeśli ten mężczyzna jest przy tobie.

Boże, myślę czasami o tych wszystkich straconych latach! No dalej, rusz się, zrób coś, zawsze trzeba sobie mówić coś takiego. Słuchałam uważnie, pochłaniałam jej słowa.

— Próbowałam wszystkiego, żeby odnaleźć siebie. Mojemu pokoleniu przypięto etykietkę: seks, narkotyki, rock and roli. Być może niektórzy co sprytniejsi obrali słuszną drogę. Moje pokolenie. — Zanuciła te ostatnie słowa i roześmiała się. — Nie pamiętam nawet wszystkiego, co robiłam.

Ty potrafisz określić, jakie jest twoje pokolenie, prawda? Czy mogliście powiedzieć „nie” przewodniczącemu Mao?

— Oczywiście, że nie. Byłam częścią wciąż rosnącego drzewa Mao — odparłam.

— Ameryka jest krajem wolnym — mówiła dalej — tak wolnym, że aż pustym, bez wzorców, bez zasad. Przyjechałam do Chin, bo myślałam, że w Chinach jest inaczej. Macie za sobą historię i tradycje — korzenie.

Sądziłam, że Chińczycy lubią swoją filozofię i szukają prawdziwego sensu życia. Taoizm, Zen, buddyzm — dostrzegam w tym wielką mądrość. Ale patrząc na ciebie, stwierdzam, że jesteś tak samo zagubiona jak ja

- Milczałam. Katherine fantazjowała na temat Chin, ja — Ameryki. Być może sedno tkwi w tym, że nie ma na świecie „bezpiecznego zakątka”.

Być może znajdziemy taki zakątek albo go stworzymy, jedynie we własnym sercu.

Powiedziała, że wielokroć dusza w niej wyje i ma ochotę odejść z tego świata. Odparłam, że miewam to samo uczucie.

Rozmawiałyśmy do późnego wieczora. Poszłyśmy obie do szkoły po mój rower. Pożegnałyśmy się i poczułam, że głód skręca mi kiszki.

Odwiedzałam Katherine prawie co wieczór. Siedziałyśmy, sącząc zieloną herbatę. Nauczyłam ją, jak się żuje pestki melona opiekanego na ogniu; jak językiem rozszczepiać pestkę do połowy, wysysać sok, wypluwać skorupkę.

— Chińczycy całymi wieczorami żują te pestki — powiedziałam.

— Smakują mi — rzekła, cała skupiona na żuciu pestek. — Odbieram to jako pewien rodzaj medytacji.

— Czy naprawdę wywodzisz się z innego świata? — zapytałam.

— Och, przestań! Pozwól mi spokojnie przeżuwać.

Czasem w trakcie rozmowy malowała usta. Miała taki czerwony ołówek, robiła nim kontury, a potem na całe usta nakładała szminkę. Nie przestając mówić, zaciskała wargi, by dokładnie rozprowadzić kolor.

Było to ogromnie zabawne.

Ozdobiła swoją chatę na chińską modłę — papierowe lampiony, rysunki piórkiem, stare jedwabne draperie, które kupiła od sąsiadów. Z początku wieśniacy byli jej ciekawi. Gdy jej nie było, przychodzili pod dom i zaglądali przez okna osłonięte koronkowymi firankami. Niebawem stracili całe zainteresowanie, gdyż Katherine nie była tak nowoczesna, jak sądzą.

Wypytywałam Katherine o mężczyzn w jej życiu. — Opowiedz mi o tym swoim latynoskim kochanku. Albo o tym czarnym. Opowiadaj mi o tym, opowiadaj.

— Co masz na myśli, mówiąc „latynoski kochanek”, „czarny kochanek”?

Tak naprawdę oni nie byli moimi kochankami — rzekła nieco speszona.

— Nieważne — powiedziałam. — Opowiadaj mi o wszystkim, czego nie wiem albo czego chciałabym się dowiedzieć. Wymyślaj różne historie, ja i tak się nie połapię, czy to prawda, czy fantazja.

— Jesteś okropna — stwierdziła.

Chciałam powiedzieć, jak ja ją widzę w Ameryce: „jesteś wspaniała i wyobrażam sobie twoje bajecznie piękne ciało u boku mężczyzny”.

Leżąc w łóżku, zdałam sobie nagle sprawę, czego brak w moim życiu.

Przez dwadzieścia dziewięć lat byłam zakochana w komunizmie.

Służyłam memu Bogu, przewodniczącemu Mao. Teraz jedynym moim marzeniem jest poznanie Katherine, dzięki której moje życie nabrało barw. Nauczyła mnie, że wolność jest tuż-tuż, trzeba tylko o nią walczyć; być wolnym to znaczy kochać kogoś, zapominając o sobie choćby na krótką chwilę. Dzięki niej zaczęłam wydobywać się z ciemnego tunelu — ku promieniom słonecznym.

— Ludzie w końcu zwykle mówią o sobie — zauważyła pewnego wieczoru, gdy byłam u niej. Nakładałam na bambusowe wsporniki upraną moskitierę, podczas gdy Katherine przeglądała notatki z wywiadów.

— Nie jestem pewna, czy twoja konwencjonalna wiedza ma tutaj zastosowanie — odparłam. — Bo my, Chińczycy, umiemy grać wszystkie role oprócz naszej własnej, tej, jaka została nam przypisana.

Według mnie nie masz klucza do duszy Chińczyka.

— A co ty myślisz o własnym narodzie? — zapytała, podnosząc wzrok znad notatnika.

— Chyba nie lubię Chińczyków. — Uniosłam się z łóżka. — Nie lubię Chińczyków, bo nie lubię siebie.

Spojrzała na mnie. Miała poważny i smutny wyraz twarzy.

- Niewykluczone — powiedziałam — że się zmienię.

Dzięki tobie. — Usiadłam na ławce obok niej. Milczała. Pochyliła się i pocałowała mnie w policzek.

Głowa Lwa bardzo był ciekaw, o czym z Katherine rozmawiamy. Ilekroć relacjonowałam mu nasze rozmowy, oczy błyszczały mu jak gwiazdy.

Interesowało go wszystko, co wiązało się z Ameryką. Marzył, by tam uciec. Czekał tylko na okazję. Prosił, żebym zachowała to dla siebie. Jeśli władze szkolne dowiedzą się o tym, wszystkie jego wysiłki pójdą na marne. Powiedział, że mnie kocha, dlatego ma do mnie zaufanie. Byłby wdzięczny, gdybym zapytała Katherine, czy mógłby brać udział w naszych



spotkaniach, bo chciałby się jak najwięcej dowiedzieć o Ameryce. Choć żał mi było naszej z Katherine intymności, przekazałam jej prośbę Głowy Lwa. Tydzień później zaprosiła go wraz z piętnastoma innymi studentami na swoje trzydzieste siódme urodziny.

Na urodziny, które wypadły w niedzielę, Katherine zaplanowała wycieczkę połączoną ze wspinaczką górską. Sporo informacji otrzymała od wieśniaków; dowiedziała się między innymi o słynnym płaskowyżu tonącym we mgle, który nosi nazwę Ramię Pięknej Tang. Znajduje się on w połowie drogi do Góry Niebiańskiego Spokoju, cztery godziny jazdy pociągiem. Katherine kupiła bilety dla całej piętnastki w zamian za opowiadanie historii Pięknej Tang.

Mieliśmy się spotkać na tym płaskowyżu o godzinie drugiej po południu.

Podeksytowana przygotowałam na drogę trzy pojemniki bułeczek na parze oraz dwa dzbanki słodkokwaśnej kapusty. Wsiadłam do autobusu jadącego na stację, potem do pociągu, a dalej poszłam już piechotą. W

pociągu czytałam „Wybór opowieści o starożytnych Chinach”.

Dowiedziałam się, że Piękna Tang była tancerką, poetką i konkubiną księcia Bian z dynastii Han — około roku 220 naszej ery.

Po śmierci cesarza księżę Bian, osiemnastoletni wówczas młodzieniec, został nowym cesarzem. Tymczasem generał Tung Zhou dokonał zamachu stanu, zdobył pałac i wziął do niewoli księcia Biana, zmuszając go w ten sposób do ustąpienia. Generał wydał na jego cześć pożegnalną ucztę, w czasie której zamierzał go zamordować, podając mu czarę z brązu wypełnioną zatrutym winem.

Księżę Bian wiedział, przyjmując czarę, że oto wybiła jego ostatnia godzina. Zanim spełnił toast na cześć nowego władcy, poprosił go, aby wraz ze swoją ukochaną konkubiną Piękną Tang, mógł wyrecytować wiersz, i by ona mogła dla niego zatańczyć.

Księżę Bian:

*Droga do nieba wydaje się teraz tak trudna... Muszę wyrzec się twego ciepła i pokochać samotność. Gniazdo zostało zniszczone, czy choć jedno jajko ocalało? Opuszczając cię, tracę duszę.*

Piękna Tang:

*Bez słońca zapanuje ciemność na wieki.*

*Wraz z upadkiem twojego cesarstwa  
przestałam być konkubiną.*

*Czy po twoim odejściu będzie istniał jakiś świat?*

*Tańcz ze mną i po raz ostatni pozwól mi być twoją...*

Podobno Piękna Tang pokazała wówczas obnażone ramiona po raz pierwszy i ostatni. W tańcu na cześć księcia Bian przeszła się sztyletem.

Drzewa były coraz wyższe i grubsze. Liście, silnie pachnące miętą, ocierały się o moje ubranie. Wspinając się, myślałam sobie, że historia Pięknej Tang przypomina los chińskich kobiet. Od najdawniejszych czasów nie miałyśmy w życiu żadnego wyboru. Jedyna droga — to poświęcanie się bez reszty; w przypadku pięknej Tang — samobójstwo w momencie najwyższego uniesienia; w moim — zamknięcie w klatce własnej duszy.

Niedawno mój szef w fabryce polecił mi zrezygnować z części lekcji i więcej czasu poświęcać pracy. Jak zawsze, żadne argumenty do niego nie przemawiały.

— Montażownia potrzebuje więcej robotników — wyskan-dował jak automat.

Musiałam pracować popołudniami, a także na nocnych zmianach, co oznaczało, że nie będę miała możliwości widywać się z Katherine tak często jak do tej pory.

Choć z niechęcią, musiałam poddać się woli partii, nie miałam wyboru.

Wiedziałam zresztą, że z chwilą gdy kontrakt Katherine dobiegnie końca, ona wróci do Ameryki, a ja do swojego zwykłego trybu życia. Nie powiedziała mi, jak długo pozwolono jej przebywać w naszym kraju. Nie miałam odwagi zapytać ją o to. Zawsze trudno mi było pogodzić się z losem. Próbowałam się przygotować: jak wyjedzie, zerwą się nasze więzi. Nie zamierzałam spędzić reszty życia na pracy w montażowni.

Chciałam więcej, niż mój kraj mógł mi ofiarować.

Czułam, że się duszę, a Katherine była moim tlenem. Pozwolili jej przyjechać do Chin, ale czy mnie pozwolą kiedykolwiek pojechać do Ameryki? Ameryka — jej świat, a może to tylko twór wyobraźni samotnej Chinki?

Zastanawiałam się, czy mój potajemny romans z Głową Lwa zdoła mnie uratować. Nie był w moim typie, co do tego nie miałam wątpliwości, był

tylko kimś, kogo znam na wylot. Nie wiązałam z nim żadnych nadziei, lecz akt buntu wobec świata podniecał mnie. Jego ciało, bujne włosy, miejsca, których dotykałam — ale to ja żyłam w ciągłym lęku, nad którym usiłowałam zapanować.

Moja młodość odchodziła w dal, lecz nie chciałam się nad sobą rozczulać.

Wyzwaniem dla mnie było ujarzmienie mego szalonego serca. Kochałam się z Głową Lwa i z tego powodu czułam do siebie niechęć, do siebie i do niego, już potem, gdy wstaliśmy z łóżka. Wstydziałam się własnej rozkoszy. Nie mogłam na niego patrzeć. I prosiłam, żeby on nie patrzył na mnie. Ale mimo to patrzył. Z dziwnym wyrazem oczu. Może nie wiedział, co ma powiedzieć czy zrobić, podobnie jak ja. Prosił, żebym pospała jeszcze chwilę, zamykał delikatnie drzwi i odchodził bez pożegnania, podczas gdy ja się ubierałam.

Ciągnęło nas do siebie, lecz wynikało to jedynie ze strachu przed pustką.

Czułam się tak, jakbym go mało znała. I nie zależało mi na bliższym poznaniu. Albo może bałam się tego, bo w głębi duszy zdawałam sobie sprawę, że żadne z nas nie kieruje się uczuciem, nie było więc powodu, byśmy zostali kochankami.

Chodziłam do niego co drugi dzień, by zaspokoić własne ciało. Niewiele rozmawialiśmy. Oznajmiłam mu, że mam dość słuchania o chińskiej filozofii, więc przestał mówić. Zamiast tego pozwalaliśmy mówić naszym ciałom. Głowa Lwa był w sobie zakochany, było to aż nazbyt widoczne. W Wilczych Zębach nie był tak naprawdę ze mną. Leżał na mnie i obserwował siebie. Uprawiał miłość ze sobą. Czy ja byłam lepsza?

Para zimnych serc, dwie tafle lodu. Odczuwaliśmy tę samą beznadziejność, ten sam brak wiary. Samotność wywołuje lęk przed osamotnieniem.

Górskie powietrze stawało się coraz ostrzejsze i coraz ciężiej było oddychać. Wspinałam się. Sądząc po oznakowaniu, doszłam już do ramienia Pięknej Tang, ale nie dostrzegłam żadnego ramienia. Nie wiedziałam, na czym stoję — na szyi Pięknej Tang, ramieniu czy na piersi. Pobliskie szczyty wyglądały jak zielone delfiny skaczące w niebo z oceanu chmur. Pod sosną leżał wielki gładki kamień. Położyłam się na nim, czując przyjemny chłód, i ogarnął mnie błogi spokój. Niebo, nisko nade mną, w jednej chwili przesłoniły ciężkie czarne chmury, w następnej

— przedarło się przez nie słońce. Byłam sama, samiuteńka. Wdychałam głęboko powietrze, rozmyślając o Pięknej Tang, jak tańczy przed swoim kochankiem. Wiedziała, że ostatnia myśl księcia, zanim pocałuje ziemię, będzie

jej poświęcona. Czy tylko tego oczekiwali od losu dawne konkubiny?

Zamknęłam oczy. Czułam, jak strużki myśli spływają spokojnie z szarych komórek mego mózgu. Czas się zatrzymał. Rytmiczna muzyka dynastii Han dźwięczała mi cicho w głowie. Nagle wśród ciszy usłyszałam głośny śmiech. Znany mi. Znowu śmiech. To nie sen na jawie. Otworzyłam oczy.

Po drugiej stronie głębokiej doliny, na pobliskim szczycie górskim, jakieś sto jardów stąd, Katherine i Głowa Lwa powoli spuszczają się na winobluszczu w stronę wąskiego skalnego występu. On jest sternikiem.

Trzyma Katherine na kolanach, obydwoma ramionami obejmując jej kibić. Powoli opadają w dół.

Szybko wstałam i schowałam się za sosną.

Dolina była głęboka. Jeśli nie zachowają ostrożności, spadną w przepaść.

Góry odbijały echo śmiechu i pisków Katherine.

Byłam zdziwiona, ale nie wstrząśnięta. Wiedziałam, że między Katherine a Głową Lwa istnieje jakaś nić porozumienia. Wspomniałam jej, że go nie Kocham, i być może zachęcałam ją nawet, by go uwiodła. Nie wiem dlaczego, lecz wyobrażałam sobie zawsze, że ci dwoje są kochankami.

Chętnie rozmawiałam z nim o Katherine. Zapytałam go kiedyś, czy sobie wyobraża, jak Katherine jęczy, gdy się z kimś Kocha. Oboje fanta-zjowaliśmy na ten temat. Bardziej niż Głowa Lwa pragnęłam dowiedzieć się, jak Katherine uprawia miłość.

Czy Głowa Lwa był inny niż jej dotychczasowi mężczyźni? Ukazywał jej, co to jest ryzyko, przygoda, kładł jej do uszu chińską filozofię w jego wydaniu? Dżban octu rozbił się we mnie, gorzko-kwaśnego octu.

Głowa Lwa i Katherine wspaniale spędzali czas. Przywarci do siebie.

Znałam go. Uwielbiał „słodką torturę”. Chciał, żeby czuła jego męskość, jego determinację, żeby słyszała jego ciężki oddech. Wyobrażałam sobie, że Katherine, przymknąwszy oczy, robiła to, co jej kazał. Czy próbowała mu się oprzeć? Będzie z nią igrał, niby to pozwalając jej odejść. Będzie opowiadał, jak starożytni Chińczycy kochankowie bujając się na dzikim bluszczu, ocierali się o siebie, drażnili się wzajemnie. Oszołomi ją swą zbijającą z nóg znajomością historii. Opowie jej, że proces odrodzenia się to kwestia jednej chwili. Wyłoży

swoją teorię nietrwałości świata.

Poradzi, by opanowała chęć łapczywego chwytania rzeczy, by wsłuchiwała się we własne ciało. I ona posłucha jego rady. I wtedy on uczyni ją swoją...

Zawładnął mną w tym samym stopniu podziw dla Głowy Lwa, jak i zazdrość o niego. Przypomniałam sobie, w jaki sposób mnie uwodził. Nie musiał mnie dotykać, by wywołać we mnie podniecenie. Na pewno zrobi to samo z tą Amerykanką. Ciekawa byłam, jak ona reaguje na jego dotknięcia, dotknięcia Chińczyka. W tym momencie nie czułam zazdrości. Jeśli mnie zdradził, zasłużyłam na to, bo nigdy nie byłam z nim szczerą. Uświadomiłam sobie teraz, jak mało poświęcałam mu uwagi.

Wróciłam myślami do Katherine. Ona nie może pokochać Głowy Lwa.

Nieraz opowiadała mi, jakie miała za swoich młodych lat wyobrażenie o Chińczykach. Sama myśl o Kochaniu się z Chińczykiem wydawała się jej śmieszna, wręcz absurdalna. Uważała wtedy Chińczyków za małych, komicznych eunuchów. Chciałam teraz, żeby Głowa Lwa pokazał jej muskuły prawdziwego Chińczyka. Żeby się nad nią poznęcał, żeby ją maltretował, żeby wybił jej z głowy tych „chińskich eunuchów”. Głowa Lwa jest w tym dobry, potrafi ją zmusić, by jadła mu z ręki.

Wdychałam zapach sosnowych igieł. Katherine powiedziała mi kiedyś, że Amerykanie lękają się namiętności, śmieją się z tych, którzy, ich zdaniem, kochają za mocno. Lecz ludzie wciąż tęsknią do miłości. Co ona teraz czuje? Zwierzęcą chuć? Czyżby chiński krajobraz ośmielił ją i wzmógł jej pożądanie? Czułam niemal, jak drży z podniecenia.

Znaleźli się na małym występie skalnym. Ledwo się tam mieścili.

Widziałam, jak Głowa Lwa rozpina bluzkę Katherine.

Chmury przyćmiły słoneczny blask. Góry pociemniały. Krople deszczu spadły na moje rozpalone policzki. Przetarłam oczy, wstrzymując oddech. Głowa Lwa przytulił twarz do piersi Katherine. Widać było, że przestała mu się opierać. Badał, jak daleko może się posunąć. Milczała, poddając się jego woli. Słyszałam jego jęki.

Ona nie mogła się poruszać. Każdy nieostrożny ruch groził runięciem w dolinę.

Całował ją jak oszalały. Uwięził jej rękę w swojej dłoni. Ramiona miał silne. Była jak pijana ze szczęścia, a zarazem przerażona. Objął ją i obnażył jej piersi. Uniosła nogę i oplotła nią jego biodra. Oddawała mu pocałunki i nagle zamarła w bezruchu. Odepchnęła go. Nie dawał za wygraną. Zdejmował z niej bluzkę. Nie protestowała. Gładziła go po włosach jak najczulsza matka. Odchyliła do tyłu łabędzią szyję, patrzyła w niebo. Wszedł w nią.

Czułam w sobie ruchy Głowy Lwa. I wiedziałam, co ona czuje. Drży z rozkoszy, pragnie więcej, jeszcze więcej. Dzięki Głowie Lwa i ja ją posiadałam. Słyszałam jej krzyki, wszystko dokładnie tak, jak to sobie wyobrażałam. Wpatrywał się w nią, w jej nabrzmiałe sutki, skórę białą jak mleko, błyszczące oczy.

Na góry, odbijające echo jego jęków, opadł biały woal deszczu. Stawał się coraz grubszy, aż wreszcie przesłonił mi widok.

Mój umysł przestał się szamotać.

Ulewa nie trwała długo. Pokazało się słońce i zakpiło sobie z niesforenego deszczu. Między wierzchołkami rodziła się tęcza. Nagle w promieniach słońca ujrzałam zarys ramienia — Ramię Pięknej Tang. Jaskrawozielone, a tęcza przypominała koronkowy rękaw. Zazdrościłam tej kobiecie żyjącej w dawnych czasach — wiedziała, co to prawdziwa namiętność.

W drodze do Ramienia ja i Jasmine wpadłyśmy na siebie. Była w nastroju do zwierzeń. Po raz pierwszy i ja chciałam z nią trochę pogadać. Miałam nadzieję, że rozmowa przerwie moją gonitwę myśli. Jasmine określiła siebie jako ofiarę nieszczęśliwej miłości. Ubrana była w lekką żółtą bluzę i pasującą kolorem spódnicę z dzianiny. Powiedziała, że cierpi na zapalenie spojówek, bo ilekroć widzi Głowę Lwa, nie może się powstrzymać od płaczu. Że je tylko trochę makaronu w ciągu dnia i nie może spać. Jest chora z miłości. Oddałaby za niego

życie. Chyba zresztą zaczęła już umierać. Zauważyłam, że jej brwi podobne są teraz do spadających na ziemię, zastrzelonych przez myśliwego dzikich gęsi. Na policzkach utworzyły się smugi łez.

— Możesz mi wierzyć lub nie, ale ja wkrótce umrę — powiedziała.

Mówiła o śmierci głosem pełnym dostojeństwa. Dodała, że nie narzeka na swój los. — Nigdy nie miałam do niego żalu. Kiedy umrę, będzie się mógł cieszyć tą swoją wolnością.

Cóż jej miałam powiedzieć? Nie oczekiwała zresztą ode mnie słów pocieszenia. Potrzebni jej byli widzowie do tego spektaklu. Zwierzyła mi się, że w tajemnicy napisała list do Głowy Lwa.

Po jej śmierci znajdzie go i przeczyta.

— Uświadomi sobie wówczas, jak wielką miłość podeptał, ale będzie już za późno. Za późno na skruchę.

Jasmine miała nadzieję, że wyrażę chęć poinformowania Głowy Lwa o tym liście.

Spojrzałam na nią. Nie zamierzałam uczynić zadość jej życzeniu.

— Nikt nie umiera z miłości — rzekłam. — Nie w dzisiejszych czasach.

W żadnym wypadku.

Przyjęcie urodzinowe odbyło się we mgle. Przybyła cała nasza piętnastka.

Wyłożyliśmy jedzenie i picie i zaczęliśmy śpiewać i grać na harmonijkach tradycyjne chińskie melodie. Jim przyniósł magnetofon i usłyszeliśmy muzykę stworzoną przez jego przyjaciela, kompozytora działającego w podziemiu. Inspiracją tego utworu, jak ujawnił nam Jim, była sztuka z epoki dynastii Ming, „Pawilon peonii”, napisana przez Tang Xian-zu, dramaturga porównywanego z Szekspirem. Jest to historia romansu biednego żaka oraz córki bogatego pana — i kończy się szczęśliwie. Katherine bardzo się spodobał ten utwór. Siedziała z dala od Głowy Lwa, jakby przed zaledwie godziną nic się między nimi nie wydarzyło. On natomiast zachowywał nietypową dla siebie powagę.

Chmury zawisły nad naszymi głowami. Wśród liści szeleścił wiatr. Choć była już późna jesień, góry zatrzymały gorąco lata. Wiewiórki zbliżały się do nas ostrożnie i podkładały nam jedzenie.

Katherine nie wiedziała, jaką ma władzę nad naszą przyszłością. Gdyby powiadomiła władze szkolne, że ten czy ów student ma wybitne zdolności językowe, otwałyby się przed nim ogromne perspektywy na objęcie eksponowanego stanowiska, na przykład sekretarza w Departamencie Stosunków Międzynarodowych lub wysokiego urzędnika w Biurze Spraw Zagranicznych. Pracy nieporównywalnej z tą, jaką każde z nas obecnie wykonuje. Marzenie.

Urodzinowe przyjęcie dało studentom szansę zdobycia względów nauczycielki. Obsypana została podarunkami, na które nie było nas stać, ale które mimo to kupiliśmy. Rywalizowaliśmy ze sobą, by się przypodobać cudzoziemskiemu diabłowi. Katherine nie miała pojęcia, co się za tym kryje. Za bardzo nam ufała. Nie przyszłoby jej na myśl, że w ten sposób chcemy ją wykorzystać. Chińczycy mają takie powiedzenie, ich zdaniem bardzo mądre: „Ostry język staje się łagodniejszy, gdy je cudzy pokarm, gromiąca ręka staje się krótsza po wzięciu podarunku”.

Studenci sądzili, że tymi darami kupią sobie dobrą opinię i otrzymają słowa pochwały, dzięki którym zostaną włączeni do partyjnego dossier.

Nie przeszkadzało to moim kolegom wierzyć, że nie są małostkowi, oportunistyczni, że ich dary nie mają nic wspólnego z wkradaniem się w łaski Katherine. Lubili uważać się za porządnych ludzi, którzy od dziesiątków pokoleń chlubią się uprzejmością i szlachetnością.

— My, Chińczycy, bardzo sobie cenimy przyjaźń. Niech żyje i rozkwita nasza przyjaźń!  
— powtarzali, podczas gdy Katherine rozwijała pięknie zapakowane prezenty.

Cieszyła się jak dziecko. Głowa Lwa podarował jej jedwabną suknię, haftowaną w peonie. Jim — komplet długich naszyjników, wykonanych z części spinek do włosów, zdobiących kostiumy operowe jego prababci.

Jasmine kupiła jej zestaw małych okręcików wojennych z kości słoniowej. Ja — lusterko i grzebień z biało-zielonego nefrytu. Dostała ponadto maty na bambusowe stoliki, kosztowne pantofle domowe, kryształowy przyrząd do masowania ciała, szczotkę do kąpieli w oprawie z kości słoniowej. Ręcznej roboty wachlarz z kości. Wydaliśmy wszystkie zasoby, by zyskać w jej oczach.

Przyjmując prezent ode mnie, dwukrotnie zmierzyła mnie wzrokiem.

Czyżby podejrzewała, że przeczuwam, co wydarzyło się między nią a Głową Lwa? Ja też na nią spojrzałam i uśmiechnęłam się. Sprawiała wrażenie zakłopotanej, jakby domyślała się, że coś wiem.

Odeszłam, niech sama pichci te swoje wątpliwości. Postanowiłam zaczekać, aż się zagotują i wykipią z garnka.

Jim wyjął z torby aparat fotograficzny i poprosił, żebyśmy się ustawili do zdjęcia. Mężczyźni szukali malowniczych miejsc, kobiety zaś zajmowały się swoim wyglądem. Jasmine zdjęła z głowy czerwoną opaskę i po chwili włożyła ją z powrotem. Wyglądała jak monstrualny indyk. Ja miałam na sobie czarną kurtkę we wzory z chryzantem. Kupiłam ją, żeby podobać się Katherine gustującej w czerni.

Katherine otworzyła torebkę i wyjęła z niej czerwoną szminkę. Ubrana była w obcisły brązowy sweter z kaszmiru. Unikała mojego wzroku.

Siedziała na występie skalnym i pudrowała twarz. Upał w górach wcale się nie zmniejszał. Przypomniałam sobie nagle słowa Katherine, że lubi lato, gorąco. Siedziała bez ruchu, elegancka, podana ku słońcu, jak gdyby chciała cały ten żar wsączyć w siebie. Patrzyliśmy na nią ukradkiem, pożeraliśmy wzrokiem jej szczupłe biodra, długie ramiona, okrągłe, niczym u konia, pośladki i piersi sterczące jak pomidory. Swoją obecnością, wyglądem peszyła wszystkie kobiety znajdujące się w jej otoczeniu. Każdy mężczyzna, z wyjątkiem Głowy Lwa, chciał mieć z nią zdjęcie. Jim ustawił przy niej dwóch, jeden czule ją obejmował. Kobiety pożerały ją wzrokiem. Spełniliśmy toast chińskim winem, łagodnym w smaku, ale bardzo mocnym. Katherine była teraz bardziej rozmowna. Powiedziała, że nigdy jeszcze nie upiła się winem, szczególnie „Zielonym bambusem”. Jim oznajmił, że chińskie wino jest jak chińska kultura — działa powoli, lecz skutecznie. Nie wiadomo kiedy można się nim dokumentnie upić. Katherine poprosiła o więcej.

Chińczycy zaczęła jej się plątać i przeszła na angielski.

Wszyscy się ożywili. Rozwiązały się nam języki. Mężczyźni już bez skrępowania wpijali wzrok w kształty Katherine.

Zapytała o legendę związaną z Ramieniem Pięknej Tang. Wszyscy opowiadali o rzeczach powszechnie znanych i tylko ja przypomniałam wiersz, jaki wygłosiła, i co się potem stało.

Katherine, zacisnąwszy pomalowane na czerwono usta, przysłuchiwała się z uwagą historii namiętności Pięknej Tang. Mężczyźni, sącząc wino, przybliżali się do nauczycielki. Kobiety obserwowały z początku mężczyzn, ale wkrótce też zwróciłyśmy ku niej oczy, patrzyłyśmy na jej usta wypowiadające te oto słowa:

— Co za historia! Co za kobieta!

Milczeliśmy. Lecz przedmiotem naszych myśli nie była Piękna Tang.

Klasyka chińska nie fascynowała nas tak, jak pomalowane na czerwono usta cudzoziemskiego diabła.

Katherine była wyraźnie zmieszana. Poruszyła się niespokojnie. W końcu zapytała:

— Chodzi wam o szminkę, tak? Dlaczego tak się na mnie patrzycie?

Przeszkadza wam ta szminka? Mogę ją zetrzeć. — Wyjęła chustkę z kieszeni.

Głowa Lwa podszedł do niej i położył rękę na jej ramieniu.

— To są twoje urodziny — powiedział, odbierając jej chustkę i wsuwając ją sobie do kieszeni. — Cieszymy się pięknem przyrody.

Spojrzała na niego. Zobaczyła dwoje błyszczących oczu. Wyjęła przybory do makijażu.



— Zrobię makijaż komuś z was — powiedziała. — Taką mam fantazję.

Są ochotnicy?

Jim wstał, a my zachichotaliśmy.

Głowa Lwa odsunął go na bok. Odepchnął go i niby to żartem uderzył

Jima pięścią w bok.

— Mysz obiecuje, że wytrze zaplamiony olejem kuchenny blat. Co za oportunistą. Wynoś się stąd! — wykrzyknął.

Jasmine wykrzywiła usta w kształcie litery „O”, jak gdyby głęboko się nad czymś zastanawiała. Myślałam o palcach Katherine dotykających mojej twarzy, o zapachu jej perfum i o tym, czy mogłaby upodobnić mnie do siebie.

Wstałam i usiadłam przed nią, uprzedzając Jasmine.

— Zrób mi makijaż, skoro jesteś tak uprzejma — powiedziałam, patrząc jej prosto w oczy.

Zajęło jej to trzy kwadransy. Nim przystąpiła do dzieła, zapaliła papierosa. Wydmuchując dym, odwracała głowę, ale i tak wiatr niósł go w moim kierunku. Wdychałam jej oddech razem z zapachem jej ciała.

Koniuszkami palców cierpliwie nakładała podkład. Wy z Zachodu uważacie się za ludzi cywilizowanych, myślałam, ale ty, Katherine, sprawiasz wrażenie, jakbyś pochodziła z dzikiej dżungli, gdzie najważniejszy jest zwierzęcy instynkt. Nawiązałaś romans z Głową Lwa.

Zamierzasz zdobywać naszych mężczyzn? Podziwiają cię bez żadnego wysiłku z twojej strony. Jak się czujesz w takiej roli?

Machała pędzelkiem tu i tam, nakładając mi cienie na powieki. Chiny to dla ciebie łatwizna. Na pewno wkrótce zaczniesz się u nas nudzić.

Powiem ci coś — masz to wypisane na twarzy, wmalowane w zmarszczki. Otóż niebawem stwierdzisz, że wszystko tu śmierdzi jak stare nie umyte miski.

Patrzyłam z bliska na jej twarz, gdy wcierała mi róż w policzki. Rysy jak wyrzeźbione, głęboko osadzone, migdałowego kształtu oczy, z których aż biła energia; tęczówki jak toń rzeki. Koniuszek jej nosa był o cal od mojego. W porównaniu z płaskimi, bulwiastymi nosami Chińczyków, można powiedzieć, że miała nos kościsty. Jakie myśli kołatają się jej pod czaszką? Czy zdajesz sobie sprawę, co mi odebrałaś? Mówisz o godności, a sama bez skrupów ukradłaś mi Głowę Lwa. Zależy ci tylko na zaspokojeniu własnej żądzy, tak jak i mnie. Czy to możliwe, że ty też jesteś samotna?

Patrzyłam na nią z bliska, widziałam cienkie podskórne żyłki. Jej oddech rozpałił mi twarz. Czułam koniec jej ołówka, którym rysowała kontury warg. Zamrugnęła długimi

rzęsami, jak gdyby wiedziała, że jej się przyglądam. Nagle zaczerwieniła się po korzonki włosów. Co się stało?

Czyżby twoje ręce powiedziały ci, co myślę?

Mężczyźni orzekli, że wyglądam jak dama z Zachodu. Dodali, że chińska kobieta nie potrafiłaby sama tak się przeobrazić. Dlatego wyglądają jak akuszerki, jak fusy po kawie. Ci mężczyźni przekonali się teraz, że ich kobiety również mogą wyglądać ponętnie. W końcu to tylko makijaż, nic więcej. Dziękuję ci, Katherine, za uświadomienie mi tego. Ciekawe, jak Chińczycy, twórcy tradycji krępowania kobiecych stóp, tradycji inspirowanej targanymi wiatrem wierzbami, więc jak ci Chińczycy wypowiadają się na temat nowej estetyki wyglądu kobiety. Powinnam być wdzięczna za tę lekcję, ale nie czułam wdzięczności. Miałam twarz Katherine, mogłabym udawać Amerykankę, lecz nie byłam Katherine.

Nigdy nią nie będę. Nawet gdybym mogła być, z tą pożyczoną twarzą, to i tak nie mam na to ochoty.

Wróciliśmy do miasta i Katherine zaprosiła nas do swojej chaty na tańce.

Nigdy nie byliśmy dzikusami, z wyjątkiem okresu rewolucji kulturalnej, kiedy to wypisywaliśmy na murze myśli Mao. Pracowaliśmy całą noc ze śpiewem na ustach:

*Kochamy cię, najdroższy Przewodniczący, gotowi jesteśmy otworzyć nasze piersi, by ofiarować ci nasze serca.*

Katherine zapaliła trzy świece i nagle pokój upodobił się do pokoi wroga, jakie oglądaliśmy na naszych filmach propagandowych. Nie powiedzieliśmy jej o tym, nie chcieliśmy psuć jej nastroju; woleliśmy też nie ostrzegać jej, by była ostrożna. Głowa Lwa, Jim i ja rozmawialiśmy, niemal nie otwierając ust. Nauczyliśmy się myśleć niemal jednakowo.

Milczeliśmy i w milczeniu stanowiliśmy jedność. Strzeżliśmy pilnie, by Katherine nie dowiedziała się za wiele, bo jeśli pozna reguły gry, stanie się Chinką, i kontakt z Ameryką zostanie zerwany, z tą Ameryką, którą dzięki niej przesiąkły nasze umysły. Byliśmy starożytnymi mistrzami pędzla, w których tak długo wpajano zasady tradycji, że straciliśmy nadzieję na „niebiańską radość”, jaka miała nam być dana. Nie mogliśmy nigdy maznać atramentem po papierze i narysować jakiegoś dzikiego krajobrazu, tak jak to zazwyczaj robią dzieci. Katherine była naszym dzieckiem; pragnęliśmy, by rysowała coś z wyobraźni, abyśmy mogli ponownie zrozumieć, co to jest niewinność.

Udawaliśmy, że nie spostrzegamy mroku, że pokój jest jasno oświetlony.

Usiedliśmy wokół Katherine, przyglądając się, jak wygina ciało w takt amerykańskiej muzyki. Byliśmy gotowi do ucieczki, w razie gdyby wtargnęły tu władze szkolne. Wszyscy,

oprócz Katherine, wiedzieli, że w Chinach tańczenie przy świecach jest zabronione. Wychodziliśmy kolejno przed chatę, by sprawdzić, czy nie ma milicji. Przyszła kolej na Jima. Stał w ciemności, udając, że pali papierosa. Mogli nas aresztować i wsadzić do więzienia. Jasmine uniknęłaby tego losu ze względu na ojca. Ale nas nikt nie chronił. Mimo to nie chciało nam się wracać do domu. Było tak podniecająco i nikt nie zamierzał wyrzec się tej przyjemności.

Katherine, tańcząc, poruszała biodrami. Dla nas taniec oznaczał wykonywanie propagandowych ruchów w myśl wskazań przewodniczącego Mao. Podnosiliśmy ręce do góry, czyniliśmy gest otwierania serca i śpiewaliśmy:

*Przewodniczący Mao i wielka nasza partio, kochamy was z całego serca i całej duszy —*  
Gesty kopania przeciwnika, zadawania mu ciosów nożem i wrzaski:

„Precz z burżuazyjnym kapitalizmem!” — do niedawna nie znaleźliśmy innej formy tańca. Coś niecoś słyszeliśmy, z racji tego, że w kraju zastosowano politykę „otwartych drzwi”, ale nigdy nie widzieliśmy na własne oczy prawdziwego tańca. Taniec Katherine miał w sobie coś zwierzęcego. Przypominała mi wijącego się węża, pływającego lwa morskiego, żującego morwy jedwabnika, dzięcioła stukającego dziobem w korę drzewa.

To jest właśnie zepsucie, szeptało coś we mnie. Jeśli nie chcesz się temu sprzeciwić, to przynajmniej nie bierz w tym udziału. Lecz obcy diabeł tkwił już pod moją skórą. Nie mogłam usiedzieć na miejscu. Katherine wdzięczyła się, wyginała, a mnie kości zaczęły uwierać.

Kazała Jimowi wstać, rozluźnić się i powtarzać ruchy, jakie sama wykonywała. Nazwała to „tańcem łyżki”. Napała na niego całym ciałem, oderwała się i w ten sposób zaczęli tańczyć rocka. Nie zdawała sobie sprawy, jaki zamęt uczyniła w naszych umysłach. Wobec jej burżuazyjnego wpływu byliśmy całkiem bezbronni...

Nie przypuszczałam, że będę gotowa poddać się diabłu, potrzebowałam tylko kilku słów zachęty. Wpadłam w pułapkę, którą sama na siebie zastawiłam. Byłam tu, w pełnej gotowości; niech mi tylko pokaże drogę, a pójdę nią.

Kto tej nocy nie był prawdziwym sobą? Kto nie złamał zasad ustalonych przez władzę? Kto nie cieszył się z tego niezwykłego doznania? Jasmine siedziała na ławce, kołysząc się na własnych poślankach. Była niemal w transie. Nikt by się do tego nie przyznał. Nawet wobec siebie. Tak nas wychowano. Kiedy nie czuje się własnej nogi, znaczy to, że but jest zbyt wygodny — tak nauczyli nas nasi przodkowie. Gdy nie czujemy własnej talii, znaczy to, że pas jest za luźny. W myśl naszej tradycji mamy dwa umysły. Mówimy jedno, czynimy co innego. Ćwiczymy umysł, żeby być kimś w rodzaju Chui, starożytnego rzemieślnika, który

ręką rysował koła lepiej niż przy użyciu cyrkla. Jego palce dostosowały się w sposób naturalny do przedmiotu, tak że nie musiał skupiać na nim uwagi.

Staliśmy się pokorni i ulegli. Zamykaliśmy oczy naszego serca, by zawrzeć pokój z tradycją. Mówiliśmy, że rewolucja kulturalna nigdy nie istniała. Nie uważaliśmy tak, gdyśmy krzyczeli: „Niech żyje przewodniczący Mao!”. Można powiedzieć, że byliśmy młodzi, prawie dzieci, mało pamiętamy z tamtych czasów. Idąc za przykładem naszego rządu, stwierdzamy, że musimy otworzyć się na Zachód, skierować wzrok ku przyszłości.

Uczyliśmy się angielskiego, żeby walczyć z imperializmem. Gdyby ktoś nas spytał, jak spędziliśmy wczorajszy wieczór, zaprzeczymy, że mieliśmy do czynienia z cudzoziemskim diabłem.

Katherine zagarnęła mnie ramionami i wolno się kołysała. W tańcu położyła mi ręce na udach. Uśmiechnęła się, byłam jak pijana. Poruszała mną w rytm muzyki. Trzymała dłonie kolejno na moich ramionach, talii, biodrach. Roześmiała się i rzekła:

— Poruszasz się jak zdezelowany wiatrak.

Wdychałam jej zapach. Muzyka, zabawa, czerwona szminka. Myślałam o Bitlesach, o ich piosence, bo trzymała mnie za rękę, a ja jej na to pozwalałam. Ocierała się o mnie, znowu, jeszcze raz. W pokoju, na oczach wszystkich. Wstrzymałam oddech. Byłam w Ameryce.

Jak miliardy ludzi w tym kraju moi rodzice spali twardym snem.

Zasmuceni, że machnęli ręką na mnie, ich córkę, która nie obdarzała ich miłością.

Brat mówił coś przez sen. Brzmiało to tak, jakby złota rybka puszczała w wodzie bańki powietrza.

Zapaliłam przy łóżku lampkę dającą przyćmione światło, wyjęłam spod poduszki „Starożytne poematy Państwa Środka”. Doczytałam już do dziewiętnastego wieku; do wiersza napisanego przez poetę o starodawnym imieniu, tak wykaligrafowanym, że nie potrafiłam go wymówić. Wiersz nosił tytuł „Miłość nieśmiertelnych”. W miarę czytania umysł coraz bardziej mi się rozjaśniał:

*Na Twoim smukłym ciele ozdobny pas z nefrytu i koralu, dźwięczący melodią niczym gra niebian, którzy przybywają z Zielonego Jadeitu, niebiańskiego miasta.*

*Jeden twój powitalny uśmiech*

*i staję oniemiały, brak mi słów.*

*Tak długo zbierałaś kwiaty,*

*opierałaś się o bambusowe drzewa.*

*Zielone łuski robiły się coraz zimniejsze w tej twojej*

*pustej dolinie;*

*wyobrażam sobie ciebie, samotną jak palec, dziewczynę  
zbierającą swoje tajemne myśli.*

*Lśniesz niczym przesycona zapachem lampa  
w gęstniejącym cieniu.*

*Bawimy się przy winie,  
recytujemy swoje wiersze.*

*Potem śpiewasz „Pamięć o południu rzeki”.*

*Malujemy sobie wzajemnie brwi.*

*Chcę posiadać ciebie całą,  
twoje ciało niczym z nefrytu  
i twoje serce, które tyle obiecuje.*

*Jest wiosna.*

*Bezkresna mgła przykrywa Pięć Jezior. Ukochana, pozwól mi kupić czerwoną łódź, którą  
razem odpłyniemy w dal.*

Trudno mi wyjaśnić, nawet w przybliżeniu, co czułam w tamtej chwili.

Jak gdyby to mnie porwano, wywieziono daleko, i siłą wrócona rzeczywistości mogłam się tylko opamiętać. Odmieniłam się, uległam transformacji. W rękach Katherine, tego cudzoziemskiego diabła, odnalazłam się. Na cokolwiek patrzyłam, patrzyłam jej oczami. Ten wiersz, który czytałam dawno temu, stał się teraz całkiem inny. Miłość nieśmiertelnych. Czerwona łódź.

Gdyby była budowlą, obróciłby ją w gruzy. Z początku sprawiał wrażenie, że nie obchodzi go, jak Katherine odnosi się do niego; później kiedy zrozumiał, że nigdy w życiu jej nie posiadzie, stracił głowę.

Sfrustrowany lew pokazał pazury. Od tej pory jego uroda przybladła w oczach Katherine. Dla ślepego kota stała się niesforną myszką. Pozwoliła mu uganiać się za sobą. Bawiła się nim, doprowadzała go do szaleństwa, po czym, jak myszka, uciekała na drzewa. Przybierała inną postać; kiedy zdeorientowany kot spoglądał w górę, nie było tam myszki, tylko ptak, który, śmiejąc się głośno, narobił mu na twarz.

Po szkole Katherine rozmawiała z Głową Lwa. Prosiła go, by paktował poważnie prace domowe, w przeciwnym wypadku otrzyma stopień niedostateczny. Zrobiliśmy wielkie postępy w języku angielskim. Mogliśmy czytać Hemingwaya i Emily Brontë. Głowa Lwa nie był już wśród najlepszych.

— Cała klasa musi mnie słuchać — ostrzegła go Katherine. - Nie mogę robić dla ciebie wyjątku. Byłabym nie w porządku wobec innych.

Zima 1983 roku była pełna goryczy dla Głowy Lwa. Oczarowała go cudzoziemska diablica — zakochał się w niej. Ja go nie pocieszałam.

Zasłużył sobie na to, bo mnie zdradził.

Nie zaprosiłam Katherine na święta Nowego Roku, choć rodzice, szczególnie ojciec, nakłaniali mnie do tego.

— Przecież jesteście przyjaciółkami, prawda? — wypytywał się.

Nie powiedziałam ojcu, że chcę ukarać Katherine za to, że ukradła mi Głowę Lwa.

Będzie musiała być w czasie świąt sama, bo nie ma gdzie się udać. To było pierwsze Boże Narodzenie, spędzone z dala od rodziny w Ameryce.

Sądziła, że będzie miała dokąd pójść, że zaprosi ją wiele osób. Na pewno liczyła na mnie. Czułam się podle, wymierzając jej taką karę, ale tylko w ten sposób mogłam jej wybaczyć.

W czasie świąt bardzo do niej tęskniłam. Nawet sąsiedzkie fajerwerki — moja ulubiona zabawa w wigilię Nowego Roku — zobojętniały mi.

Myślałam o Katherine, samej jak palec w tej jej chacie. Wzięłam się w garść i postanowiłam, że do niej nie napiszę. Parokrotnie aż coś mnie pchało, żeby wsiąść do autobusu i stanąć u jej drzwi. Przyłapywałam się na tym, że z utęsknieniem oczekuję wiosennego semestru.

Pewnego ranka, z bambusowym koszem w ręku, udałam się na targowisko. Przedemną, trzymając się za rękę, szły dwie małe, dwuletnie lub trzyletnie, dziewczynki. Nagle stanęły i jedna zaczęła niezdarnie rozpinąć drugiej płaszczyk. Jakie to piękne, pomyślałam i ogarnęło mnie zdumienie. Odzyskiwałam oto dawno utraconą wrażliwość, czułość.

Moje serce znowu było pełne ciepła. Pomyślałam o Katherine, bo to ona ponownie nauczyła mnie kochać.

Napisałam do niej list, przedstawiając jej całe to zdarzenie. Ale przed drzwiami poczty podarłam go na strzępy. „Waż nigdy nie będzie usiłował poznać smaku niebios: raz uwiedziony, nie będzie w stanie wrócić do piekła, gdzie jego miejsce”. Przeraziłam się. Jeśli pobiegnę do niej, odbierze mi serce, i moje ciało będzie jak pusta muszla.

Rozpoczął się wiosenny semestr. Wstałam wcześniej; myłam się owocami drzewa mydlanego, żeby ładnie pachnieć. Włożyłam niebieską bluzę i spodnie Mao oraz wojskowe buty, strój, jakiego żaden Chińczyk już nie wkładał. Zjawiłam się za wcześnie, więc jeździłam na rowerze dokoła akademika. Zauważyłam wiele nowych twarzy — młodzi ludzie o dziarskim wyglądzie.

Spojrzałam na tablicę z obwieszczeniami. Gdy czytałam listę studentów, serce podchodziło mi do gardła. Zamazywały mi się litery. Skierowano mnie do innej klasy, ale

Katherine była w dalszym ciągu naszą główną opiekunką. Kiedy mój wzrok padł na jej nazwisko, które po chińsku znaczy tyle co peonia, odetchnęłam z ulgą. Nogi same mnie zaniosły przed drzwi mojej nowej klasy.

Była inaczej ostrzyżona. Zniknął koński ogon, który spływał na jej plecy.

Miała na sobie beżowy sweter, czarne dżinsy i srebrny pasek opinający talię. Stała przed tablicą, tyłem do drzwi, patrzyła przez okno, jakby głęboko zamyślona. Poza nią nikogo w klasie nie było.

Stałam na progu jak skamieniała. Powiew wiatru otworzył nagle drzwi na oścież. Odwróciła głowę i zobaczyła mnie. Uśmiechnęła się, nieco zakłopotana.

Zmusiłam się, żeby powiedzieć „cześć”.

— Wspaniale wyglądasz — powiedziała tak jak dawniej. — Bardzo mi się podoba ten mundurek.

Ubrałam się dla ciebie, pomyślałam.

Przyglądała mi się bacznie, jakby studiując na nowo moją twarz.

Czułam, jak koniuszki jej palców błędzą po moich policzkach.

Studenci już się zebrali. Odeszła. Pozdrowiła ich, nie spuszczać ze mnie wzroku.

Zajęłam miejsce w samym rogu.

Głowa Lwa zjawił się niemal bezszelestnie. Za nim Jasmine, dźwigając zieloną wojskową torbę. On miał na sobie brązowe palto z podniesionym kołnierzem. Usiadł z boku nie odezawszy się do nikogo. Jasmine wręczyła mu torbę i po chwili wahania usiadła tuż za nim.

Katherine stała przed katedrą. Uśmiech miała równie piękny jak ubiegłego roku.

— Podczas ferii noworocznych miałam mnóstwo pracy — zaczęła. — Nigdy nie byłam tak samotna, w całym moim *tama-de* amerykańskim życiu. — Kilka osób zachichotało, słysząc z jej ust to przekleństwo.

Spojrzała na mnie. — Ale to dobrze. Dobra nauczka, oczywiście w chińskim wydaniu. — Chodziła tam i z powrotem. — Odpisałam na listy, pracowałam nad dysertacją i skończyłam wreszcie „Sen czerwonej komnaty”. — Odwróciła się ode mnie. — To bardzo ważne. Jestem wam wdzięczna za taką lekcję. A teraz zajmijmy się Virginią Woolf.

Jeśli uchwyciła przesłanie książki, a tym samym pojęła istotę tego, co składa się na chińskie podejście do życia, to mi wybaczy, pomyślałam z niejaką ulgą.

Katherine powiedziała, że bardzo ją ucieszyła wiadomość, iż nowa polityka Komitetu Centralnego dąży do poprawy stosunków między Wschodem a Zachodem, co oznacza, że będzie miała większą swobodę w doborze tekstów.

Słuchaliśmy z kamiennym wyrazem twarzy. Dla nas to żadna nowina.

Komitet Centralny może w każdej chwili otworzyć drzwi na Zachód, co bynajmniej nie oznacza, że pozostaną otwarte.

Głowa Lwa wpatrywał się w Katherine, mięśnie policzków mu drgały, włosy sterczały na wszystkie strony. Chcąc wyrzucić ją z pamięci, pojechał w czasie wakacji na północ. Ale wrócił, nie mógł uwolnić się od myśli o niej. Nigdy nie zachowywał się tak wobec mnie ani, jak przypuszczam, wobec żadnej kobiety. Zawsze był zakochany tylko w sobie. Ujrzałam błysk gniewu w jego oczach. Zraniony lew.

Zawsze miał szczęście do kobiet. Niczym płatki kwiatów brzoskwini spadały na niego, na jego twarz, i jedyne, co robił, to wdychał ich cudowny zapach. Gdy miał już dość, zgarniał je z twarzy, rzucał w błoto, niech zbrązowieją, wyschną i niech wiatr poniesie je dalej. Potem mówił z westchnieniem ulgi: „Jaki cudowny mamy dzień” i uśmiechając się radośnie, oczekiwał nowej wiosny.

Nic nie zapowiadało burzy zimowej roku 1983. Chłód przeszył go na wylot, zmroził mu krew w żyłach. Wątpił, czy jego serce przetrzyma Nowy Rok. Katherine obserwowała go z oddalenia. „Dobrze się czujesz?” — zdawała się pytać. Jej oczy, lustra przejrzystego jeziora, były tak czyste, że na ich kryształowej powierzchni odbijały się jego myśli.

Był wystawiony na widok publiczny, obnażony. Naładował się paliwem i przyjmując na siebie iskry jej oczu, udał się w tę płonącą podróż.

Nie mógł znieść jej układności, uprzejmości, zaangażowania w to, co robi. Nietrudno było zauważyć, że znajdując się w jej pobliżu, cierpiał straszne męki. Podczas przerwy zapytał ją, czy nie zechciałaby obejrzeć paru antycznych przedmiotów, o jakie ostatnio powiększył swoją kolekcję.

— Dzięki, może innym razem — odparła.

— Mógłbym ci pomóc w nauce chińskiego.

— Nie, nie mam problemów, dziękuję.

— *He-bi-ne?* Dlaczego tak się nade mną znieczasz?

— Nie rozumiem, o co ci chodzi.

— Proszę cię, przestań!

— O czym ty mówisz?

Wszystko to na oczach klasy. Żał nam było Głowy Lwa. W końcu należał do nas, był Chińczykiem. Staliśmy po jego stronie, nie mogliśmy inaczej.



Czy kochałam Głowę Lwa, czy też nie — to całkiem inna sprawa. W głębi duszy życzyliśmy sobie, by Katherine pocierpiała choć trochę. Jej cierpienie było nam potrzebne dla zachowania równowagi. On nigdy za żadną z nas nie szalał. Obie z Jasmine stałyśmy się teraz towarzyszkami niedoli.

W środę późnym popołudniem robiłam przełączniki do światła. Maszyna odlewnicza pracowała cały czas, warcząc jak śmigłowiec. Od rana zdążyłam wykonać cztery pojemniki. Z lękiem myślałam, co się ze mną stanie po skończonym semestrze, gdzie będę pracowała, do czego mnie wyznaczą. Mój szef, który się cieszył, że przetłumaczę katalog z jego wyrobami, został oskarżony o korupcję i usunięty. Przyłapano go na tym, że za pieniądze fabryki urzędująca przyjęcia dla swoich krewnych. Znowu byłam robotnicą wypożyczoną ze Słoniowych Pól. Nie mogłam spać.

Wychodziłam ze skóry, żeby być najlepszą w klasie; jeśli dopisze mi szczęście, będę jedyną kandydatką na to pierwsze miejsce.

Coraz mniej czasu poświęcałam rodzinie. Brat w końcu się ożenił i zajął mój pokój. Jego trzydziestodwuletnia narzeczoną nie mogła już dłużej czekać. Musiałam więc spać razem z rodzicami. Gdy wieczorem wracałam do domu, nie zapalałam światła, żeby ich nie obudzić. Robiłam wszystko po ciemku: jadłam, myłam się, przebierałam. Ogarniała mnie złość. Bezprzedmiotowa. Wiodłam życie więźnia uciekającego z zakładu karnego, czekając na kulkę, która mnie trafi, a może chybi celu.

Głowa Lwa przyszedł do fabryki — odszukał mnie. Nie mogłam dosłyszeć, co mówi. Wyłączyłam maszynę, zdjęłam rękawice robocze.

Zapytałam, po co przyszedł. Nie odpowiedział, oświadczył tylko, że musi ze mną niezwłocznie porozmawiać. Usiadł w kącie i zapalił papierosa.

Podeszłam do niego.

— Mam dla ciebie dziesięć minut — rzekłam.

— Potrzebuję więcej niż dziesięć minut.

Po pracy poszliśmy do makaroniarni. Zamówił dwie miski makaronu z owocami dzikiej fasoli. Pochłaniałam to danie o bardzo delikatnym smaku, czekając, co Głowa Lwa ma mi do powiedzenia.

— Mówię poważnie — zastrzegł się. — Chcę mieć przyjaciół, rodzinę, kogoś, z kim mógłbym myśleć o przyszłości.

— Głupstwa wygadujesz — powiedziałam z sarkazmem. — A co z twoim cudzoziemskim skarbem?

— To dziwka — stwierdził. — Uwiodła mnie. Dostałam dobrą nauczkę.

Dzięki temu zrozumiałem, jak bardzo kocham ciebie. Nie mogę bez ciebie żyć.

Już, już miałam wybuchnąć śmiechem, ale opanowałam się, by go nie obrazić. Cóż to za człowiek? Nie mieściło mi się wprost w głowie, że kiedyś tak bardzo go pragnęłam. Chciał moim kosztem odzyskać Katherine.

— Ty przecież ją kochasz — powiedziałam, patrząc mu prosto w oczy. — Jak możesz temu zaprzeczyć? Robisz z siebie głupka.

— Nie, nigdy jej nie kochałem. Byłem jej ciekaw. Przyznaję, że przeżyłem z nią rozkosz. Słabość, jaka, niestety, cechuje wielu mężczyzn.

Ale ja... ja pragnę połączyć swoje serce z kimś innym, z kimś, kto ma chińskie serce.

Nalegał, żebym dziś wieczorem przyszła do niego na herbatę. Powiedział, że przeżył ciężkie dni i potrzebuje towarzystwa. Prosił, żebym z nim była.

Około ósmej poszliśmy do jego małego pokoju. Nie zapalił światła.

Zamknął drzwi na klucz, rozejrzał się, staliśmy przez chwilę twarzą w twarz, potem objął mnie, pchnął na łóżko i władował się we mnie.

Koszmar, pomyślałam. Leżę pod nim. Słyszałam, jak wszystko we mnie jęczy. Zaczął robić ze mną to samo, co w Wilczych Zębach. Ale nie miało to dla mnie żadnego uroku. Byłam jak odrętwiała. Zimna. Krew nie płynęła szybciej w moich żyłach. Przerwał. Usłyszałam po chwili, że szlocha. Powiedział, że Bóg musiał go ukarać.

Usiedliśmy i patrzyliśmy w ciemności na ścianę.

Mówił o naszej wspólnej przeszłości. Jak było pięknie. Opowiadał o czasach rewolucji kulturalnej, o bohaterach i sławie, o tym, że nasza kultura jest jak gruby mur, przez który żaden cudzoziemiec się nie przedrze. Nasze proste czarne włosy, żółtobrązowa skóra, piękno naszej rasy, historia licząca pięć tysięcy lat, nasza sztuka kaligrafii, artyzm operowania pędzlem, kolory, atrament, wszystko co chińskie.

Władze szkolne uhonorowały Katherine, nadając jej tytuł zasłużonego nauczyciela roku. Dostała trzy dni urlopu. Powiedziała mi, że nawiązała kontakt z trzema sierocińcami i jeden zamierza właśnie odwiedzić. Czy chciałabym jej towarzyszyć? Zgodziłam się bez wahania.

Udałam się do władz fabryki z prośbą o zwolnienie mnie na trzy dni. Szef powiedział, że przysługują wolne dni tylko w wypadku śmierci w rodzinie.

Skłamałam, że moja babcia jest umierająca i pragnie przed śmiercią mnie zobaczyć. Musiałam przyrzec, że po powrocie nadrobię wszystkie zaległości.

Jechałyśmy różnymi trasami. Wsiadłam do innego autobusu, żeby moje kłamstwo się nie wydało. Wymknęłam się z centrum Szanghaju i nikt nas razem nie widział. Katherine była

ogromnie podekscytowana. Zupełnie jak w filmie z Jamesem Bondem, powiedziała. Zapytałam ją, co to znaczy, a ona na to, że nasza wyprawa ma posmak przygody. Chciała wiedzieć, co sędzę o adopcji. Odparłam, że właściwie nie mam zdania.

Normalna rzecz. Wzruszyła ramionami.

Stacja Yi-lian znajduje się na północnym krańcu miasta. Tłum. Wszyscy w ciemnobrązowych ubraniach. Wepchnięto nas do ogromnej poczekalni.

Wieśniacy siedzieli na betonowej podłodze. Mieli tępy wyraz twarzy, jak czekający na zwolnienie więźniowie.

Włożyłam na głowę starą chustkę, która przesłaniała pół twarzy. Według Katherine prawie się nie odróżniałam od reszty. Powiedziałam na to, że ona też nie wygląda za dobrze. Bez makijażu, w znoszonej granatowej kurtce zapinanej na wielkie guziki od szyi aż po kolana. Czarne spodnie związane w kostkach. Czarne płócienne buty na grubej podeszwie. Jej stopy w tych butach wydawały się nienaturalnie wielkie. Na głowie zamotana jasna, zielono-czerwona chustka w kwiaty. Z tyłu wyglądała jak mężczyzna. Górowała nad tłumem niczym koń nad kozami. Jakaś kobieta z dwojgiem dzieci w koszach poprosiła Katherine, by zrobiła jej przejście, bo nie może się przedostać; zwróciła się do niej per *Da-shu*, wielki wujaszku. Potem kazała dzieciom powiedzieć *Shieshie Da-shu*, dziękuję ci, wielki wujaszku. Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu i zaczęłam również nazywać ją *Da-shu*.

W pociągu śmierdziało jak w klatce ze zwierzętami. Pod siedzeniami, koło naszych nóg upchnięto w nylonowych rybackich sieciach kury i kaczki. Ludzie zrzucali ze swoich misek resztki jedzenia dla zwierząt.

Nikt się nie pofatygował, by uprzątnąć kurze i kaczki odchody. Wszyscy palili i gadali głośno. Siedziałyśmy z Katherine naprzeciwko siebie. Ona czytała „Trzy królestwa”, książkę o strategii dowódców wojennych, „panów wojny” z epoki dynastii Han, nagrodzoną przez przewodniczącego Mao. Nie mogłam się nadziwić jej wytrwałości.

Patrzyłam na przesuający się za oknem krajobraz. Wielkie Chiny, moja ojczyzna... Przypomniały mi się słowa piosenki, którą śpiewałam, gdy byłam małą: „Piękne Chiny, perła mórz, gwiazda Wschodu”. Dziś te słowa ziały pustką. Nudziły mnie. Pomyślałam o tym, jak Katherine opowiada o swoim kraju, o swoich ideałach, o sztuce, ludziach i życiu.

Dla niej było to codziennością, dla mnie — objawieniem. Ludzie w Chinach nigdy o tym nie rozmawiają, nigdy nie mówią o swoich uczuciach. Mówią na przykład, że syn rodziny Chen żeni się z córką rodziny Li i że obie rodziny czekają niecierpliwie na przyjście na świat wnuczka; i jakie należy pić wywary ziołowe, by rodzili się synowie; o rodzinach, które mają *dai-jia-nu*, czyli córki-gotowe-do-mażeństwa-i-szukające-partnera-z-pokojem; o tym, jak

przez różne znajomości, nielegalne dojścia, otrzymać prawo stałego zamieszkania; co należy zrobić, by wydostać dziecko z obozu pracy; o przynoszących korzyści podarunkach dla urzędników państwowych — kartony papierosów, wina Mai-tai, importowane zegarki; jak wydostać się z więzienia, gdy przyłapano cię na korumpowaniu pracowników aparatu partyjnego.

Chińczycy nie rozmawiają o marzeniach, przyjemnościach. Głowa Lwa stanowił wyjątek, ale on mówił tylko o swoich własnych problemach, o zemście, jaką poprzysiągł, o krzywdach, jakich doznał we wczesnej młodości, o tym, ile społeczeństwo mu zawdzięcza. Oczywiście Jasmine też była wyjątkiem; rozpowiadała o swoim nieszczęśliwym życiu, wiecznych rozczarowaniach, nienawiści, jaką jest przepelniona, o swoim potężnym, lecz bezużytecznym dla niej ojcu.

Lubiłam słuchać Katherine, gdy mówiła o swych pięknych, naiwnych marzeniach. Mówiła: „Chciałabym poznać malarstwo chińskie.

Chciałabym zostać reżyserem filmowym. Chciałabym w moim ogródku uprawiać chińskie zioła". Staralam się zrozumieć, czego ona właściwie chce.

Im bliżej byłyśmy celu, tym biedniej wyglądali ludzie. Ręce dzieci były jak bambusowe kijki; zwierzęta chude, skóra i kości. Katherine układała list do dyrektora sierocińca, w którym deklarowała chęć adoptowania dziecka. Gdy skończyła, przeczytała mi go i poprosiła o komentarz.

Oświadczyłam jej, że po przeczytaniu takiego listu nikt jej nie da zezwolenia na adopcję.

Zmartwiona chciała wiedzieć dlaczego.

— Nie wolno ci napisać, że chcesz zaadoptować chińską dziewczynkę, bo dzieci płci żeńskiej nie są w Chinach dobrze widziane — odparłam. — Nasz rząd nie puści płazem takiej zniewagi.

— No to jak mam to sformułować? — Podarła arkusik papieru.

— Że od dziecka, które zaadoptujesz, będziesz mogła wiele się nauczyć o kulturze wielkich Chin.

Dziecko pomoże ci zdobyć wiedzę...

— To śmieszne! Mam zdobyć wiedzę od... Przecież chodzi o dziecko!

— Nieważne — powiedziałam. — Sęk w tym, że nasze władze chcą słyszeć to, co mile brzmi w ich uszach.

— Ale ja uczciwie stawiam sprawę.

— Chcesz mieć dziecko czy nie? — zapytałam zniecierpliwiona.

— Och, te gry i gierki... — Westchnęła i zabrała się ponownie do pisania.

O godzinie drugiej zjadłyśmy obiad w wagonie restauracyjnym. Makaron smakował jak guma. Katherine spróbowała i odstawiła talerz. Ja jadłam powoli, pogrążona w zadumie. Nagle zza moich pleców wychynęły dwie pałeczki i porwały z mojego talerza trochę makaronu. Obejrzałam się i zobaczyłam buzię pięcioletniego chłopca, brudną, chudą, budzącą litość.

Był sam, nikogo dorosłego w pobliżu. Kiedy się znowu odwróciłam, zobaczyłam, że talerz Katherine zniknął. Nie mogłam już jeść. Dałam chłopcu i mój talerz. Wróciłyśmy z Katherine do przedziału. Konduktor oznajmił, że zbliżamy się do prowincji Ningsia Hui. Przed wieczorem wysiadłyśmy w Wiosce Szczęścia.

Katherine miała ze sobą list z urzędu miasta, w którym napisano, kim jest i jakiej pomocy oczekuje od władz wioski. Nazajutrz zasięgnęłyśmy języka, gdzie znajduje się sierociniec. Jakiś chłopiec zaprowadził nas tam, a Katherine dała mu w nagrodę tabliczkę czekolady. Chłopiec był tym bardzo przejęty.

Katherine zapytała nagle, czy moim zdaniem postępuje słusznie. Nie potrafiłam jej na to odpowiedzieć. Byłam bardziej zdenerwowana niż ona. Niedawno dowiedziałam się od kuzyna,

który pracował w służbie zdrowia, że w Chinach jest ponad sto tysięcy sierot, z czego sześćdziesiąt procent to dzieci niepełnosprawne albo upośledzone umysłowo. Pomyślałam o swoim zatrutym przez mnie dziecku i bardzo się złąłam o Katherine.

— Co się stało? — zapytała.

— Dlaczego pragniesz tej adopcji?

Spojrzała na mnie i odparła, akcentując każde słowo:

— Mam wiele do ofiarowania i będę miała satysfakcję, mogąc to komuś dać. Zawsze chciałam mieć dziecko i od wielu już lat myślę o adopcji.

Wiem, jak się czują porzucone dzieci. I chcę pomóc...

Ujęłam jej dłoń i poczułam w tym momencie, że łączy nas głęboka, dana od Boga przyjaźń. Pomyślałam, że razem adoptujemy dziecko.

Kierowniczką sierocińca nie była zbyt rozmowna. Starsza kobieta, około sześćdziesiątki, o zmęczonej twarzy. Przejrzała dokumenty Katherine i zaprowadziła nas na dziedziniec. Domostwo wyglądało jak opuszczona świątynia. Rozejrzałyśmy się i uszu naszych dobiegł płacz dzieci. Kobieta widocznie była do tego przyzwyczajona. Z uwagą zabrała się do czytania dokumentów. Skończywszy lekturę, skinęła dłonią, byśmy szły za nią.

— Dziewczynki jedzą śniadanie — powiedziała i zaprowadziła nas do jadalni.

Stały tam piece, a na nich duże bambusowe naczynia do gotowania na parze. Przy jednej ścianie czarny od dymu kominek. Długie stoły, a przy nich około trzydzieścioro dzieci, główki tuż nad miskami —jadły słodkie ziemniaki i owsiankę. Same dziewczynki. Według słów kierowniczkii — od dwóch do dwunastu lat. Spoglądały na nas, z ustami przywartymi do miseczek, zupełnie jak wiewiórki. Najwyraźniej się bały, szczególnie jej, Katherine. Ona zaś pomachała im z uśmiechem dłonią.

Żadna dziewczynka nawet nie drgnęła ani nie mrugnęła okiem.

Zaprowadzono nas do małego biura. Katherine powiedziała, jaką dziewczynkę chciałaby zaadoptować. Przetłumaczyłam jej słowa.

Poradziłam jej bowiem, by nie mówiła po chińsku, żeby uniknąć nieporozumień. Oświadczyłaby na przykład: „Budzi pani we mnie szacunek”, a wyszłoby: „Budzi pani we mnie lęk”.

Kierowniczka przeglądała księgę rejestracyjną. Przerzuciła kilka stron i wskazała palcem nazwisko.

— Ta dziewczynka będzie pani odpowiadać — oznajmiła. — Ma pięć lat, jest zdrowa, inteligentna.

— Mogłabym ją zobaczyć? — zapytała Katherine. Zapomniała, że nie powinna mówić po chińsku.

— Po obejrzeniu jej może pani już tylko zrezygnować ze swego zamiaru.

— Co to znaczy?

— Że nie może pani wybierać drogą selekcji.

— Dlaczego?

— Bo my nie sprzedajemy dzieci.

— Nie zamierzam nikogo kupować — powiedziała Katherine stanowczym głosem.

— Nie ja ustalałam te zasady. Przepraszam, ale muszę iść na górę.

Katherine była zdenerwowana i zawiedziona. zaproponowałam, żebyśmy jednak obejrzały dziecko. Kierowniczka powiedziała, byśmy poszły do sali zabaw, gdzie teraz są dziewczynki, a ona zaraz tam zejdzie.

W sali zabaw, gdy przekroczyliśmy próg, trwała zacięta walka między sześciolatką wyglądającą na małą sadystkę i młodszą dziewczynką, około czterech lat. Okrucieństwo tej starszej zaszokowało nas. Wepchnęła małą do kąta i kopała ją zapamiętane. Malutka otwierała usta w bezgłośnym krzyku.

— O, mój Boże! —jęknęła Katherine. Dałam jej kuksańca, żeby była cicho.

Sadystka ciągnęła małą za włosy. Wezwała inne dziewczynki, by się do niej przyłączyły. Iście zwierzęce znęcanie się. Mała walczyła w milczeniu, aż przerzucono ją przez stoły, przyciśnięto do ściany. Inne dziewczynki, chichocząc, po kolei ją kopały.

Sadystka chwyciła szczotkę do zamiatania i zaczęła walić tę małą. A ona, zasłaniając głowę rękami, usiłowała się bronić, ale głosu z siebie nie wydała.

— O Boże, to niemowa! — wykrztusiła Katherine.

Nie mogła znieść tej sceny; zaparło jej dech w piersiach.

— Ktoś musi coś zrobić — mruknęła i mało brakowało, a pospieszyłaby małej z pomocą.

Chwyciłam ją za ramię, wytłumaczyłam, że takie rzeczy są tu na porządku dziennym, i ona nic nie poradzi.

— Ale one zrobią jej krzywdę, nie widzisz? To niemowa, a pewno i głuchoniema. Czyste szaleństwo! Nie będę patrzeć na to bezczynnie.

— Będiesz — powiedziałam. — Nie bądź głupia. To właśnie są Chiny.

— Chcę, żeby była moim dzieckiem — oświadczyła nagle z determinacją, głosem nabrzmiałym wzruszeniem.

Spojrzałam jej w oczy i poraził mnie ich dziwny blask.

— Tylko ją chcę adoptować.

— Ale ona jest niemową, i nie wiadomo, czy nie jest na coś chora.

— A jeśli wcale mi to nie przeszkadza? — odparła.

Zjawiła się kierowniczką. Dziewczynki rozbiegły się, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Sadystka przybrała słodki wyraz twarzy, złożyła kierowniczkę uniżony ukłon. Mała stała w kącie i spokojnie ocierała łzy.

Jak gdyby przywykła do takich tortur. Kierowniczka skinęła ręką w stronę Katherine i przedstawiła jej ową sadystkę.

— To jest Mei-mei, dziewczynka, którą polecam pani do adopcji. Proszę popatrzeć, jaka jest miła i ładna. Moja ulubienica. Doprawdy z niechęcią ją oddaję.

Katherine cofnęła się o krok i usiłowała się uśmiechnąć. Na próżno.

Wzięła głęboki oddech.

— Oczywiście, rozumiem. — I uszczypnęła mnie w udo. Potrzebowała pomocy.

Podziękowałam kierowniczkę za jej wspaniałą rekomendację.

— Tak, Mei-mei to świetny wybór — powiedziałam. — Ale Katherine ma problem natury religijnej.

Zarówno Katherine, jak i kierowniczka spojrzały na mnie ze zdumieniem.

— Co ty opowiadasz? — zapytała Katherine po angielsku.

— Nie wygłupiaj się, staram się ci pomóc — odpowiedziałam również po angielsku.

— To prawda, mam problem natury religijnej — przytaknęła swoją śmieszoną chińszczyzną. — Przepraszam, podczas naszej pierwszej rozmowy nie wspomniałam o tym.

Zaczęłam wymyślać jakąś niewiarygodną wersję. Byłam zdenerwowana, ale udało mi się przekonać kierowniczkę. Z racji wyznawanej przez Katherine religii byłoby lepiej, gdyby adoptowane przez nią dziecko nie umiało mówić. Jej matka była niemową, więc jest specjalnie uczulona na potrzeby kaleki. Dodałam jeszcze coś w tym sensie, że zdaniem Katherine, osoby bardzo pobożnej, jej religijnym obowiązkiem jest pośrednictwo między Bogiem a upośledzonym dzieckiem. Ja sama tego nie rozumiem, powiedziałam, ale Amerykanie wierzą w takie rzeczy.

Mówiłam przeszło piętnaście minut. Katherine od czasu do czasu kiwała potakująco głową. W końcu nawiązałam do nauk przewodniczącego Mao, że trzeba żyć w przyjaźni z proletariuszami na całym świecie. Że byłoby życzeniem partii pomóc Katherine w adoptowaniu upośledzonego dziecka, bo dzięki temu łączą się proletariusze wszystkich krajów. Byłby to znaczący wkład sierocińca w dzieło światowej rewolucji.

Kierowniczka obiecała, że zobaczy, co da się zrobić, by zadośćuczynić potrzebom religijnym Katherine. Powiedziałam, że mamy mało czasu.

Liczymy na szybką decyzję. Ona na to, że szczerze mówiąc, ma u siebie dziewczynkę nie mówiącą. Zawołała tę biedną małą, którą Katherine próbowała bronić. — Jak ma na imię? — zapytała Katherine.

— Xiao-tu, Mały Królik — odparła kierowniczka. Katherine ujęła rączkę Małego Królika. Dziewczynka stała

nieporuszona, ale nie wyrwała ręki z dłoni Katherine. Mała spojrzała z ukosa na sadystkę. Katherine miała łzy w oczach.

— Będiesz moją córeczką — powiedziała po angielsku. — Chcesz?

Mały Królik skinęła główką, jak gdyby zrozumiała.

— Trzeba załatwić wszystkie formalności — oznajmiła kierowniczka.

Katherine zapytała, ile zajmie to czasu. Co najmniej pół roku, żeby zdobyć odpowiednie dokumenty dotyczące Katherine oraz jej sytuacji finansowej.

— Rutynowa procedura, nie ma powodu do niepokoju. Od razu natomiast Katherine otrzymała zezwolenie na spędzanie z Małym Królikiem wszystkich świąt i wakacji.

W drodze powrotnej Katherine podziękowała mi, że zrobiłam z niej „doskonałą istotę ludzką”. Nagle poczuła wilczy głód. Zaprowadziłam ją do makaroniarni w pobliżu dworca. Nosila szumną nazwę



„Najsmakowitsze Dania pod Słońcem”. Zamówiliśmy dwie wielkie porcje; swoją Katherine zjadła błyskawicznie.

— Nigdy w życiu tak się nie najadłam — powiedziała; chciała koniecznie pójść do kuchni i zobaczyć, jak takie dania się przyrządza. Poszliśmy na tyły restauracji i zerknęliśmy przez balustradę. Setki much siedziały na cieście — znosiły jajeczka.

Głowa Lwa zrobił mi farby z żółtka. Kiedy po nie przyszłam, poczęstował mnie herbatą. Pokazał mi swoje ostatnie dzieła z cyklu „autoportret bez twarzy”. Jego twarz na tych fotografiach wyglądała jak znoszona podeszwa. Moim zdaniem było to bardzo dobre.

Mówił, że potrafi wyczuć prawdziwą naturę człowieka, na przykład Katherine. Fałszywa Amerykanka, pięknie się wysławia, ale wzrastała w kulturze nie mającej oparcia w historii, zawsze będzie powierzchowna, jej wiedza nigdy nie sięgnie głębi.

— Ale przecież nie widziałeś świata poza nią. Jak mi to teraz wytłumaczysz? — zapytałam.

Powiedział, że tylko w ten sposób mógł ją zdobyć, a zdobywszy ją, czuł się tak, jakby pokonał imperializm.

— Działalność niemal polityczna — zakończył. Przypomniałam mu, że Katherine jest moją najlepszą przyjaciółką.

— Lecz my jesteśmy Chińczykami — rzekł. — Jesteśmy ludźmi wyższej klasy. My wynaleźliśmy rakiety, nie oni. My jesteśmy wyposażeni w geny geniusza!

Wygłaszał tę kwestię wysokim łamiącym się głosem, wymachując rękami.

Patrzyłam w jego małe oczka, pełne zacierzwienia i wściekłości.

— Nie sięgasz winogron, bo jesteś niski, a nie dlatego, że są za kwaśne — powiedziałam. — Rozczarowałaś mnie, jesteś słabym człowiekiem.

— Czyżbyś była po jej stronie? — zapytał lodowatym tonem. — Czyżbyś chciała być na każde jej skinienie, jak posłuszny piesek?

Odparłam, że zawsze sądziłam, iż ma serce wielkości ucha igielnego.

— A kiedyś chwaliłeś się, że masz tak wielkie serce, iż okręt by przez nie przepłynął. Co się z tobą stało?

Popatrzył na mnie przenikliwie.

— Pogardzasz mną? Milczałam.

— Proszę cię, wysłuchaj mnie uważnie — zaczął. — Masz poważne problemy psychiczne. Prawdę mówiąc, szatan pożera ci mózg.

Przewiduję twój kompletny upadek.

— Martw się raczej o siebie — rzekłam, zbierając się do odejścia.

Na stole zobaczyłam stos podarunków. Ubranka, zabawki. Powiedziałam Katherine, że jeśli wyśle te prezenty Małemu Królikowi, wszystkie nasze wysiłki pójdą na marne. W tym kraju bowiem najwyższą cenę ma rzekoma równość. Rewolucja kulturalna głosiła sprawiedliwość — dzieciom z biednych rodzin pozwalano bić dzieci z rodzin zamożnych, ponieważ biedne dzieci cierpiały z powodu nierówności. Przekonałam ją wreszcie, że te prezenty przyniosą tylko szkodę i nie ułatwią życia Małemu Królikowi.

Zastosowała się do mojej rady. Ze szpitala, do którego skierowano ją na kontrolę w związku z zamiarem adopcji, otrzymała pismo, by ponownie zgłosiła się na badanie krwi.

— Rząd chce mieć pewność, że nie cierpisz na jakąś dziedziczną, związaną z seksem chorobę — wytłumaczyłam jej.

— To jest po prostu obraźliwe! — oburzyła się Katherine. - Nawet gdybym była chora, to co im do tego, co to ma wspólnego z adopcją?

— U nas, w Chinach, jeśli cierpisz na taką wstydliwą chorobę, zaliczą cię automatycznie do złych ludzi. Nie będziesz dla dziecka dobrym przykładem.

— No dobrze już, dobrze. — Usiłowała opanować oddech. — Co jeszcze mnie czeka? Na co jeszcze mam być przygotowana?

— Nie wiem. Mogą zażądać od ciebie pisma Stanów Zjednoczonych, z Departamentu Sprawiedliwości, które by potwierdziło, że nie byłaś karana i że nigdy nie zajmowałaś się handlem dziećmi.

— Mówisz poważnie? To absurd!

— Chcesz mieć Małego Królika czy nie? Przymknęła powieki, że tak.

— Wobec tego musisz uporać się z tym gównem. Od czasu naszej wspinaczki nauczyłaś się trochę myśleć po naszemu.

Głowa Lwa oznajmił mi, że wraz z panem Hanem i Jasmine złożyli wizytę jej dziadkom. Stał się oficjalnie przyszłym zięciem.

Powiedział, że jest bliski zamordowania pana Hana, że w wyniku tej całej sytuacji stał się wobec Jasmine brutalny. Każe jej podczas stosunku mówić wszystkie obrzydliwe słowa, jakie tylko zna. A ona uważa to za objaw miłości i prosi o jeszcze. Ostatnio musi nosić szal, żeby zasłonić siniaki.

— Cóż więcej mogę powiedzieć? Zakochana kobieta. Bez pamięci, chociaż wie, że kiedy jesteśmy razem, nie jestem z nią. — Westchnął ciężko. — Ale jest zdecydowana zdobyć mnie. Uparta jak osioł.

Nieodrodna córka swego ojca. I wygra.

O zachodzie słońca siedziałyśmy z Katherine przed jej chatą. Sprawa adopcji, choć powoli, posuwała się do przodu. Rząd, jak z tego widać, w ramach załatwiania formalności domaga się jeszcze jednego papierka: Katherine musi im dostarczyć zaświadczenie, że jej rodzina (od trzech pokoleń) nie popełniła żadnej zbrodni.

— Nie znam nawet swoich biologicznych rodziców, nie mówiąc o dziadkach i pradziadkach, jakże więc mam sobie z tym poradzić? — Patrzyła z niedowierzaniem na przysłane pismo.

— Załatw to sama — poradziłam jej. — Nikt z urzędników nie będzie sprawdzał w Ameryce danych, możesz więc napisać to, co ukaże cię w najlepszym świetle.

— Co mianowicie?

Niebo przybierało już czerwoną barwę. Dzikie rośliny chełpiły się swoją urodą, chichocząc wśród wiatru. Katherine miała na sobie brązowy sweter. Odchyliła głowę do tyłu, czekając, aż spreparuję jej drzewo genealogiczne.

— Rzecz jasna, muszą to być proletariusze. Czy w Ameryce są wieśniacy?

— Wieśniacy? No... niezupełnie. Możemy napisać, że byli farmerami czy coś w tym sensie.

— Nie, nie. Farmer to brzmi jak właściciel ziemski. Kto za czasów twojego dziadka pracował dla farmerów?

— Że niby niewolnicy? O to ci chodzi? — zapytała z dziwnym wyrazem twarzy.

— O Boże! Możemy napisać, że byli niewolnikami... i żebrakami. To będzie pasowało. — Zanotowałam. — Jeszcze jedno. Musimy zrobić z nich ludzi nieugiętych, pracowitych.

— Wiem! — wykrzyknęła. — Górnicy. Kopalnia węgla.

— Bardzo dobrze.

Patrzyła, jak wszystko zapisuję, i klękawszy niemal, wybuchnęła śmiechem.

Sporządziwszy ów dokument, poszłam nad strumień umyć ręce. Po powrocie stwierdziłam, że Katherine tępym wzrokiem wpatruje się w trawę. Usiadłam obok niej i zapytałam, co ją gnębi. Milczała. Zapytałam jeszcze, czy może tęskni do swojej ojczyzny. Uśmiechnęła się — nie chodzi tu o ojczyznę. To całkiem inna sprawa. Jaka? — chciałam wiedzieć.

— Pewno uznasz to za nonsens — rzekła. — Ale gra, jaką prowadzą Chińczycy, przypomina mi grę w szachy; codziennie obserwują każdy mój ruch. Bardzo mnie to drażni.

— Też mam wszystkiego dość — powiedziałam. — Ale jeśli będę się w to wgłębiać, koniec ze mną. Prawda jest taka, że mam za mało przestrzeni życiowej, nie mogę pracować, nie mogę odpoczywać, nie mogę być sama. Każdy centymetr przestrzeni muszę sobie

wywalczyć. To są właśnie Chiny. I dlatego staliśmy się nieludscy. Tyle gąb do wykarmienia. Każdy rodzi się po to, by ulec deprawacji, chyba że będzie wyjątkowo silny i potrafi dobrze grać. I żeby było śmieszniej, właśnie my uważamy się za najbardziej cywilizowany naród świata. Zachowujemy się z wyszukaną elegancją, równie elegancko uprawiamy ludożerstwo.

Przegadałyśmy całe popołudnie. Katherine nagotowała ryżu. Nieźle posługiwała się pałeczkami, tyle że za głęboko nimi sięgała.

— Myślisz, że się przystosuję?

— Do Chin? Nie — odparłam. — Jesteś za mało pokorna. Roześmiała się i poszła sprzątnąć kuchnię i przybudówkę.

Powtarzała mi nieraz, że typowa Amerykanka ma bzika na punkcie czystości. Łazienka musi być bez skazy. Ja też, powiedziałam, przywiązywałam do tego wielką wagę. Lecz tam, gdzie teraz mieszkam, mamy łazienkę wspólną z sąsiadami. Utrzymywać ją w czystości to tak jakby zakazać paznokciowi rosnąć. Wątpię, czy kiedykolwiek w życiu będę miała własną łazienkę. Tak samo jak Amerykanki bym o nią dbała.

Rozsiadłyśmy się wygodnie w pokoju, z nogami na stole, jedząc pestki słonecznika. I wtedy Katherine zapytała mnie, czy moim zdaniem jesteśmy przyjaciółkami. Zapaliła lont dynamitu.

Czego ona chce? Nagle zabrzmiał mi w uszach głos Głowy Lwa.

Odwrociłam się, spojrzałam jej w twarz, na kasztanowe włosy, oczy rysia, kształtne ciało, połączenie piękna z okrucieństwem. Pomyślałam o Głowie Lwa, o jego kulcie wszystkiego co chińskie. Wyobraziłam sobie

— nie mogłam się przed tym powstrzymać — ich splecione ciała, spowite bluszczem. Usiłowałam przepędzić ten obraz, ale zbyt mocno wrył się w pamięć.

— Przepraszam — rzekłam. Byłam przekonana, że przejrzała na wylot moje myśli. Lecz było już za późno, by je cofnąć.

— Chciałabyś o tym porozmawiać? — zapytała ciepłym tonem.

— Nie ma o czym.

— No wiesz... Chyba każdy człowiek ma chwile słabości... Przerwałam jej:

— Powiedz mi, że Głowa Lwa nigdy ci się nie podobał, że nie byłaś nim zafascynowana. Powiedz, że nigdy nie chciałaś oddać się Chińczykowi.

Powiedz, że moim kosztem nie zabiegałaś o rozkosz. Powiedz, że tamtego popołudnia w górach nic się między wami nie wydarzyło. I potem powtórz, że jesteśmy przyjaciółkami.

Przyparłam ją do muru; była w sytuacji nie do pozazdroszczenia.

Otwierała i zamykała usta. Przełykała nerwowo ślinę.

Patrzyłam w jej kryształowo jasne oczy barwy Żółtej Rzeki poprzecinanej lśniącymi, ostrymi promieniami zachodzącego słońca.

— Powiedzieć ci prawdę?

— Chcę znać prawdę i tylko prawdę — rzekłam stanowczo.

— Bardzo tego żałuję i zwykle przeproszenie nic tu nie da. Mogę jedynie powiedzieć... że stało się. To jeden z tych moich problemów. Łagodnie mówiąc, postąpiłam nieetycznie. Cóż mogę dodać...? Wiem, że zadałam ci ból...

Słuchałam, przełykałam powoli jej słowa, stwierdzając w duchu, że tak bardzo mnie nie ranią. Choć wciąż czułam ostrze niewidzialnego noża.

— Jesteś cudzoziemską dziwką. Bawiłaś się nim. Myślisz tylko o własnej przyjemności, o niczym więcej. Egoistyczne zwierzę.

— Czego ode mnie oczekujesz? Wiedz jedno, że cokolwiek się wydarzyło, wydarzyło się między mną a Głową Lwa. Stało się to nie bez powodu. Nie miałam wyrzutów sumienia, bo sądziłam, że go nie kochasz, a może kochasz? Tak czy owak nie czuję się przez to mniej winna.

— Nieważne, czy go kocham, czy nie. — Z trudem dobierałam słowa. — Chodzi o to, że zadałaś mi ból, zdradziłaś mnie.

— Nie skazuj mnie na większe męki, i tak mam dość utrapienia. Prawda wygląda tak, że byliśmy sobą zauroczeni, tak jak ty i on...

— Nie! — krzyknęłam. — Głowa Lwa cię nienawidzi.

— Skąd wiesz? — zapytała prawie z uśmiechem.

— Powiedział mi. Ubiegłej nocy. Powiedział, że jesteś fałszywą Amerykanką.

Westchnęła.

— Czyny są ważniejsze od słów. Chcesz, żebym ci udowodniła, że jest kłamcą? Mamy dziś wieczór randkę. Możesz tam przyjść, jeśli ci zależy.

Pod warunkiem oczywiście, że zachowasz się rozsądnie.

Patrzyłam na nią szeroko otwartymi oczyma.

— Jeśli postanowisz więcej ze mną nie rozmawiać, to nic na to nie poradzę — rzekła, krzyżując ramiona na piersi.

— Nie poznaję cię, miss Ameryka.

— Dość tych głupot. Dziś wieczór o wpół do dziesiątej w Parku Czerwonej Peonii, w opuszczonej świątyni, za drzewem oliwnym.

Przekonasz się, co to za ziółko ten twój przyjaciel.

Bolała mnie głowa. Po wyjściu od Katherine wędrowałam ulicami, tonęłam w morzu ludzi. Chodziłam bez celu. Co bym zobaczyła dziś wieczór? Chyba już nic nie mogłoby mną wstrząsnąć. Wyobrażałam sobie dwa wtulone w siebie ciała. Czy Głowa Lwa zabierze ją do domu?

Jak w jego mrocznym pokoju wygląda jej skóra? Co on czuje, dotykając ponownie jej piersi, wodząc dłonią po wypukłościach jej talii, wdychając obcy zapach i słuchając, jak jęczy z rozkoszy? Pomyślałam o jego namiętności i o tym, że mnie zdradził. Dręczyła mnie zazdrość.

Wsiadłam do podmiejskiego autobusu z kilkunastoma zaledwie pasażerami i zapadłam w drzemkę; dopiero na końcowym przystanku konduktor mnie obudził. Wsiadłam. Księżyc ścigał się z wiatrem, przeciskał się przez zwały czarnych chmur. Gdzieś w oddali rozległy się grzmoty. Zupełnie jak sceneria starożytnego widowiska.

Znajdowałam się w Ogrodzie Zha-hua, słynnym z rosnących tam dzikich górskich róż. Ogromna masa tych róż. W ciągu dnia pączki rozwijały się i kwiaty wyglądały jak kule ogniste, więdnąc, łamały się, padały na ziemię i niemal natychmiast obracały się w proch i pył. Szczęście, a zarazem smutek. Piękno kwiatów podniosło mnie na duchu, lecz nie mogłam uniknąć widoku więdnącego *zhahua*. Uderzyło mnie piękno, zaparło dech w piersi. A potem, gdy płatki kwiatów spadały na ziemię jak płatki śniegu, ogarnęła mnie rozpacz. Czułam, że postąpiłam słusznie, a jednocześnie nękała mnie świadomość, że jestem przez wszystkich opuszczona. Katherine, Głowa Lwa. Poznawałam siebie tylko poprzez nich.

Przeszłam obok sklepu Przyjaźni Międzynarodowej, mieszczącego się w tymże ogrodzie. Gdy weszłam do środka, ekspedientka za ladą zawołała:

— Właśnie zamykam!

Z sufitu zwisał proporzec z napisem: „Proletariusze, łączcie się!” i „Niech żyje przyjaźń między rewolucjonistami świata!”. W gablotach wisiały imitacje starożytnych szat ośmieszające chińskich kochanków oraz maski Opery Pekińskiej — też przedmiot drwiny. Zauważyłam pod ladą coś błyszczącego. Pochyliłam się i zobaczyłam różne kolczyki — w kształcie kamyka, muszelki, ze szkiełkiem oszlifowanym jak brylant. Nie miałam przekłutych uszu. Nowoczesne chińskie kobiety nie robiły już nic dla podkreślenia urody, dla zwrócenia na siebie uwagi mężczyzn.

Stopy mojej babci były jak ryżowe ciasteczka — pamiętam to doskonale.

Zasypiałam, trzymając ją za stopy. Jej zdeformowane, pokrzywione palce przerażały mnie, miałam koszmary senne. Oświadczone jej, jak była mała, że jeśli nie będzie krępować

stóp, nikt się z nią nie ożeni. Zapytałam ją raz, czy to ją bardzo bolało. Codziennie, odparła, czułam się jak zwierzę przeznaczone na rzeź. Ostry ból męczył ją bardzo długo — od trzeciego roku życia do szesnastego. Nie minął nawet wtedy, gdy przestała już rosnać. Wdała się infekcja. Grzybica stóp. Śmierdziały jak zepsuta owsianka. Większość czasu musiała spędzać w łóżku. W jej pokoju pełno było zwiniętych kawałków płótna. A kiedy miała lat siedemnaście, mężczyźni orzekli, że jest piękna. Sposób, w jaki chodziła — *ruobu-jin-feng*, raka słaba, że nie mogła się utrzymać na wietrze — czynił z niej piękność doskonałą. W tymże roku wyszła za mąż. Jej rodzice byli bardzo dumni.

Ale ból w jej sercu nigdy nie minął. Pokazała mi prawą stopę. Palce podwinęte były na kształt piłeczki. Nie mogła chodzić za daleko. Jeśli za długo była na nogach, stopy bolały ją i puchły. Wciąż pamiętała łzy swojej matki, gdy ta codziennie krępowała jej małe stopy. Masowałam jej często kostki u nóg. Starła się nie okazywać bólu, ale wiedziałam, jak bardzo cierpi.

Patrząc na kolczyki, myślałam o Katherine. O kobiecie, która nie ma pojęcia, co to są „stopy lotosu”. Nie pamiętam, czy miała przekłute uszy.

Nieważne. Chciałam jej kupić takie o zieleni oceanu. Pogodziłam się z tym, że żywię do niej zarówno miłość, jak i nienawiść. I pragnęłam zobaczyć, jak nosi moje kolczyki. Dobrze by było, gdybym wręczyła je jutro, dałabym jej tym do zrozumienia, że właśnie w tamtym momencie tęskniłam do niej.

Poprosiłam ekspedientkę, żeby wyłożyła kolczyki na kontuar. Wybrałam małe subtelne buciki z jadeitu. Poprosiłam o zapakowanie.

W świetle księżyca, pod stuletnim drzewem siedzieli obok siebie Katherine i Głowa Lwa. Inni kochankowie wędrowali wokół niczym duchy, szepcząc sobie do ucha słowa pełne żaru. Objęci. Głowa przy głowie — jak przylepione do siebie. Zapach kwiatów unosił się w powietrzu.

Katherine i Głowa Lwa. O czym rozmawiają? Dopiero teraz poraziła mnie myśl, że przecież oni oboje są moimi kochankami. Przestałam logicznie rozumować. Zamęt w głowie. Zew instynktu. Boże w niebiosach, otul mnie swoim czarnym aksamitnym płaszczem.

Katherine i Głowa Lwa rozmawiali. Żadnej gestykulacji. Nie słyszałam ich. Tym lepiej. Liście szumiały nad nimi. Zaczęło padać. Typowa szanghajska mżawka. Orzeźwiająca.

Wstali, podali sobie ręce. On miał włosy gładko uczesane. Coś wykrzyknął, oparł się o pień, mówił głośno, wymachiwał rękami, ramieniem przeciął powietrze i ze złością uderzył pięścią w drzewo. Stał chwilę tyłem do Katherine i nagle odszedł.

Katherine nie ruszyła się. Patrzyła za nim, jak znika we mgle. Odwróciła się, spojrzała w moim kierunku. Nie mogłam zobaczyć jej oczu, ale byłam pewna, że mnie szuka. Nie ujawniłam się. Poszłam do domu.

W ciemnym, wiodącym do biblioteki korytarzu, wręczyłam jej prezent.

Staralam się nie nadawać temu specjalnego znaczenia.

— O, Katherine — powiedziałam. — Jak ci się wiedzie? A przy okazji mam tu coś dla ciebie.

Nie zatrzymała się.

— Dziękuję. Co jest w tym pudełku? — rzuciła z uśmiechem.

Potrząsnęła pudełkiem i minęła mnie, nie zwalniając kroku.

Oblepiłam starannie pudełko pięknymi suchymi liśćmi. Nic już dla niej nie znaczyłam. A tak pragnęłam jej powiedzieć, że w tym pudełku są przepiękne kolczyki; że Chinki nie noszą kolczyków; że chcę, byśmy się nadal przyjaźniły; że te kolczyki kosztowały mnie całą miesięczną pensję, ale oczywiście nie chodzi o pieniądze; chcę jej powiedzieć, że...

Patrzyłam, jak się oddala, i poczułam się odrażona. Z jakiej racji miała ci poświęcać uwagę, jak mawiał mój ojciec do głupców o mózgu z plasteliny.

Stuk obcasów Katherine. Obejrzałam się — zmierzała w moją stronę.

Wahałam się, czy nie uciec. Bałam się, że może zrobić coś, co wytrąci mnie z równowagi. Jednak ciekawość przeważyła. Zwolniłam kroku, żeby mogła mnie dogonić, i po chwili poczułam na ramieniu jej dłoń.

— Nie powinnaś była tego robić — powiedziała ciepło.

— Miałam taką fantazję.

W głowie mi się zakręciło, jakbym chodziła po chmurach.

— Dlaczego? — Wciąż ten sam ciepły głos.

Słowa uwięzły mi w gardle. Przemogłam się, wzięłam głęboki oddech i wykrztusiłam parę sylab. Zupełnie jakby pałeczki do jedzenia rozwierały mi usta. Wreszcie wyrzuciłam z siebie zdanie. Usłyszałam własny głos:

— Bo jesteśmy przyjaciółkami.

— Dziękuję. To ładnie z twojej strony. Zamknęłam oczy.

Odeszła, kołysząc biodrami. Nigdy nie widziałam w jej uszach tych kolczyków.

Moje ciotki przyszły do nas z wizytą. Ciotka Złoty Księżyc i ciotka Srebrny Księżyc rozmawiały po cichu z matką, pokazując jej jakieś fotografie. Gdy weszłam do pokoju, obrzuciły mnie wzrokiem od stóp do głów, po czym wymieniły ze sobą porozumiewawczy uśmiech; były wyraźnie podekscytowane. Nie zwracałam na nie uwagi. Wiedziałam, że matka



martwi się z powodu mojego wieku, a także malejącą ceną mojej osoby na rynku małżeńskim.

Nie przyjmowałam do wiadomości faktu, że jako kobieta z każdym dniem tracę na wartości. Byłabym nieszczera mówiąc, że marzę o samotnym życiu do końca moich dni. Nie miałam już właściwie czasu na udawanie.

Prawda mnie dopadła. Kiedy skończyłam trzydziestkę, sąsiedzi patrzyli na mnie z litością. Swatki nie ustawały w próbach wynalezienia mi męża, lecz ci, co się trafiali, byli starzy i brzydcy.

Matka dała za wygraną. Z początku odmawiała, ale później zaczęła przeglądać przyniesione przez ciotki fotografie. Szukała wśród nich przyszłego zięcia. Od czasu do czasu spoglądała na mnie z lękiem, wyraźnie zdenerwowana.

Byłam posłuszną córką. Bałam się, że stracę „ostatnią szansę”, jak ostrzegali mnie ciotki. — Przynajmniej umów się z tym panem, a nuż wydarzy się cud — mówiły.

Jadąc na spotkanie autobusem, przyglądałam się uważnie fotografii mężczyzny. Miał trzydzieści kilka lat. Twarz przeciętna. Okrągła. Może się podobać. Wykładał mechanikę w szanghajskiej politechnice.

Pochodził z północy, więc był chyba potężny i wysoki. Matka powiedziała widocznie ciotkom, że z mężczyzną niższym ode mnie nie będzie chciała rozmawiać.

Wsunęłam fotografię do kieszeni i od razu zapomniałam, jak wygląda.

Wyjęłam zdjęcie. Przypatrywałam mu się uważnie. Znowu do kieszeni. I tak kilka razy. Po prostu nie mogłam zapamiętać twarzy tego człowieka.

Powiedziałam sobie: niech się dzieje, co chce; jeśli się nie rozpoznamy, sprawa upada.

Rozpoznał mnie, a ja własnym oczom nie mogłam uwierzyć. Zaszokował mnie sposób, w jaki się poruszał. Chodził jak lew morski, jak gdyby ciągnął za sobą ciężki ogon. Holował ten swój tyłek, kołysał nim. Był wprawdzie wysoki, ale miał krótkie nogi. Przewieszona przez ramię czarna plastikowa torba sprawiała, że przechylał się na prawą stronę.

— Dzień dobry — powiedział. — Jadłeś już coś? Odparłam, że nie.

Zaprowadził mnie do uczelnianej stołówki i kupił zestaw obiadowy — zapiekanka ryżowa z fasolą. Nie lubię zapiekanki ryżowej z fasolą. Sobie też kupił. Ale na jego zestaw składał się kurczak z ryżem. Słowem się do mnie nie odezwał. I nie patrzył na mnie. Żarł jak świnia, mlaskając na cały głos. Po obiedzie wytarł rękawem swą usmarowaną tłuszczem gębę. A potem siedział i czekał, aż ja skończę.

Jedzenie z trudem przechodziło mi przez gardło. Byłam gorzko rozczarowana. Z pełnymi ustami wstałam i wrzuciłam do pojemnika na odpadki, znajdującego się przy drzwiach, karton z tym moim daniem.

Gdy wróciłam do stolika, zapytał:

— Spotkamy się jeszcze?

Opowieścią o przebiegu randki rzuciłam całą moją rodzinę na kolana.

Brat był szczerze ubawiony. Ojciec potrząsał głową i co rusz spoglądał na matkę. Matka była smutna, ale i ona nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Zapytała w końcu, co mam mu do zarzucenia.

— Nic. Tylko kiedy o nim pomyślę, konam ze śmiechu.

— To dobry omen — odparła. — Będziecie się wzajemnie rozśmieszać.

— Mamo — jęknął mój brat. — Czy ty nie rozumiesz? Ona uważa go za kompletnego prostaka.

Po miesiącu poszłam na kolejną randkę. On był synem koleżanki ze szpitala mojej ciotki. Z dobrej rodziny. Cieszą się powszechnym szacunkiem, powiedziała ciotka; kształcili się za granicą. Jest ode mnie o rok starszy. Aktor zajmujący się dubbingiem, ma ładny głos. Dubbinguje aktorów filmowych, którzy nie mają dobrego głosu albo kiepsko się wyślawiają. Znany w swoim środowisku.

Bezzębna pani wymieniła moje imię, dzwoniąc z budki telefonicznej w dole ulicy. Teraz każdy sąsiad będzie wiedział, że otrzymałam wiadomość telefoniczną od młodego człowieka o imieniu Wu. Idąc w kapciach do budki, by odpowiedzieć na ów telefon, widziałam w każdym oknie głowy ciekawskich sąsiadów. Szłam powoli, że niby wielkie mi co, wcale mi na tym nie zależy. Matka nie powiedziała słowa, kiedy wydałam trzy centy na telefon do bezzębnej pani. Obserwowała mnie z malującą się w oczach powagą. Znowu wścibiała nos w nie swoje sprawy.

— Halo? — Usłyszałam głos podobny do dźwięku bandžo. Głos Pana Doskonałego. — Sobota? — zapytałam. — Dobrze... Spacer po kolacji?

Oczywiście. Godzina siódma? Oczywiście.

Pojawił się punktualnie o siódmej. Schludnie ubrany. Twarz kwadratowa. Skórzana marynarka, ładne spodnie. Wyciągnął do mnie rękę. Koleżeński uścisk dłoni.

— Chodźmy — powiedział.

Nieustanny dźwięk bandžo. Wzdłuż dziesięciu

przecznic. Słuchałam go uważnie, usiłując przewyciężyć uczucie nudy. Mimo że służył kiedyś w wojsku, życie dobrze mu się układało. Miał szczęście. Tylu krewnych chciało go wyswatać.

— Nic z tego nie wyszło, ale tak czy owak trzeba się kiedyś ożenić — powiedział.

Teraz więc zamierza spróbować. Szuka wygodnych butów. Nie ma pośpiechu.

— Mężczyzna po trzydziestce jest w najlepszej formie, czego o kobietach powiedzieć nie można — oświadczył.

— Faktycznie — rzekłam, jakby to nie miało ze mną nic wspólnego.

Zastanawiałam się, czy w Ameryce jest to również taki miażdżący partnerkę argument. Czy Katherine zetknęła się w życiu z czymś takim.

Moje stopy błagały o powrót do domu. Wu ofiarował mi kawałek czekolady. Kosztowało go to pół dniówki. Musiałam więc być grzeczna.

Powlokłam się jeszcze spory kawałek, po czym rzekłam:

— Robi się późno, rodzice czekają na mnie.

— Bardzo mi było przyjemnie. Kiedy chciałabyś się ze mną spotkać?

Pomyślałam chwilę i powiedziałam, że nie wiem.

— Może pojutrze?

Odparłam, że pojutrze nie będę miała czasu. — A od dziś za tydzień?

— Nie wiem.

— A za dwa tygodnie? — Twarz mu się wydłużyła.

— Za dwa miesiące — oświadczyłam.

Matka, czekając na mnie, wyglądała przez okno. Czułam się fatalnie.

Sekretarz partyjny, pan Han, chciał ze mną porozmawiać, więc pospieszyłam niezwłocznie do jego biura. Wypłuł listki herbaty, które żuł, i powiedział:

— Mianuję cię przewodniczącą Związku Robotników. Cieszysz się zaufaniem naszej partii i naszego narodu.

Zbita nieco z tropu zapytałam, jakiej pracy wymaga się ode mnie.

— Będziesz pomocnicą partii. Będziesz drugą parą moich oczu. Będziesz czuwać nad tym, by nikt nie złamał zasad partii. W każdy poniedziałek będziesz mi dostarczać dwudziestostronicowy raport.

Przywódcy partyjni kontrolowali życie każdego Chińczyka, ich słowa były niepisany prawem. Dziś człowiek może być uznany za „bohatera ludu”, a jutro, ponieważ łaska pańska na pstrym koniu jeździ, wtrąca cię do więzienia jako „wroga ludu”. By móc skutecznie kontrolować masy, wymyślono „oczy partii”. Łańcuch funkcjonariuszy jest długi — od

strażników ludowej milicji bezpieczeństwa do „trójnogich detektywów” — sąsiedzi obserwują emerytów, zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Od czasu proklamowania Chińskiej Republiki Ludowej w 1949 roku owa sieć przeobraziła się we wszechmocny system informacji oraz przemocy.

Ostatnie instrukcje przewodniczącego Mao lub hasła wzywające do czynu winny tego samego dnia dotrzeć drogą przekazu ustnego do każdego domu, każdej rodziny. Dzięki „oczom partii”, czyli sąsiadom, każda działalność kontrrewolucyjna będzie zlikwidowana, a osoba, która złamała prawo — zgładzona.

Stanowisko przewodniczącego Związku Robotników było jedną z tych stworzonych sztucznie funkcji. Nie był to awans, nic się nie zmieniło w mojej pracy w fabryce, zachowałam także status „wypożyczonego robotnika”. Obarczając mnie obowiązkiem organizowania cotygodniowego „przeczesywania myśli”, pisania raportów, zbierania składek członkowskich (każdy robotnik był automatycznie członkiem związku), zmuszania robotników do prenumeraty pisma partyjnego „Czerwony Sztandar”, pan Han przejął nadę mną kontrolę.

Wyznaczenie mnie do tej funkcji nastąpiło tuż po powtórnej próbie samobójczej Jasmine. Pan Han odkrył, że jego córka zbiera potajemnie truciznę na szczury i że pisze do Głowy Lwa obsesyjnie miłosne listy.

Ojciec robił wszystko, by Jasmine nie doznała znikąd krzywdy — więc likwidował wszystkie możliwe źródła jej cierpienia.

Nie powiedziałam nikomu o decyzji pana Hana. Na pewno sobie uświadamiam, że ktoś taki jak ja nie będzie „jego oczami”. Biorąc pod uwagę moją osobę, posłużył się ulubioną przez dostojników partyjnych metodą *ranyinjian-szi* — *kija* i marchewki. Pan Han dał mi tym samym do zrozumienia, że jestem pod jego opiekuńczym skrzydłem.

Katherine w dalszym ciągu zbierała materiały do książki o życiu chińskich kobiet. Widziałam, jak przeprowadzała wywiady w akademiku czy na ulicach. Przesiadywała w bibliotece, a każdego ranka biegała.

Imponujące zdyscyplinowanie. Gimnastykowała się na trawniku, robiła koziółki. Młodość i energia, w jej wieku, wprawiała Chinki w zdumienie.

Znowu poprosiła mnie o wywiad. Żebym opowiedziała o swojej nowej funkcji, jak się czuję jako przewodnicząca Związku Robotników.

Odparłam, że nie mam jej nic do powiedzenia.

— Czyżby? Czy nie pracujesz dla ludu?

Odparłam, że i tak, i nie. Wyjaśniłam jej, że w gruncie rzeczy jest to nieszkodliwe zajęcie.

Poprosiła o konkrety. Znaczący to, powiedziałam, że nikomu nie szkodzę.

Przypierała mnie do muru — chciała koniecznie wiedzieć, do czego mnie zmusili. Ja na to, że nie wszystko da się zrozumieć. Właśnie o to chodzi, żeby pewne rzeczy w Chinach nie były zrozumiałe.

— Jestem Amerykanką, czego się boisz?

Sławne chińskie powiedzenie, rzekłam, brzmi tak: *Da--zhi-ruo-yu*, co oznacza: „Ludzie mądrzy, by się chronić, udają głupców”. Ona w odpowiedzi, że chyba nie wygląda na głupią, a dokłada wszelkich starań, by móc się chlubić mądrością. Ze nie znosi uczucia zakłopotania.

Przytoczyłam jej jeszcze jedno chińskie powiedzenie: „Kula dosięgnie pierwszego ptaka, który wychyli główkę z gniazdka”.

Powiedziała, że zaczyna rozumieć Chiny. To olbrzymia zardzewiała maszyna o licznych zdezelowanych śrubach.

— Słusznie — rzekłam. — I ja jestem jedną z takich śrub. Uznała, że taka postawa jest szkodliwa.

— Chiny zginą, jeśli ludziom przestanie na wszystkim zależeć.

— Chiny już nie żyją — poprawiłam ją. Westchnęła.

— Jestem głęboko przekonana, że nie wierzysz w to, co mówisz.

— Wierzę.

Popatrzyła w milczeniu. I w końcu odezwała się:

— Jedno jest pewne. Nie postrzegam Chin tak jak ty. Chiny są częścią świata. Żyjemy na tej samej planecie.

Wszyscy razem. Ty, ja, każde z nas.

Siedziała na stopniach przed budynkiem, z głową pochyloną, mrużyła oczy, bo słońce padało prosto na nią. Bez makijażu jej skóra była bardzo blada. Uśmiechała się. Nie cierpiałam tej jej pogody ducha. Studenci przechodzili obok nas. Szybko, ze spuszczonej głowami. Żałośni.

Twarze wykrzywione wiecznym lękiem. Na pewno wyglądałam jeszcze gorzej.

Niebo przybierało już barwę purpury. Chmury przypominały rybią łuskę.

— Jutro zapowiada się piękny dzień — powiedziała radośnie.

Spojrzałam na nią; nie mogłam zebrać myśli.

Jakiś siedzący pod pobliskim drzewem student przegrywał taśmę. Nucił w takt piosenki:

*Pytam przepływającą nade mną chmurę, dokąd się spieszysz?*

*Chciałabym być wiatrem, ścigać ciebie, pędzić tam, gdzie ty się udajesz.*

Mój nowy szef w fabryce dał mi do podpisania pismo. Powiedział, że albo zrezygnuję ze szkoły, albo zostanę wpisana na fabryczną „listę nieprzystosowanych”, co oznacza, że w każdej chwili mogą mnie wyrzucić. Fabryka była w stadium reorganizacji, czego skutkiem ma być przestrzeganie zasady „kto nie pracuje, ten nie je”. Nikt nie ma prawa się obijać, koniec z pracą epoki Mao.

Podpisałam dokument i automatycznie znalazłam się na „liście nieprzystosowanych”. Nie miałam wyboru. Rezygnacja ze szkoły oznaczała utratę jakiejkolwiek szansy na odmianę losu, utratę Katherine.

Zostaję w szkole. Poza tym mój status i tak by się nie zmienił; byłabym wciąż „wypożyczonym robotnikiem”, bez nadziei na *hu-ko*.

Nie sypiałam już z Głową Lwa, co wyszło na dobre naszej przyjaźni.

Pogodziłam się z faktem, że jest taki, jaki jest, że nie jest już moim kochankiem, dzięki czemu łatwiej nam było ze sobą przebywać.

Chodziłam z nim na wycieczki z aparatem fotograficznym — wiele się dowiedziałam o sztuce robienia zdjęć. Jego egoizm współgrał z inteligencją. Spędzałam z nim sporo czasu, oczywiście w tajemnicy przed Jasmine. Spotykał się z nią, by się wyżyć seksualnie. Lubił mi opowiadać, jak uprawia z nią seks. Chętnie go słuchałam, bo ciekawił mnie jego wprost niewiarygodny egoizm, próżność, trywialność. Dziękowałam czasem Bogu, że dał mi siłę skończyć z tym romanssem. Głowa Lwa mówił, że Jasmine jest świetna w łóżku i jeśli idzie o jej osobę, na niczym mu więcej nie zależy. Zapytał mnie, czy znam pewien zachodni magazyn „Playboy”. Odparłam, że nie, i wtedy poradził, bym zapytała o to pismo Katherine.

Widywałam się z Jasmine w szkole i poza szkołą. Promieniała szczęściem, ale zarazem nie ukrywała podejrzliwości. Ubierała się teraz znacznie lepiej, dzięki Głowie Lwa. Nie stroiła się jak lalka. Miała sukienki w lepszym stylu, dopasowane kolorem do ubioru Głowy Lwa.

Choć w dalszym ciągu nie traktował jej z szacunkiem, to gdy szli razem, nie odtrącał już jej ramienia. A ona nie mogła wprost uwierzyć, że jej nie zdradza, i z każdym dniem była o niego coraz bardziej, wręcz obsesyjnie zazdrosna. Opowiadała z błyskiem w oku o jego niesamowitej, dzikiej namiętności.

— Ubóstwia, kiedy go błagam, żeby mnie wziął — zwierzała się przyjaciółkom. — Więc błagam go o to. Wówczas zmusza mnie, żebym się biła własnym butem.

Potrzebne mu było jej ciało. Nie chciał się do niczego zobowiązywać, ale był zbyt wielkim egoistą, by od niej odejść. Sądził, że jeśli pozostawi rzeczy własnemu biegowi, to

może kiedyś w przyszłości stać go będzie na zerwanie. Lecz pan Han nie był w ciemną bitą. Chciał związek przypieczętować małżeństwem, w przeciwnym razie koniec z wolną miłością. Naciskał Głowę Lwa, żeby się wreszcie zadeklarował. A ten zdawał sobie sprawę, że niewiele zostało mu czasu: albo będzie musiał oddać się w niewolę, albo pan Han skutecznie utrudni mu życie.

Nienawidził go za to, że chce jego, Głowę Lwa, zmusić, by stał się sługą Jasmine, by sprzedał się jak męska dziwka, ale nie miał żadnej szansy na zemstę. Głowa Lwa był karaluchem na blacie kuchni pana Hana. Zdepcze go na miazgę, gdyby okazał się nieposłuszny.

Katherine zyskała popularność. Zawarła przyjaźń z niektórymi studentkami i rolnikami z wioski. Jej notatnik z dnia na dzień stawał się grubszy. Władze szkolne wyrażały na piśmie pogląd, że jest najbardziej lubianą cudzoziemską wykładowczynią. Odwiedzałam ją od czasu do czasu, po pracy lub po zajęciach. Z wielkim trudem, lecz w końcu udało mi się doprowadzić do tego, że zaakceptowała mój negatywny stosunek do własnego narodu i kraju. Machała ze zniecierpliwieniem ręką, gdy prosiłam ją, by nie ufała zbyt swoimi nowymi przyjaciółmi. Uważała, że jestem zazdrosna, ponieważ nie poświęca mi tyle czasu, ile bym sobie życzyła. Przestałam więc ostrzegać ją przed Chinami. Możliwe, że w pewnym sensie miała rację; dlaczego mam się martwić, czy dostanie kopniaka, czy nie.

To prawda, byłam trochę zazdrosna o to, że tyle czasu spędza z innymi, na przykład z Małym Ptaszkiem. Mały Ptaszek była prostą dziewczyną, o której w żadnym razie nie można powiedzieć, że to interesująca osobowość. Lecz wyglądało na to, że Katherine wszystkich obdarza sympatią. Do mnie przychodziła tylko wtedy, kiedy miała jakieś pytania dotyczące procesu adopcji. Ostatnio prosiła mnie o dwa listy polecające od tutejszych chińskich studentów. Wraz z

Głową Lwa pisaliśmy te listy cały dzień.

W ostatnim tygodniu czerwca, przed rocznicą powstania partii, władze szkolne rozpoczęły przygotowania do uroczystego uczczenia tego znamienego faktu. Głowa Lwa przedstawił mi swoje propozycje, sprzeczne z sugestiami pana Hana. Oświadczyłam, że Związek Robotników, Związek Studentów oraz redaktorzy gazetki szkolnej będą zbierali od obywateli sugestie, jak najlepiej uczcić ten dzień. Wielu spośród nas było zdania, że należy wciągnąć w tę akcję również Katherine. Nie pytając jej nawet o zdanie, działacze studenci wysłali propozycję do pana Hana i Komitetu Partyjnego, aby Katherine, w ramach uroczystości, zapoznała nas z muzyką amerykańską. Włączenie Katherine do rocznicowych obchodów byłoby odpowiedzią na apel Komitetu Centralnego o zacieśnieniu związków między

Wschodem a Zachodem. Chcąc wyprzedzić Amerykę, musimy najpierw ją poznać. Zbieraliśmy z Głową Lwa wycinki z gazet na temat „polityki otwartych drzwi”, a następnie wysłaliśmy cały plik do biura pana Hana; wykazaliśmy w ten sposób, że udział Katherine w uroczystościach miałby ogromne znaczenie polityczne.

Po paru dniach pan Han przekonał się do tego projektu i wyraził nań zgodę.

Działacze studenckcy przyszli po lekcji do Katherine. Prosiliśmy ją, by przygotowała program muzyczny. Odparła, że nie może, jest za bardzo nerwowa. Nie dawaliśmy za wygraną. Mówiliśmy, że tak pięknie tańczy, i chcielibyśmy się od niej więcej nauczyć. Poprzez muzykę oświeca nas i kształci, objawia nam piękno świata. Stała w pąsach. Namawialiśmy ją tak długo, że wreszcie powiedziała: „No dobrze. Zastanowię się”.

Poprosiła o parę minut na przemyślenie całej sprawy. Zamknęła się w klasie i słyszeliśmy, jak chodzi tam i z powrotem. Otworzyła wreszcie drzwi i zapytała, czy naszym zdaniem ta uroczystość będzie miała charakter zabawy. Krzyknęliśmy jednym głosem: „Tak!”

— I wtedy się zgodziła.

— Zostań — powiedziała do mnie, podczas gdy inni wychodzili już z klasy. — Trzy godziny przed rozpoczęciem gali przyjdź do mojej chaty, dobrze?

Skinęłam głową i zapytałam po co.

— Umalujesz mnie.

— Mam dobre farby — wtrącił Głowa Lwa.

— On nie będzie nam potrzebny, prawda? — rzekła z półuśmiechem.

— Jak sobie życzysz. — Wyglądał jak zbity pies. Wyszedł bez słowa.

— On cię kocha — powiedziałam.

Uniosła ręce do twarzy, otwierając szeroko oczy.

— Jakże to miłe — rzekła. — Jedzenie z miski i zerkanie na patelnię. W końcu nie życzę mu nic złego,

— A tak na marginesie, co to za magazyn o nazwie „Playboy”?

— Dlaczego pytasz? — W jej głosie dało się wyczuć zaniepokojenie.

— Głowa Lwa kazał mi zapytać cię o to. Po prostu jestem ciekawa.

— Jeśli chcesz, mogę ci pożyczyć jeden numer z naszego ośrodka.

— Nieważne — powiedziałam.

— Wrrr — warknęła, naśladując psa, i potrząsnęła głową.

— O co ci chodzi? — Spojrzałam na nią z zaciekawieniem.

— Faceci są niesamowici.

— Nie musisz mnie o tym przekonywać — rzekłam.



Pierwszego lipca była piękna pogoda. Kwiaty drzewa *fu-yong* kiwały się na wietrze, wyglądały jak różowe języki. Trzy godziny przed rozpoczęciem uroczystości byłam już w chacie Katherine. Czekala na mnie. Uczucie szczęścia wręcz mnie dławilo. Zaprowadzila mnie do sypialni. Otworzyłam torbę i ułożyłam na toalecie farby i pędzle.

Powiedziała, że zamierza włożyć czarną koronkową bieliznę, chce mieć na piersi namalowaną białą peonię, wielką czerwoną peonię z tyłu, liście i kwiaty stokrotek na ramionach. Włoży na to tradycyjny chiński strój, ale jej kształty i malowidła i tak będą widoczne.

Powiedziała, że chce wyglądać „zabójczo”.

Leżała spokojnie na brzuchu na bambusowej macie. Moje piórko miało czarodziejską moc. Na jej ciele powstawał rysunek peonii. Nadawałam jej kształt. Jeden płatek, dwa płatki, łodyżki, pręciki. Czułam się jak pszczoła spijająca nektar z kwiatu. Lekkie, jedno za drugim pociągnięcie pędzelkiem, cierpliwie, powoli. Dotykałam pędzelkiem jej skóry koloru kości słoniowej. Minęła jedna godzina, druga, czas jakby nie istniał.

Słyszałam bicie jej serca.

Słońce było w zenicie; zasłony zaciągnięte. Wstałam, żeby je trochę rozsunać, niech promień słońca padnie na jej nagie ciało. Trwała w bezruchu. Oczy miała zamknięte, wydawało się, że śpi. Przypudrowałam jej plecy, żeby się przekonać, czy malowidło trzyma się skóry.

Przewróciłam ją na wznak. Rozłożyłam ramiona. Jej ciało było mi powolne.

Nalałam sobie chryzantemowej herbaty i znowu wzięłam się do pracy.

Byłam jak w transie. Cieniowałam płatki peonii. Pędzel poruszał się coraz szybciej, ręce miałam spocone, cała byłam spięta. Jej wargi zaróżowiły się. Musiałam jej dotykać. Obraz stawał się coraz bardziej niesamowity.

Kwitnące peonię wręcz pałały.

Nie odrywając ode mnie wzroku, skierowała się do lustra.

— Powiedz, czy nie wyglądam głupio? — zapytała. Spojrzała w lustro i z wrażenia aż zaniemówiła. — No, no, no!

Gdy sprzątałam, podeszła do mnie z wyciągniętymi ramionami. Chwyła mnie mocno w objęcia, wtuliła się we mnie i przywarła ustami do mego policzka.

— Bardzo mi się to podoba — szepnęła. — Dziękuję.

Głowa Lwa wszedł do pokoju z aparatem fotograficznym w ręce.

Katherine spojrzała najpierw na niego, potem na mnie, a z twarzy jej można było wyczytać: Kto go tu zaprosił?

— Ja go zaprosiłam — odparłam na jej nieme pytanie. — Bardzo cię przepraszam. Chciałam to utrwalić na zdjęciu.

— Dlaczego? — Wyszła, żeby włożyć coś na siebie. Chwilę się wahałam, po czym wyznałam jej prawdę:

— Każdy mijający dzień z tobą oznacza, że nasza wspólna przyszłość się kurczy. Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale kiedy wrócisz do Ameryki, ta fotografia będzie dla mnie cenną pamiątką. Myśląc o tobie mogę...

— Chryste, wy, Chińczycy, planujecie chyba zawczasu własną śmierć — rzekła. — Dajcie spokój! No dobrze, fotografuj, byle prędej.

Słońce, prześwitujące przez liście, wpadało do pokoju. Głowa Lwa chodził tu i tam w poszukiwaniu odpowiedniego oświetlenia i właściwego miejsca, z którego miałby najlepszy punkt widzenia.

Katherine zdjęła suknię i położyła się naga na bambusowej macie.

Miałam zamęt w głowie. Wiedziałam, że obecność Głowy Lwa mało ją obchodzi, w przeciwieństwie do mnie. Zaprosiłam go tu, gdyż zdawałam sobie sprawę, jak bardzo tego pragnął. Miał obsesję na punkcie ciała Katherine. Namawiałam go do przyjscia, bo chciałam, żeby miał tyle o niej wspomnień, co ja, i kiedy już Katherine wyjedzie, to gdy do niej zatęsknię, będę miała z kim dzielić się wspomnieniami. W ten sposób staniemy się z Głową Lwa prawdziwym małżeństwem, czego Katherine nigdy by nie zrozumiała. Byłam równie egoistyczna jak on; potrzebowaliśmy się wzajemnie, pomagaliśmy sobie zachować w pamięci takie chwile w tym naszym niepojętym życiu.

Leżała jak posąg. Kształt jej ciała, kwiaty wymalowane na jej skórze, jej piękność — wszystko to wprawiło mnie w oszołomienie. Głowa Lwa patrzył na nią w skupieniu, ale oddech miał ciężki. Milczeliśmy. Nie mogliśmy wydobyć z siebie choćby słowa. Poruszaliśmy się powoli, bezszelestnie, niczym duchy. Każda sekunda zapadała głęboko w naszą pamięć. Milczeliśmy, bo nasze dusze chłonęły poezję Boga.

Głowa Lwa gestem kazał mi przykryć Katherine koronkową firanką.

Chciał, bym odsłoniła jej piersi, lecz brodawki nie mogą być widoczne.

Owinęłam ją firanką, ale brodawek nie udało się ukryć.

— Spróbuj taśmą — poradził.

Przymocowałam taśmą firankę, ale po chwili brodawki znowu były widoczne. Katherine chichotała. Robiłam, co mogłam, aby taśmą ujarzmić te jej brodawki. A ona śmiała się coraz głośniej. Powiedziałam Głowie Lwa, że przez trzy sekundy przymocowana taśmą firanka się

utrzyma. Najlepiej będzie, jak przytrzymam firankę, w czasie gdy on ustawi odpowiednio aparat, dobrze przesłone, a wtedy ja szybko się usunę.

Spóźniliśmy się. Wiec już się rozpoczął. Sekretarz partii wygłaszał pełne patosu przemówienie. Tłum złożony z dwóch tysięcy studentów, przedstawiciele władz uczelnianych, rodzin tychże, zebrał się w hali, a wszyscy w maoistowskich szaro-niebieskich ubraniach. Stali, słuchając pana Hana przemawiającego do mikrofonu. Mowa składała się z cytatów z gazet i tygodników partyjnych. Zawsze gdy przemawiał publicznie, posługiwał się odpowiednimi cytatami. Umysł miał tak wypełniony owymi cytatami, że nie było w nim miejsca na własne myśli. Nie ufał myślom, były one bowiem bardzo niebezpieczne. W Chinach istniał tylko jeden sposób myślenia. Pan Han powiedział kiedyś o sobie, że jest

„Językiem Partyjnej Machiny Propagandowej”.

W trakcie tego głośnego przemówienia w kąciach jego ust zbierała się piana. Audytorium znosiło jakoś te wrzaski, bo wszyscy czekali na pojawienie się Katherine. Niecierpliwość rosła. Słychać było gwar rozmów. Pan Han podniósł wyżej galkę mikrofonu. Nikt już nie zwracał na niego uwagi. Nagle zapadła cisza. W wejściu do hali, w moim i Głowy Lwa towarzystwie, pojawiła się Katherine. Pan Han nieodwołalnie stracił słuchaczy.

Katherine przysłoniła swoje umalowane ciało czarnym płaszczem; tylko część malowidła widoczna była w wycięciu kołnierza. Kręcone włosy upięła wysoko. Makijaż podkreślał jej rzeźbione rysy. Na nogach miała zamszowe buty na wysokich obcasach, dlatego wydawała się wyższa i jeszcze szczuplejsza. Weszła z opuszczoną głową; nie chciała odciągać uwagi tłumu od przemówienia sekretarza. Ale i tak oczy wszystkich zwróciły się ku niej. Wraz z Głową Lwa usiłowaliśmy ludzi powstrzymać, lecz oni roili się wokół niczym pszczoły.

A pan Han kontynuował:

— Kroczymy wytrwale naprzód, a nasze osiągnięcia widoczne są na każdym kroku. Kontrolujemy nadbudowę społeczeństwa, ideologię, jaką wyznaje. Nasz naród poświęca się z całą determinacją w imię wielkiej komunistycznej przyszłości. Otwieramy się na świat i przyjmujemy z radością wszelkie jego wysiłki, mające na celu przyłączenie się do nas.

Katherine przesunęła się w rzędzie skupiającym zagranicznych wykładowców ku prawej stronie sceny. My z Głową Lwa zajęliśmy miejsca po stronie lewej, gdzie siedziała cała nasza klasa. Jasmine podeszła do nas — wzięła marynarkę Głowy Lwa.

Pod koniec przemówienia pan Han przerwał. Oczekiwał burzy oklasków.

Ale oklasków nie było. Zupełnie o nim zapomniano. Najpierw zaczerwienił się, potem zsiniał, co zauważywszy, Głowa Lwa zaczął bić brawo. Inni poszli za jego przykładem, nie odrywając przy tym wzroku od Katherine. Oklaski stawały się coraz głośniejsze. Twarz pana

Hana na-pęczniała jak balon. Był poruszony do głębi. Jego pomagier, mężczyzna o szczurzej twarzy, przyniósł mu szklankę wody i coś szepnął.

Mężczyźni wpatrywali się w Katherine z niekłamanym zachwytem. Jasmine stała obok Głowy Lwa. Obserwowała, w jaki sposób on się przygląda tej cudzoziemce. Przygryzła wargi. Zachowywała się tak, jakby Katherine w ogóle tu nie było, ale sprawiała wrażenie, że lada chwila wybuchnie płaczem.

— Skończyłem — powiedział pan Han, czym wielce uradował tłum.

Funkcjonariusz o twarzy szczura podszedł do mikrofonu i oznajmił, że zabawa zaraz się rozpocznie, ale zaszła pewna zmiana w programie.

Zabrakło czasu na występ Amerykanki. Ludzie oniemieli z wrażenia i po sekundzie rozległ się wrzask. Krzyczeli tak przenikliwie i głośno, iż zdawało się, że ów przejmujący ryk przebije sufit. Domagali się, by usunąć z programu tradycyjny taniec lwa. Funkcjonariusz zaniemówił.

Poszedł za kulisy, naradził się z panem Hanem i wrócił do mikrofonu.

Uniósł do góry obie ręce, gestem poddania się, i oznajmił:

— W porządku. Stanie się zadość woli ludu. Występ Amerykanki się odbędzie.

Oklaski, tupanie nogami — niczym potężna letnia nawałnica. Twarz Jasmine zmarszczyła się jak zwiędłe jabłuszko.

Najgłośniejszy bigbit — w życiu takiego nie słyszeliśmy. Rytm obudził nasze uśpione instynkty. Poruszył nasze ciała.

Katherine wyszła na scenę i wprowadziła nas w arkana muzyki pop. Rock and roli, blues, funk i soul.

Na początku słuchaliśmy spokojnie. Byliśmy zbyt oszołomieni, by zareagować. Katherine przegrywała nam piosenki i tłumaczyła je dla tych, którzy nie znali angielskiego. Muzyka i słowa porwały nas. Muzyka przycichła nagle i rozległy się słowa. Wypowiadając uduchowionym głosem chińskie zdania, Katherine mówiła o „zwykłej kobiecie”, o której życiu decydował inny człowiek...

„Niechaj łzy spływają z moich oczu, niech moją zranioną duszę ukoi śpiew”. Wiele ludzi wyciągało ręce ku Katherine. Uśmiechała się. Zeszła ze sceny, by przyłączyć się do nas. Głowa Lwa ujął ją za ramię i zdjął z niej okrycie. Malowidła na jej ciele prześwitywały przez cienką bluzkę. Ludzie otoczyli ją kołem, a ona zaczęła tańczyć w rytm bitowej piosenki. Kobięcy śpiew obudził w nas chęć wyrażania krzykiem naszych emocji.

Śpiewałam na cały głos. Nie mogłam nadążyć za słowami, ale mało mnie to obchodziło. Inni również śpiewali, byli w ekstazie, nawet Jasmine.

Śpiew kobiety, elektryzujące ruchy Katherine — owe dźwięki i obrazy dały impuls staroświeckim zardzewiałym umysłom Chińczyków, stworzyły w ich mózgach nowe komórki.

Katherine wyłączyła magnetofon i zawołała:

— Uwaga! Oto Mick Jagger i Rolling Stones!

Ciało peonii poruszało się z wolna. Spojrzałam i przepadłam. Serce waliło jak młotem; dałam się ponieść rytmowi. Ludzie wokół mnie robili to samo, dając upust pragnieniom ciała; ruchy mieli nerwowe, oczy pełne zachwytu.

Oczy Głowy Lwa przywarły do tego cudzoziemskiego ciała niczym muchy do lepu w sklepie mięsnym. Zaczął krzyczeć. Jasmine wzięła go pod rękę, robiła wszystko, by nie patrzył w tamtą stronę, lecz on już nad sobą nie panował. Oczy miał półprzytomne, jakby był kompletnie pijany.

Pociągnęła go za rękaw.

Duży Li, Mały Li i Mały Ptaszek bili brawo i walili się po udach.

Próbowali naśladować Katherine, ale tańczyli sztywno, jak marionetki.

Jim zupełnie stracił głowę. Rzucił się na podłogę, młócąc kończynami o deski. Histeria. Jego nowo poślubiona żona, potężna kobieta, wyraźnie zakłopotana, podeszła do leżącego i chciała go podnieść, tymczasem to on pociągnął ją za sobą, przewrócił na podłogę. Mocowali się i w efekcie Jim usiadł na niej okrakiem.

Tłum podrygiwał - w górę i w dół; nasze umysły szalały na równi z ciałem. Narastała we mnie gorączka. Czułam się tak jakby ktoś rzucił mnie na okręt. Zbliżał się przypływ, woda sięgała coraz wyżej i wyżej, fale chciały mnie porwać z mego rodzinnego kraju. Podniesiono żagle.

Katherine twój ożywczy duch obudził mnie. Pieściłaś moją twarz pięknymi kasztanowymi włosami, a potem zgubiłaś mnie w tym nie kończącym się ciągu nocy i dni. Czułam się wyzwolona!

Przekształcaliśmy się z chwili na chwilę. Nadzieje sięgały szczytu. Zwoje naszej przyszłości ułożyły się w naszych sercach a te pięły się ku niebu.

Rozstawaliśmy się z przeszłością, machaliśmy jej ręką na pożegnanie.

Świt nowej ery, z chmurką w kształcie konia u jej stóp.

Na zewnątrz hali grała chińska rytmiczna, wspomagana bębnami muzyka tong-gu. Przecisnęliśmy się w stronę drzwi. Na aksamitnym purpurowym niebie wił się sznur

kwiatów. Krzyczeliśmy, upojeni radością: daj mi więcej ognia, chcę go pić, spal mnie na popiół i słuchaj, co krzyczę na cały głos i krzycheć nie przestanę: miłość i wolność.

O dziwo, pan Han nie potępił oficjalnie tego szaleństwa podczas uroczystej gali. Może dlatego, że Jasmine też brała w nim udział, a może nie uświadomił sobie, do jakiego stopnia ów występ Katherine poruszył nas. Możliwe jednak, że przyszło mu na myśl stare chińskie powiedzenie: *Yuqing-gu-zong*, czyli: „Żeby ściągnąć smycz, trzeba najpierw ją poluzować”.

Z każdym dniem zbliżał się termin promocji. Nasza przyszłość zależała od łaski komitetu partyjnego. Główna wygrana to skierowanie do pracy w Szanghaju, obojętnie do jakiej, byle w Szanghaju, oznaczało to bowiem otrzymanie prawa stałego pobytu. Najgorszą perspektywę mieli „wypożyczeni robotnicy” — czekał ich powrót tam, skąd przybyli.

Nie wiedziałam, co robić. Chcąc się uczyć dalej, podpisałam dokument, który ulokował mnie na liście „nieprzystosowanych”, i fabryka chętnie się mnie pozbyła. Przejadałam wszystkie swoje oszczędności. Moi rodzice nie zajmowali w mieście żadnej ważnej pozycji, nie mieli żadnych dobrych kontaktów; niczym nie będą mogli zaskarbić sobie łaski szefa fabryki lub jego rodziny. Nie miałam za co kupić mu podarunków, takich jak korzeń żeń-szeń, perłowy puder, wino. Czułam się tak, jakbym straciła grunt pod nogami i spadała, spadała, lecąc na samo dno.

Jak większość studentów przeprowadziłam się do akademika. Był to przywilej przed promocją. Umożliwiała nam to przygotowywanie się do egzaminów w bibliotece do późnych godzin wieczornych. Przeprowadziła się tam również Katherine, by służyć studentom pomocą. Akademik wyglądał jak wojskowe baraki, ze strażnikami pilnującymi wejścia. Moim ulubionym miejscem był dach.

Nasza szkoła mieściła się na obrzeżach miasta, wśród dzikiego niemal krajobrazu, otoczona krzewami i poletkami ryżu. Często tam chodziłam, żeby sobie swobodnie pomyśleć.

Pewnego wieczoru Katherine powiedziała do mnie:

— Ilekroć mam ochotę skończyć ze sobą, przychodzę tu. Stała przed murem zarośniętym bluszczem. Miała na sobie zielony sweter. Z zaciśniętymi powiekami, z prawą ręką na sercu rzekła:

— Błagam, niech to się stanie. — Otworzyła oczy, odwróciła się ku polom, wzięła głęboki oddech i zaczęła zawodzić jak dzikie zwierzę.

To było przerażające. Dźwięk wwiercał mi się w uszy. Białe plamy migały przed oczyma. Nigdy w życiu nie słyszałam czegoś takiego, jakby wilk wył do księżyca. Przyszły mi na myśl czasy prehistoryczne, zwierzęta z minionych epok, burza z piorunami.

Powiedziała, że niektórzy ludzie w Ameryce stosują tę metodę, żeby uwolnić się od stresu. Radziła, żebym spróbowała. Nie chciałam się ośmieszać. Nie potrafiłabym tak wyć. Nie wyobrażam sobie siebie zachowującej się jak zwierzę.

Odparłam, że nie jest mi to potrzebne.

— Chińczycy umieją nad sobą panować. Nie nalegała.

— Jak długo potrafisz się kontrolować, tak długo jesteś panią siebie — powiedziała z uśmiechem.

Przypomniały mi się piosenki, jakie śpiewaliśmy na wiecu. Moja rosnąca wrażliwość zmiękczała mi charakter, osłabiając zarazem wolę. Czułam się jak dopalająca się świeca, której woskowe sople osłaniają ołtarz mego serca.

Do promocji pozostało jeszcze parę tygodni.

Poszłam do fabryki, żeby się dowiedzieć, czy jest szansa przywrócenia mnie do pracy; okazało się jednak, że zostałam już nawet skreślona z listy robotników. Byłam jagnięciem pod nożem rzeźnika. Śniły mi się po nocach wstrętne oczy pana Hana, usta wypowiadające moje imię.

Wieśniacy suszyli zbiory i dostarczali na bazy, a za otrzymane pieniądze kupowali miejskie wyroby — plastikowe pojemniki, materiały na ubrania, tanie zegarki. Ze swego miejsca na dachu widziałam wąską błotnistą drogę prowadzącą do miasta, zatłoczoną ludźmi, osłami, krowami.

Byłam sama. Słońce wyłaniało się i chowało w morzu chmur.

Wyobrażałam sobie, kim będę w następnym wcieleniu, zastanawiając się, czy chciałabym być kimś podobnym do Katherine.

Czy Katherine miała łatwiejsze życie? Mówiła często, że przez cały czas musiała walczyć o to, na czym jej zależało. Nazywała siebie patologiczną optymistką. Marzyła o przyjeździe do Chin i napisaniu książki o tym kraju. Została tu na dłużej, bo pokochała chińską kulturę i ludzi. Nie dostrzegała tego, że jej zachowanie, sposób bycia coraz bardziej irytują pana Hana. Poza zuchwałymi wywiadami, jakie przeprowadzała w akademiku — co też było przyczyną jego irytacji — wyprowadziła go z równowagi propozycją zmiany podręcznika, którego był autorem.

Powiedziałam Katherine, że gdyby była Chinką, już dawno przeniosłaby się na tamten świat. Wyśmiała mnie, że przesadzam.

Zaprzestałam już wysiłków, by Katherine patrzyła na ludzi moimi oczami, bo nie chciałam więcej słyszeć, że moja nieufność jest destrukcyjna. Wzrastałam, ucząc się czytać z twarzy dostojników partyjnych. Wiedziałam, do czego byli zdolni. Życie mojego ojca było

dowodem na to, że ufać partii to znaczy kopać własny grób. Jednak życie Chińczyka wypełniali po brzegi partyjni dostojnicy. Chciałabym się tylko dowiedzieć, co trzeba zrobić, by słońce zaświeciło i dla mnie, tak jak świeci dla Głowy Lwa. Bezwstydnie podlizywał się panu Hanowi. Gdyby pan Han kazał mu zlizać swoją plwocinę, zrobiłby to.

Ale ja nie chciałam być Głową Lwa. Chciałam być Katherine.

— W ogrodzie naszego wielkiego socjalistycznego kraju kwiaty podobne do Katherine istnieją tylko jako dekoracja dla filmów propagandowych, nie po to, by wywracać na nice ludzkie umysły — powiedział mi po wiecu Głowa Lwa.

Ona oczywiście wykraczała poza linię partii. Zmieniła nas. Dla mnie była bohaterką. Wielbiłam ją. Nie ulega kwestii, że większość moich kolegów i koleżanek żywi do niej to samo uczucie, co nie ma zresztą większego znaczenia, bo za wiele mamy w sobie lęku, a lęk pozbawia siły.

Po wiecu Jasmine stoczyła z Głową Lwa zaciekłą walkę. Wypiła *di-di-wei* — truciznę na szczury — i odwieziono ją na ostry dyżur. Pan Han pospieszył do łóżka córki. Patrzył, jak lekarze robią jej płukanie żołądka, jak potem wymiotuje niebieskim płynem. Kompletnie się załamał. Porzucił swoją oficjalną pozę i siedział przed gabinetem zabiegowym, płacząc głośno. Mówił przez łyżę, że życie podle go potraktowało. W czasie wojny stracił swoją pierwszą żonę, drugą podczas rewolucji kulturalnej, i oto teraz jego córka usiłowała odebrać sobie życie. Był zdecydowany bronić jej za wszelką cenę, ponieważ była jedynym owocem jego nasienia.

Kiedy przeniesiono Jasmine do sali, pan Han nikogo do niej nie dopuścił.

Czuwał przy niej dzień i noc. Niczym czarownica klęczał przed nią i sęczył jej do ucha jakieś słowa. Nie jadł, nie spał. Pielęgniarka nie wpuszczała gości chcących odwiedzić Jasmine — mówiła, że ojca z córką łączy teraz duchowa więź i nie należy im przeszkadzać.

Szpital, ból, szept ojców sprawiły, że w Jasmine dokonana się przemiana.

Z larwy wyklął się motyl, płaczka stała się wojownikiem.

Poszłam do Głowy Lwa, żeby się dowiedzieć, co zaszło między nim a Jasmine. Przyznał, że miał z nią „łóżkowy problem”.

— Widok jej ciała wręcz mnie odrzuca — powiedział. — To nie ja, to nie moje ciało leży na niej. — Na pewno jest przekonana, że miałaś romanse.

— Jest szalona, nienawidzi wszystkiego i wszystkich. Ciebie i Katherine pożarłaby żywcem. Sądzisz, że mogę ją powstrzymać? Nie mogę. Idź i zobacz, jak zgrzyta zębami.



Wyobraziwszy sobie Jasmine wymiotującą na niebiesko szczurzą trucizną, poczułam się winna, co spowodowało, że wybuchnęłam nerwowym śmiechem. Zdawałam sobie sprawę, że bardzo zależało jej na tym, aby ktoś zapłacił za jej cierpienia.

Katherine nie chciała słyszeć o nieustannie stosowanej przez Jasmine taktyce wojennej. Powiedziała, że odnosi się z sympatią do tej jej choroby na miłość. Gdy Jasmine wyszła ze szpitala, Katherine kupiła od wieśniaków garnek czerwonych bambusów i przesłała jej. Podobno zarówno ojciec, jak i córka wysoko ocenili jej podarunek. Powiedziałam Katherine, że wszystko to na pokaz.

— Och, przestań ! — Uniosła rękę gwałtownym gestem. — Musisz dać ludziom szansę. Nie jestem dzieckiem. Pozwól mi na własny osąd i kierowanie się rozsądkiem.

Zbliżało się Święto Księżycy. W okolicznych wioskach odbywało się uroczyste pieczenie ciastek. Od czasu wyzwolenia żaden Chińczyk nie przykładał wagi do tych świąt, gdyż uważano je za przeżytki feudalizmu.

Nie pofatygowałam się, żeby pójść do domu i zjeść księżycowe ciasteczka przygotowane przez matkę. Nie byłam w nastroju. Księżyc w pełni jest symbolem harmonii, szczęścia, a gdy spojrzałam na swoje życie, uznałam, że nie było w nim nic godnego uczczenia.

Ludzie wracali do domów obładowani butelkami wina i piwa Piłam rzadko, ale dziś postanowiłam się napić, by zapomnieć o swoim nieszczęściu. Kupiłam niewielką butelkę wina Zielony bambus" i poszłam na dach, by posiedzieć z księżycem. Wpatrywałam się w jego blask i nagle w głowie mi zawirowało.

Im bardziej noc gęstniała, tym bardziej chciało mi się płakać; łaknęłam płaczu każdym nerwem. Staralam się pokonać to uczucie Nagle dostrzegłam postać zmierzającą ku mnie z drugiego końca dachu. Była to moja współmieszkanka, Mały Ptaszek Podbiegła do mnie i krzyknęła na cały głos:

— *Yang-ren* jest pijana. Chodź zobacz! Istne małpie widowisko. Wlewają w nią wino!

Otrząsnęłam się z chandry i podążyłam za Małym Ptaszkiem.

Pokój Dużego Li i Małego Li na pierwszym piętrze był pełen ludzi.

Wszyscy palili i śmieli się, stojąc dokoła stołu zastawionego butelkami piwa i wódki. Spektakl trwał. Głównymi aktorkami były Jasmine i Katherine. Jasmine jedną ręką trzymała Katherine za szczękę, a drugą wlewała jej do gardła wódkę. Uśmiechając się, rzekła po chińsku:

— Peonio K., jesteś tak wspaniałą nauczycielką, że musisz przyjąć wyrazy naszego najwyższego szacunku. Ten toast spełniasz za Dużego Li. A teraz Mały Li domaga się, bys wypiła za niego. Nie możesz mu odmówić, bo chłopak straci twarz.

Katherine odpychała ręką butelkę.

— Musisz uczyć Małego Li. Będzie mu przykro, że jego nauczycielka nie chciała wypić za jego zdrowie.

— Toast! Toast! — krzyčili wszyscy obecni.

Na twarzy Katherine błędził pijacki uśmiech. Była w czarnej sukni, lewe ramię obnażone. Potargane włosy. Wyglądała pięknie, ale to nie była ona.

Czerwona na twarzy, siedziała niemal na udzie Jima — jak tłusty wąż.

Jim był w siódmym niebie. Śmiał się wraz z innymi, a jego dłonie, niby to przypadkowo, dotykały piersi Katherine. Nie miał nic przeciwko temu, by objęła go nagim ramieniem. Służył jej za poduszkę. Potrącił jej rękę z kieliszkiem i wino rozlało się na sukienkę Katherine. Pod mokrym materiałem sterczały brodawki jej piersi. Oczy mężczyzn pały.

— A teraz powiedz, co myślisz o sekretarzu, dyrektorze szkoły — rzekła rozkazująco Jasmine.

Katherine uczyniła wysiłek, żeby usiąść.

— Jeśli odpowiem, przestaniecie wlewać we mnie wódkę?

— Oczywiście — zapewnili wszyscy.

— Dobrze. Prawdę mówiąc, nie darzę zbyt dużym szacunkiem pana Hana.

To nie jest uczciwy człowiek. Jest obłudny i obrzydliwy. Moim zdaniem to niezły świr.

Roześmiała się i upuściła kieliszek. Zachęcali ją, by mówiła dalej. Jim poklepał ją po ramieniu.

— Prawdziwy komunista, taki jak pan Han, niczego się nie boi. Mów, Katherine, słuchamy — zachęcił.

Jasmine uśmiechnęła się. Wskazując palcem Katherine, powiedziała szybko po chińsku:

— To zatwardziała antykomunistka. Głowa Lwa podszedł do niej.

— Dostyc już tego. Twój ojciec byłby wstrząśnięty tym przedstawieniem.

Dość tego, mówię.

— O co ci chodzi?! — wrzasnęła.

— Cudzoziemski diabeł jest pijany — odparł Głowa Lwa.

— Powinniśmy się cieszyć, że wreszcie wycisnęliśmy z diabła głęboko skrywaną prawdę.

— To nieetyczne zastawiać pułapkę na kogoś, kto nie jest w pełni sobą.

— Pułapkę? Kto na kogo zastawił pułapkę? Co masz na myśli? Dlaczego tak cię to obchodzi, co? — Jasmine spojrzała z wściekłością na Głowę Lwa. — Mówiąc szczerze, nie

jestem pijana — odezwała się Katherine. — A przy okazji: nie jestem żadnym diabłem. Nieważne, czym ojcem jest pan Han, mało mnie to wzrusza. Nie lubię go, bo jest uosobieniem hipokryzji.

Cieszę się, że jestem Amerykanką, więc nie muszę kłamać, tak jak wy wszyscy. Przebywam tu stanowczo za długo. Chcę zrzucić z siebie pancierz wyprostować się, oddychać pełną piersią, po prostu bawić się, żartować... — Rozejrzała się dokoła i pocałowała Jima w usta. — Zrzućcie z siebie pancierze! Ty, ty i ty! — Śmiejąc się, wskazywała nas palcem. — A co z Głową Lwa? — zapytała ją nagle Jasmine. — Co o nim myślisz?

— Jako o człowieku, przyjacielu, czy o kimś, kogo ty masz na myśli?

Jesteś konkretna, więc muszę ci dać konkretną odpowiedź. .

— Jako o-kimś-kogo-ty-masz-na-myśli — powiedziała Jasmine. .

— Włączcie jakąś muzykę — zażądała Katherine. Wstała; ktoś wsunął kasetę do magnetofonu. — Mogę cię prosić? — Owinęła to swoje białe ramię wokół szyi Głowy Lwa, obróciła się dokoła i zaczęła się poruszać w takt muzyki.

— Chcesz, żebym powiedziała Jasmine, co o tobie myślę? Wypiłam za dużo wina. Język mi się płacze. Straciłam nad sobą kontrolę. Co mam robić? Pomóż mi, kochanie...

Odsunął się od niej gwałtownie. Ruszył ku drzwiom, lecz tłum odciął mu drogę ucieczki.

— Nie psuj nam zabawy! — krzyczeli. Głowa Lwa odepchnął ich, ale Jasmine chwyciła go za rękę.

Nagle Katherine padła na kolana, wymiotowała. Jim pochylił się, by wytrzeć podłogę. A ona powiedziała z uśmiechem:

— Mówiłam ci, że za dużo było wina. Przepraszam, że naraziłam cię na coś takiego. Chciałeś, żebym się zabawiła na cześć księżycy, prawda? A tymczasem klapa!

Jasmine trzymała się kurczowo Głowy Lwa.

— Przyglądaj się, jak *yang-ren* rzyga, przyglądaj się cudzoziemce, patrz, jaka jest atrakcyjna! — Wybuchnęła histerycznym śmiechem.

Katherine położyła się na łóżku, wytarła usta krajem mokrej sukienki.

— Jezu Chryste! — wykrzyknęła. — Chcecie mnie jeszcze o coś pytać?

Cholerna okazja, nie uważacie? — Chwyciła kolejną butelkę, którą podał jej Duży Li.

Stałam przy drzwiach i czułam się, jakby wyrwano mnie ze snu. Miałam nadzieję, że Katherine da w końcu spokój, lecz, niestety, zanosilo się na jeszcze większą rozróbę. Piła i piła i krytykowała partię, i szła prosto w zastawioną przez Jasmine pułapkę.

Podeszłam do niej, odebrałam jej butelkę i powiedziałam:

— Uspokój się i powiedz wszystkim dobranoc. Chodźmy do twojego pokoju.

Wrzeszczeli, odpychali mnie.

— Zebra, nie jesteś na służbie! Wynoś się stąd!

Ktoś chlusnął na mnie winem. Wszyscy śmieli się głośno. W przypiływie złości ściągnęłam ze stołu obrus.

— Kogóż tu widzimy, droga Katherine? — wrzasnęła Jasmine, wskazując na mnie palcem. — Czy to twoja ochroniara, służąca, a może kochanka?

Na ustach Katherine pojawił się tajemniczy uśmiech. Zdenerwowałam się. Ciekawe, co ona odpowie. Czułam się zagrożona.

— Możesz sobie wyobrażać, co ci się żywnie podoba — rzekła.

Odwróciłam się do niej i krzyknęłam:

— Proszę cię, przestań gadać głupstwa!

— Coś nie tak, szanowna przewodnicząca Związku Robotników? — zapytała Jasmine. — Czy istnieje jakaś tajemnica, którą powinniśmy znać? Dlaczego wpadasz w panikę?

Nie wyglądała na kogoś, kto przed dwoma tygodniami był w szpitalu.

Przypominała węża, który tryska jadem.

— Nie bój się jej — powiedziała Katherine. — To, że ma wpływowego ojca, wcale nie znaczy, że jest lepsza od ciebie. — Wyciągnęła do mnie rękę. — Chodź, powiem ci, jak bardzo cię uwielbiam, ciebie i te twoje czarne jak marmur oczy...

Uniosłam dłoń, zamknęłam powieki i uderzyłam Katherine w twarz. W lewy policzek i w prawy policzek. Aż ręka mnie zabolęła.

Wszyscy byli zaszokowani.

— Nie jesteśmy w zoo — powiedziałam z wściekłością. — A ona nie jest małpą. — Zwróciłam się do Katherine: — Idź wreszcie do swojego pokoju.

Jasmine podeszła do mnie ze szklanką *mai-tai*. Popchnąwszy mnie, rzekła:

— Jeżeli ci się tu nie podoba, to dlaczego się nie wyniesiesz? Nie psuj miodeu łyżką dziegciu.

Usiłowałam wypchnąć z pokoju Katherine, ale oświadczyła mi, że jest fajnie i nie zamierza opuszczać towarzystwa. Że świetnie się bawi.

Jasmine wzniosła kolejny toast i Katherine padła jak nieżywa na Jima.

Jim wszędzie ją obmacywał. Powiedział, że uczył się masażu chińskiego, że wie, jakie igły wbijać w jakie miejsca. Był prawie pijany i nie miało to nic wspólnego z chińskim masażem. Głowa Katherine znalazła się między jego nogami.

W drzwiach pojawił się jakiś cień. Instynkt podpowiadał mi, że muszę działać szybko. Chwyciłam Katherine za ramię. Głowa Lwa obserwował mnie z kąta pokoju; stał nieruchomo. Jasmine przytrzymała Katherine.

Do pokoju wszedł funkcjonariusz o twarzy szczura. Zgasił światło i zaraz zapalił, by uciszyć zebranych. Kazał wszystkim wyjść.

Noc przebiegła niezwykle spokojnie. Zaprowadziłam Katherine do łóżka i wróciłam do siebie. Mały Ptaszek spała jak zabita. Postanowiłam popracować nad swoim końcowym referatem. Śmierdziałam wódką, bo pomagałam Katherine zdjąć jej przesiąknięte alkoholem sukienkę i buty. Jasmine dziś w nocy święciła triumf. Wykorzystała uprzejmość Katherine i zaprosiła ją na uczynek winem Święta Księżycy, i wszyscy mogli zaświadczyć, jak nauczycielka źle się wyrażała o panu Hanie, co było niewątpliwym przestępstwem; nareszcie pozbędzie się jej raz na zawsze.

Mój mózg funkcjonował na zwolnionych obrotach. A końca referatu nie było widać. Pan Han, chcąc wykląć, jak wielki uczyniliśmy postęp, dał nam bardzo trudne tematy do opracowania. Jak mogłam, operując moim jednorocznym angielskim poddać krytyce filozofię Nietzschego? Od czasu Wielkiego Skoku w roku 1957 odnoszone rzekomo zwycięstwa stały się częścią tradycji komunistycznej. Miliony rolników umierały z głodu, podczas gdy prasa partyjna podawała, że zbiory wynoszą tysiąc funtów zboża z jednego ara.

Zdaniem Katherine dobór tematów pana Hana był wręcz śmieszny, ale nie protestowała, bo nie przywiązywała do tego wagi.

— Pan Han kompletnie się nie zna na metodyce nauczania języków obcych — powiedziała. — Wkrótce sam się przekona, iż popełnił błąd, i mam nadzieję, że postara się go naprawić.

A tymczasem ona sama się przekona, na co nas stać, do jakiego stopnia możemy wyężyć wszystkie nasze intelektualne siły. Dodała, że nie za bardzo liczy na wysoką jakość naszych referatów.

Moje oczy pełzły przez tekst niczym ślimaki, ale popędzałam je, sprawdzając w słowniku angielskochińskim co piąte słowo.

„Obecne czasy nie dają pocieszenia; tęsknota sięga świata po śmierci, nawet współ z bogami; zaprzecza się istnieniu błyskotliwych odniesień człowieka do bogów, tak samo jak nie wierzy się w nieśmiertelność.

Człowiek, świadom prawdy, której raz dostąpił, widzi teraz wszędzie horror absurdu egzystencji; rozumie, co stanowi symbol w losie Ofelii; pojmuje mądrość leśnego boga Sylena: jest znudzony...". Sprawdziłam w słowniku. Byłam znudzona na śmierć. Zanim dokończyłam zdanie, pióro wypadło mi z ręki, głowa opadła na pierś.

Spałam twardym snem, gdy Mały Ptaszek mnie obudziła. Potrząsając mną, mówiła przerażonym głosem: — Złapano parę na gorącym uczynku. Mają już na zawsze zaszarganą opinię.

— Co? O czym ty mówisz? — Wytrzeszczyłam w ciemności oczy.

— Zamknęli ich w jej pokoju. Nie mogą uciec. Jasmine wezwała strażników, żeby ich aresztowali na miejscu przestępstwa.

— Co takiego? Jaka para? — Dostrzegłam, że zaczyna już świtać.

Pomyślałam sobie, że Mały Ptaszek miała pewno jakiś koszmar senny.

— Katherine i Jim, leżeli razem w łóżku! — Mały Ptaszek z trudem chytała oddech.

— Skąd ty o tym wiesz?

— Poszłam zrobić siusiu i usłyszałam hałas. Patrząc, a Jasmine każe strażnikowi zablokować drzwi.

Strząsnęłam z siebie resztki snu.

— Zapal światło — powiedziałam.

— Nie! — Przykryła wyłącznik ręką. — Boję się! — Głos jej drżał. — Nie chcę być w to zamieszana.

— Dobrze. Pójdę przekonać się na własne oczy, co się dzieje.

— Tylko błagam cię, ani słowa o tym, że dowiedziałas się ode mnie.

Obiecałam zachować tajemnicę.

Ostrzegła mnie jeszcze, bym się sama w to nie wplątała. Odparłam, że jest już za późno, by się nie wplątać. Wiedziałam o spisku. Partia zarzuciła sieci na Katherine.

— Nie chcę tego słyszeć. — Mały Ptaszek zakryła dłońmi uszy.

Odgłos moich kroków na klatce schodowej. Korytarz był nie oświetlony.

Szłam po omacku w stronę pokoju Katherine.

Za każdymi drzwiami, jakie mijałam, słyszałam ciche głosy. Przez szpary sączył się blask latarek elektrycznych. Dobrnąwszy do końca korytarza, gdzie znajdował się pokój Katherine, ujrzałam oświetloną ze wszystkich stron klamkę.

Jasmine szarpała nią. Za Jasmine prężyli się dwaj strażnicy z pałkami milicyjnymi w ręku.

Żona Jima, tęga kobieta, stała, szlochając, obok Jasmine. Dopiero co przyszła. Żakiet miała krzywo pozapinany.

Przed drzwiami gromadzili się ludzie. Obserwowali w milczeniu przebieg wydarzeń.

Z ręką na klamce Jasmine wrzeszczała zawodzącym głosem:

— Wredna paro kochanków! Myślicie, że uda się wam uniknąć ludowego sądu?! Wszystkie wyjścia są zablokowane. Podnieście ręce do góry i poddajcie się!

Z pokoju dobiegł jakiś krzyk.

Jasmine kazała strażnikom być w pogotowiu; jeden z nich pchnął drzwi

— stanęły otworem. Przepisnęłam się między ludźmi, chciałam zajrzeć do środka.

W pełgającym świetle brzasku pokój wydawał się pusty. Na łóżku po lewej stronie ktoś jednak leżał. Katherine. Wyglądało na to, że śpi.

Światło latarek padło na jej twarz, usiłowała otworzyć oczy. Walczyła z niemocą własnego ciała. W końcu udało się jej usiąść.

— Co się stało? — wymamrotała.

— Kapitalne przedstawienie — powiedziała Jasmine.

— O czym ty mówisz? — spytała Katherine.

— Gdzie jest cudzołóżnik?! — wrzasnęła Jasmine.

— Jaki cudzołóżnik? Co ty wygadujesz? — Katherine przetarła oczy.

— Szukajcie go! — Jasmine wydała rozkaz strażnikom. Wyszli na balkon. Odgłos szarpania się, walki, spadającego na podłogę buta. Po paru minutach wyciągnięto stamtąd związanego sznurami Jima. Miał spojrzenie zaszczutego psa. Był w niebieskiej piżamie w paski, obutą miał tylko jedną nogę. Drugi but trzymała w ręku Jasmine. Jim na widok żony padł na kolana.

— Zabezpieczyć dowód — poleciła Jasmine. Korytarz był pełen ludzi.

Katherine przewróciła się na drugi bok i ponownie próbowała usnąć, jak gdyby to wszystko nie miało z nią nic wspólnego.

Jasmine kazała strażnikom zmusić do wstania Katherine, która powiedziała niewyraźnie, że bardzo boli ją głowa i nie zamierza opuszczać łóżka.

Żona Jima zawodziła głośno.

W tłumie szeptano, co też *yang-ren* musiała zrobić, żeby Jim poszedł z nią do łóżka, jakimi to zwabiła go metodami.

Jasmine podeszła do Głowy Lwa, który stał obok z kamienną twarzą.

— Co się stało? — ktoś zawołał z tyłu.

Jasmine zaczęła mówić płynnie, jak wyuczoną lekcję:

— Szłam skorzystać z łazienki i nagle widzę cień skradający się w stronę pokoju Katherine. Było to około piątej rano. Przyszło mi nagle na myśl, że może ktoś chce ją zgwałcić. Musiałam coś zrobić, żeby temu zapobiec.

Podążyłam za cieniem. Gdy zatrzymał się przed jej drzwiami, rozpoznałam Jima. Co on tu robi? Pomyślałam najpierw, że może przyniósł jej aspirynę, żeby doszła do siebie po tym pijaństwie. Ale coś mnie tknęło, kiedy wszedłszy do pokoju, nie zapalił światła.

— Towarzysze, on nie zapalił światła!

— Co zatem robił w ciemnościach? Co mógł tam robić? Albo lepiej zapytam: co oni tam robili? W tym momencie zdałam sobie sprawę, że zostało popełnione przestępstwo. Jim zdradził swoją żonę i skalał naszą chińską moralność.

Ludzie słuchali w skupieniu. Jasmine mówiła dalej:

— Aż do tej pory Jim był dobrym towarzyszem. Nigdy nie oszukiwał swojej żony. Lecz Katherine, kobieta z gruntu zepsuta, uwiodła go i z porządnego Chińczyka uczyniła przestępcę. Dlatego bardzo mi Jima żal. Czułam się w obowiązku uratować naszego towarzysza przed upadkiem na samo dno.

Postanowiłam wezwać strażników, by złapali ich na gorącym uczynku.

Nie ulega dla mnie wątpliwości, że Jim został podle wykorzystany.

Tłum zaszemrał. Mówiono o ogromnym egoizmie Katherine — Jasmine triumfowała. Manipulacja nastrojami udała się znakomicie. Głowa Lwa odszedł w milczeniu. Jasmine czekała, aż napięcie sięgnie szczytu.

Oczy jej błędziły wśród zgromadzonych. Gdy wreszcie spoczęły na mnie, na jej ustach pojawił się uśmiech. Złośliwy Gdybym miała broń, zastrzeliłabym ją bez namysłu. Ale starałam się nie okazywać odrazy, jaką do niej żywiłam Tak ukaranie w ten sposób Katherine miało być straszakiem dla innych. Ostrzegała nas wszystkich, byśmy nie stawali na jej drodze.



Była tak nieszczęśliwa, że nie znosiła szczęścia innych. W naszym kraju oskarżenie kogoś o „zepsucie w życiu prywatnym” było najskuteczniejszą drogą do uznania tej osoby za wroga. „Życie prywatne” było szarą strefą — żadne fakty się nie liczyły. W czasie rewolucji kulturalnej wielu ludzi aresztowano za „życie prywatne”, karano, skazywano na śmierć. Po śmierci Mao nic się nie zmieniło. Ludzie się nie zmieniają, taka jest prawda.

Byłam zbyt egoistyczna, by dopuścić do zguby Katherine. Żyła już nie tylko swoim własnym życiem. Jej życie objęło również mnie.

Już miałam wystąpić z tłumu i wtedy zahuczał w mojej głowie głos Małego Ptaszka: „Nie daj się w to wplątać”. Lecz nie kontrolowałam już siebie. Stałam na najwyższym stopniu schodów i rzekłam podniesionym tonem:

— Skąd wiesz, Jasmine, że to Katherine uwiodła Jima? A może było odwrotnie? W jaki sposób udowodnisz, że mieli ze sobą fizyczny kontakt? A może to tylko wytwór twojej bujnej wyobraźni?

Jim był wstrząśnięty. Spoglądając na niego, zapytałam:

— Czy możesz nam powiedzieć, Jim, co się wydarzyło?

— Ale czy partia mi uwierzy? Nikt mi nie uwierzy, nikt... — Potrząsnął głową i rozszlochał się. — Jak mam to wszystko wyjaśnić?

— Daj nam szansę, żebyśmy ci uwierzyli.

— Kim ty jesteś, żeby wygłaszać takie mowy? — zaatakowała mnie Jasmine.

— W imieniu Związku Robotników domagam się, by Jim zabrał głos — odparłam ze spokojem.

Jim szlochał jak baba.

— Nie miałem nic wspólnego z cudzoziemskim diabłem — wykrztusił.

Ludzie gwizdali, dając wyraz niewierze. Jasmine wrzasnęła na Jima:

— Proszę bardzo, wyjaśnij, co robiłeś w pokoju Katherine. Dlaczego nie zapaliliście światła? Dlaczego? Przyznaj się!

Mówiąc to, patrzyła na mnie.

Jim odwrócił się w moją stronę, jakby pytając, czy ma mówić dalej.

Skinęłam potakująco głową.

— Ona... — zaczął cichym głosem. — Ona była wczoraj wieczór tak pijana... że chciałem jej przynieść jakieś leki, żeby nie wymiotowała.

Jasmine dała mi pigułki. Powiedziałem wtedy, że sam kilka zażyję, a resztę zaniosę Katherine. Wieczorem nie zaniósłem, bo sam byłem pijany, i dopiero dziś rano, kiedy się

obudziłem. Poszedłem do niej i chciałem jej dać te pigułki... Nie rozumiem dlaczego... Dlaczego nie zapaliłem światła. Nie wiem... Dobrze się orientuję w ciemności i... i...

— I co?! — krzyknęła Jasmine.

Jim milczał. Widać było, że zżera go wstyd.

— Wszyscy jesteśmy ludźmi — odezwałam się. — Każdy z nas przeżywa chwile słabości, załamania.

Jasmine obrzuciła mnie spojrzeniem, które mówiło: przestań pieprzyć!

Nie wywarło to na mnie żadnego wrażenia.

— Mów dalej — zwróciłam się do Jima. — Prawdy nie należy się wstydić.

— I... i... żeby być blisko niej... blisko niej — wykrztusił.

— Blisko kogo? — Jasmine dyszała wściekłością. Zbyt był przerażony, by odpowiedzieć.

Ja to uczyniłam zamiast niego:

— Blisko Katherine. Prawda, Jim? Blisko Katherine. Skinął głową i znowu wybuchnął płaczem.

— Mężczyzna lubi ciemność, tym bardziej gdy jest blisko Katherine — mówiłam dalej. — Prawdopodobnie był nią oczarowany, oszołomiony.

Nie zdawał sobie raczej sprawy, co robi. Nie zapalił światła, bo w ciemności czuł się pewniej. Logiczne myślenie go zawiodło. Dusza wyszła z jego ciała. Był jak muszla, pusty w środku. Cóż w tym jest dziwnego?

Ludzie wpatrywali się w Jima z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami.

Można było z nich wyczytać również litość. Któż by nie zrozumiał, jakie to uczucie, gdy stoi się w ciemności obok bogini.

— Ale ty jesteś żonaty — powiedziała Jasmine. — Według chińskiego prawa cudzołóstwo jest przestępstwem, bez względu na okoliczności.

— Przysięgam, że nie cudzołożyłem — zapewnił Jim błagalnym tonem.

— Poza tym było to niemożliwe. Była kompletnie pijana. Spójrzcie na nią. Nawet gdybym chciał cudzołożyć, ona nie byłaby do tego zdolna.

Jasmine roześmiała się głośno.

— Skąd mamy wiedzieć, że mówisz prawdę? Zgodnie z prawem, jeśli nie możesz tego udowodnić, należy przyjąć, że jesteś winny. Fakt pozostaje faktem, że przyłapałam cię w jej pokoju. — Uniosła w górę but Jima. — Oto dowód. I wszyscy tu obecni są świadkami.

Zaprowadzono Jima, pod eskortą, do biura pana Hana na przesłuchanie.

Wersję Jasmine z przebiegu wydarzeń uznano za wiarygodną. Katherine okazała się ohydłą uwodzicielką, zepsutą do cna burżujką. W oczach Chińczyków była skończona.

Wysunęłam się przed tłum.

— Wierzę głęboko — powiedziałam — że Katherine me miała nic wspólnego z Jimem.  
— I zwracając się do Jasmine: — Nieładnie postępujecie z cudzoziemskim diabłem. Jest pijana. Nie może się bronić.

— Do czego zmierzasz? Przemawiasz w jej obronie  
i chcesz udowodnić, że jest niewinna? - zapytała ze śmiechem Jasmine. . .

— Musimy mieć niezbite dowody jej winy — powiedziałam z naciskiem.

— Mam dowód — rzekła Jasmine, akcentując każde słowo.

— Nie o to chodzi. Mówię o dowodach potwierdzających jej fizyczny kontakt z Jimem.

— Nie są potrzebne.

— Owszem, są. Musisz czymś poprzeć swoje oskarżenie. Katherine nie jest Chinką.

Tłum zaszemrał. Spierano się między sobą. W końcu Duzy Li poddał myśl, bym ja, jako przewodnicząca Związku Robotników, zaprowadziła Jima i Katherine do pobliskiego szpitala, gdzie lekarz po ich zbadaniu wyda orzeczenie, czy ci dwoje odbyli ze sobą stosunek.

Tłum zaszemrał aprobująco. Widziałam, że ludzie świetnie się czują, mogąc decydować o czymś losie. Jasmine po chwili namysłu wyraziła zgodę. — Jeśli lekarz stwierdzi istnienie spermy w jej pochwie, Katherine nie będzie już miała żadnej wymówki. Spełnij swój obowiązek, towarzysko przewodnicząca Związku Robotników.

Weszłam do pokoju Katherine. Siedziała na łóżku. Zapytałam, jak się czuje. Wciąż bolała ją głowa. Aspiryna nic nie pomogła. Zapytałam, czy wie, co się wydarzyło. Odparła, że cała sprawa śmiechu warta i nic jej to nie obchodzi. Że śmieszy ją, że tak poważnie do tego podchodzę.

Powiedziałam, że musimy pójść na mały spacer.

— Po co?

Nalegałam, że to bardzo ważne. A ona na to, że na spacer nie ma ochoty.

— Pójdziemy. Zaprowadzę cię do szpitala.

— Co takiego?! — krzyknęła. — Przecież nic mi nie jest. Po prostu za dużo wypiałam, ot i cały problem.

Wyciągnęłam ją z łóżka.

— Musisz iść ze mną. Zbadają cię i potwierdzą, że podejrzenia są bezpodstawne.

— Co się dzieje, na Boga? Kto za tym stoi?

— Pamiętaj, że jesteś w Chinach.

Nie chciała nigdzie iść, bo wygląda okropnie. Nie ma siły. Nie dawałam za wygraną i w końcu się zgodziła, tylko poprosiła o parę minut, aby umyć twarz.

Jim już czekał. Katherine uczesała się i wyszliśmy. Oni oboje szli jakieś dwa kroki przede mną, a obok nas dwaj przysłani przez Jasmine strażnicy.

Ludzie usunęli się, by nas przepuścić, i obserwowali uważnie, jak też się zachowujemy.

Na drodze wiodącej do szpitala pełno było śmieci po porannym targowisku. Była dopiero ósma rano, a po żywności nie było nawet śladu.

Ci, co przyszli później, wędrowali po targu z pustymi bambusowymi koszykami.

Jim, półżywy ze wstydu, siedł z opuszczoną nisko głową. Katherine kroczyła niczym pijany marynarz. Podeszłam do niej i wzięłam ją pod rękę. Czułam całą śmieszność sytuacji, ale sprawa była poważna.

Wstydziłam się, że jestem Chinką, jedną z nich. Wstydziłam się za kraj, w którym ludzie mają tak wypaczone charaktery. Katherine zapytała, o czym myślę, i powiedziałam jej o czym. Nic mnie nie obchodziło, czy strażnicy słyszą mnie, czy nie. Byłam wściekła.

Katherine kazała mi być cicho. Nie chciała słyszeć, co wygaduję o Chinach. Zarzuciła mi, że jestem małostkowa i nieufna.

— Możesz sobie pozwolić na świątły umysł i ufność, bo nie mieszkasz w tym kraju.

— Mieszkam i mam problemy. Ogromnie chińskie problemy — odparła.

Roześmiałam się, co przywołało mi na pamięć śmiech Jasmine.

Katherine chciała się dowiedzieć, jak to się wszystko zaczęło. Należy szanować sprawiedliwość, zakończyła.

— Przeprowadzą test, który wykaże, czy miałaś stosunek z tym żonatym mężczyzną. Czy to nie godna podziwu sprawiedliwość?

W milczeniu potrząsnęła głową.

Weszliśmy do szpitala po okazaniu przeze mnie stojącemu u wejścia strażnikowi mojej karty pracy. Strażnik na widok cudzoziemki zaprowadził nas prosto do biura dyrektora. Kazał zaczekać, a sam wbiegł po schodach na górę. Po chwili dyrektor, w białym lekarskim kitlu, zszedł na dół. Był to wysoki, szczupły mężczyzna i wyglądał na uprzejmego.

Przedstawiłam mu się i podałam powód naszej wizyty. Słuchał z kamienną twarzą. Wskazał nam dłonią krzesła i zapytał uprzejmie Jima:

— Czy używa pan kondomu? Wkładał równocześnie gumowe rękawice.

Jim potrząsnął przecząco głową.

— Proszę za mną — rzekł, prowadząc Jima i Katherine do swego gabinetu.

Siedziałam na ławce przed szpitalem. W głowie miałam pustkę.

Test wypadł negatywnie. Trzymając w ręku wynik badania, czułam ogromną ulgę. Jim wyprostował się, podniósł głowę — stał się teraz całkiem innym człowiekiem.

Jasmine, przeczytawszy wynik, powiedziała, że ma coś do załatwienia, i wyszła bez słowa.

Katherine wzniosła oczy do sufitu i oświadczyła, że trudno jej uwierzyć w to, co się działo, kiedy była pijana. Nie chce pamiętać, co się wtedy wydarzyło.

Jasmine zreferowała ów przypadek na zebraniu szkolnego komitetu partyjnego. Konkluzja partii: Jeśli nie ma wiatru, nie ma i fal. Partia nakazała ostrożność Jimowi i Katherine i zaleciła, by wyciągnąć z tego odpowiednie wnioski.

Mały Ptaszek powiedziała, że Jasmine nosi się z zamiarem obwołania mnie reakcjonistką. Wcale mnie to nie zdziwiło. Była wściekła, że uratowałam Katherine. Już kiedyś na zebraniu ostro mnie skrytykowała, że nadużywam swojej funkcji przewodniczącej Związku Robotników i występuję w obronie niewłaściwie postępujących ludzi.

Nie podejmowałam z nią walki, ponieważ zbliżał się dzień promocji. A ona miała moc decydowania o przyszłości każdego z nas. Jej ojczulek chętnie by się ze mną rozprawił. Całą nadzieję pokładałam w Komitecie promocyjnym, który uwierzy mi, że postępowałam odpowiedzialnie, nie kierowałam się przyjaźnią do cudzoziemskiego diabła.

Zdawałam sobie sprawę, że szanse mam nikłe. Komitet może nawet nie zwracać sobie głowy sprawdzaniem podejrzeń dotyczących mojej osoby. Nikt nie stanie w mojej obronie, żeby nie narazić się panu Hanowi.

Pan Han, wymierzając mi karę, będzie pilnie strzegł, by nie nasuwało to przypuszczenia, że działa z pobudek osobistych. Przecież zawsze kieruje się tylko dobrem partii.

Byłam przygotowana, że lada chwila może wybuchnąć bomba, i w końcu wybuchła. Na promocyjnej uroczystości padło moje imię. Wyznaczono mnie do pracy na nieużytkach Słoniowych Pól.

Ani słowa wyjaśnienia. Pan Han oświadczył po prostu, że Słoniowe Pola wychodzą naprzeciw potrzebom rewolucji. Wręczył mi skierowanie na piśmie.

Nie załamalam się — nie pozwoliłam sobie na ten luksus. Nie poszłam do domu, by oznajmić rodzicom złą wiadomość. Zaniósłam pismo Katherine.

Kazano jej wrócić do chaty. Nie zezwolono na uczestniczenie w zebraniach, na których decydował się los studentów.

Nie było jej w domu. Sąsiad powiedział, że pojechała do sierocińca odwiedzić swoją córkę, Małego Królika.

Pełna niepokoju cierpliwie na nią czekałam. Właściwie po co? Cóż ona może mi poradzić? W Chinach decyzja partii stanowi prawo. Jeżeli odmówię wyjazdu do Słoniowych Pól, wezmą mnie siłą z domu. Staralam się nie myśleć o Słoniowych Polach, ale było to ponad moje siły. Poszłam do domu.

Jasmine wyznaczono na tłumaczkę świeżo awansowanego majora.

Głowie Lwa zaproponowano posadę nauczyciela. Jim miał zostać nauczycielem angielskiego w szkole średniej. Duży Li i Mały Li byli przydzieleni do wydziału nowej technologii wojskowej. Mały Ptaszek miała być przewodniczką. Pan Han był w swoim żywiole, gdy wydawał

wyrok skazujący. Swoje ofiary powalał jednym ciosem.

Moi rodzice westchnęli ciężko, gdy przy obiedzie oznajmiłam im tę smutną nowinę. Brat również nie powiedział ani słowa. Jedzenie stygło, a oni siedzieli nieporuszeni. Z radia sąsiadki przez cały dzień dobiegały naszych uszu śpiewy starej opery chińskiej:

*Kiedy byłem młody, byłem smutny,*

*bo czekałem na natchnienie,*

*bym mógł napisać wiersz.*

*Teraz jestem stary*

*i doznałem zbyt wiele zła.*

*Gdy moje serce chce wyrazić to uczucie,*

*mówię: Zamilknij, proszę cię, zamilknij...*

Matka odłożyła pałeczki i zapłakała bezdźwięcznie. Odeszła od stołu.

Ojciec wyciągnął spod łóżka butelkę wódki. Brat wyjął z kredensu dwa kubki i nalał sobie i ojcu. Siedziałam, czując pustkę w głowie.

Katherine, na wieść o moim skierowaniu, zaraz po powrocie zadzwoniła do mnie do budki. Poszłam do niej, a ona chwyciła mnie w objęcia. Gdy na mnie patrzyła, w jej oczach pojawiły się łzy. Wyszła do kuchni przygotować mi herbatę.

Nie potrafiłam logicznie rozumować. Byłam jak sparaliżowana.

Postawiła przede mną filiżankę, a sama, wsparłszy głowę na dłoniach, siedziała nieruchomo.

— Co z Małym Królikiem? — zapytałam.

— Jest fantastyczna. Obie jesteśmy już gotowe. Jeszcze dwa tygodnie i będzie moja.

— Czy ona...?

— Porozmawiajmy o tobie. — Wstała. — Ściągnę tu Głowę Lwa Mam przecucie, że on mógłby nam pomóc.

Potrząsnęłam głową i rzekłam, że on jest glinianym Buddą. Przekraczając rzekę, musi strzec własnego życia.

— Nie będzie rozmawiał z panem Hanem w mojej sprawie. Nie zrobi nic, co wywołałoby niezadowolenie Jasmine.

— Daj mi szansę. Zrozum, nie mamy teraz nic do stracenia \_ powiedziała.

— Widziałam go w bibliotece. Chodźmy tam po niego. .

Odparłam, że Głowa Lwa będzie się głupio czuł w mojej obecności, wobec tego zaproponowała, że schowam się za zasłonę w jej łóżku.

— Zdrzemnij się i zaciągnij zasłonę. Pamiętaj o butach, postaw je obok siebie.

W niebieskim wełnianym swetrze i czarnych dżinsach wsiadła na rower i pojechała. Jak żreback. Pełna energii i nadziei.

Łóżko Katherine pachniało egzotycznie. Czyste koce, złożone starannie.

Zawinęłam buty w żakiet i umieściłam pakunek w rogu. Byłam zmęczona. Miękką poduszką przyjemnie przylegała do głowy. Poruszyłam nią i wysunęła się spod niej książka. „Dobra ziemia”.

Usiłowałam czytać. Zanim przewróciłam drugą stronę, zapadłam w sen.

Usłyszałam głosy, szepty, męski i kobiecy.

— Wiem, że Zebra potrzebuje pomocy, ale ja też jej potrzebuję — powiedział mężczyzna.  
— Chcę wyjechać do Ameryki, nie zamierzam zostać w Chinach, żeby mnie ta suka zadęczyła na śmierć.”

To był głos Głowy Lwa. Obudziłam się, ale bałam się poruszyć. Przez zasłonę widziałam siedzącą przy stole Katherine i stojącego obok, bardzo blisko niej, Głowę Lwa.

Zapytała, czy nie mógłby porozmawiać z panem Hanem, żeby skierował mnie do jakiejś lepszej pracy, w innej miejscowości.

— Zrobiłem wszystko, co możliwe, żeby ci pomóc w odzyskaniu jego łask — powiedział. Przesunął krzesło bliżej Katherine i usiadł. Biorąc ją za rękę, rzekł: — Wyjdź za mnie, a pomogę Zebrze. Na pewno mi się uda.

Długa chwila ciszy. Wyglądało na to, że słowa Głowy Lwa nie dotarły do niej. Powtórzył jeszcze raz. — To nie pora na żarty — powiedziała Katherine. On na to, że wcale nie żartował.

— Dlaczego robisz z siebie idiotę? — zapytała.

— Najpierw muszę sam o siebie zadbać, a potem pomyślę, co mogę dla was zrobić — odparł.

Oto ujawniła się cała osobowość Głowy Lwa. Był hipokrytą spod znaku Zen. Mistrzem w korzystaniu z własnej mądrości. Wyjaśnił Katherine, że doskonałość filozofii Zen polega po prostu na tym, żeby być prawdziwym człowiekiem i zaspokajać potrzeby innych.

— O czym ty mówisz? — zapytała.

Pocierając palcem wskazującym róg stołu, powiedział, że nie spodziewa się po Katherine, iż dokona nagłego przeskoku od „społecznej świadomości” do „całkowitego, niedoścignionego przebudzenia”. Ludzie szukają, szukają, ale nic nie znajdują. Wreszcie rezygnują i odpowiedź przychodzi sama. Chińska filozofia zachęca do intuicyjnego doskonalenia się w każdym czynie, niech to będzie przypomnienie sobie nazwiska, które dawno umknęło z pamięci, lub zgłębianie najmědrszych zasad buddyzmu. Głowa Lwa osiągnął właśnie stopień największej w swoim życiu czystości. Rozważa problem wyjazdu na Zachód na dłuższy czas. Chiny to rynek rzeźników i mięsa. Jeśli ktoś nie nauczył się rzeźnictwa, będzie mielonym mięsem. Oto jak wygląda życie przeciętnego Chińczyka. Ale on, Głowa Lwa, nie jest przeciętnym Chińczykiem. Urodził się, by żyć w wolnym świecie. Nikt go nie powstrzyma. Tak czy owak osiągnie w końcu swój cel.

Partia go wykorzystywała, a teraz on się nauczył wykorzystywać partię.

Aby wydostać się z tego kraju, musi zawrzeć fikcyjne małżeństwo. Jeśli Katherine zgodzi się go poślubić, będzie się starał zaspokoić wszystkie jej potrzeby. Nie przejmuje się Jasmine ani panem Hanem, nic go nie obchodzi ich reakcja, dostał bowiem skierowanie i na wszelkie zmiany i poprawki jest już za późno, nawet jeśli niektóre postęпки Głowy Lwa wydadzą się panu Hanowi podejrzane. Z chwilą gdy Głowa Lwa osiągnie swój cel, rzuci w twarz panu Hanowi, że zamierza poślubić inną kobietę, nie jego córkę. Jeśli Katherine nie zgodzi się za niego wyjść, no to trudno, ale me będzie mógł nic dla niej zrobić.

Katherine była zmieszana, wręcz wstrząśnięta. Dotarło do niej wreszcie, że Głowa Lwa nie był człowiekiem, za jakiego go uważała. Jej amerykański punkt widzenia nie szedł w parze z jego chińską mentalnością, całkowicie różnym sposobem myślenia. Po chwili, zduszonym nieco głosem, powiedziała:

— Odmawiasz pomocy, to chciałeś powiedzieć? Jeśli nie wyjdę za ciebie, nie mam co na ciebie liczyć?

— Daj spokój, Katherine — rzekł z miłym uśmiechem. — Nie chcę ci sprawiać zawodu, nie zmuszaj mnie do tego. W końcu proszę cię tylko, byś zawarła ze mną fikcyjne małżeństwo. Chodzi o świstek papieru, dzięki któremu będę mógł opuścić ten kraj. Nic złego się za tym nie kryje.

Oboje przeżyliśmy to, na czym nam zależało. Nikt na tym nie ucierpiał.



— Żądasz ode mnie zbyt wiele, i dobrze o tym wiesz — powiedziała.

— Nie ma w tym nic strasznego — odparł. — Zważywszy na fakt, że jesteś zakochana w Chinach. Oboje coś przeżyliśmy, i nie mów, że była to tylko rozrywka. Uwielbiałem cię. I wciąż cię kocham. Małżeństwo ze mną nic cię nie będzie kosztować. Z chwilą gdy postawię stopę na amerykańskiej ziemi, wnosimy pozew o rozwód. Nie będę ci się długo naprzykrzał. I oboje dobrze na tym wyjdziemy.

Katherine wstała z miejsca i powiedziała dobitnie:

— Nie wykorzystuję ludzi i nie chcę być przez nich wykorzystywana.

Nigdy nie przypuszczałam, że mistrzowsko potrafisz manipulować chińską filozofią. Jawnie sprzeciwiając się konwencjom, wykorzystujesz filozofię Zen dla swoich własnych, destrukcyjnych celów. Ty, twoje ego, stałeś się moralnym środkiem ciężkości — nie ma to nic wspólnego z „niezależnym umysłem”. Jesteś pod stałą kontrolą... — urwała, by zaczerpnąć oddechu.

Ukryta za zasłoną słuchałam ze zdumieniem.

Głowa Lwa był również zdumiony, ale usiłował nie okazywać tego po sobie.

— Powiedziałem ci nagą prawdę — rzekł. — Jestem uczciwy. Nie przywdziewam szat świętego, choć wtedy łatwo mógłbym cię omamić.

Chcę po prostu ubić z tobą interes.

Katherine uniesioną dłonią wskazała mu drzwi.

— Żaden interes nie wchodzi w grę. Wynoś się.

Wstał i ruszył ku drzwiom. Raptem stanął i odwrócił się w jej stronę.

— Proszę cię, Katherine, rozważ moją propozycję. Zapomnij o chińskiej filozofii.

Potrząsnęła głową.

— Nie doprowadzaj mnie do ostateczności — powiedział.

Milczała.

Oświadczył, że zmusza go do podjęcia niebezpiecznych kroków.

— Co masz na myśli? — zapytała.

Władze szkolne wyślą jedną osobę na studia zagraniczne, na stypendium Narodów Zjednoczonych, powiedział. Ubiegają się o to synowie i córki wysokich dostojników partyjnych. Pan Han podejmie ostateczną decyzję.

Postępy w nauce nie mają tu znaczenia. Wygra ten, kto wkradnie się w jego łaski. Szczęście córki leży mu najbardziej na sercu. Ale nie może wysłać za granicę Jasmine, bo za bardzo rzucaloby się to w oczy; jest przecież sługą ludu. Zatem wykorzysta swoje prawo i wybierze kogoś, kto w przyszłości przysłuży się jego rodzinie.

— Okazja sama mi się pcha w ręce, anioł pomyślności wyraźnie mi sprzyja — ciągnął. — Dyrektor napomknął mi o tym, chcąc wypróbować moją lojalność.

Katherine szeroko otworzyła oczy ze zdziwienia.

Mówił dalej, dobrze udając smutek:

— Jeśli nie udzielisz mi pomocy, nie będę miał innego wyjścia. Mam padać przed nimi na kolana? Mam wdychać ich smrody i mówić, jaki piękny zapach? Jasmine to zepsuty bachor. Zniosła wiele bólu i upokorzeń, chcąc uczynić ze mnie swego męża. Sądzę jednak, że jej cierpliwość jest już na wyczerpaniu. Liczy na to, że podejmę wreszcie właściwą decyzję. Jeśli ty nie wyjdiesz za mnie za mąż, będę zmuszony powiedzieć jej: tak. — Patrzył na zieleniejące w oddali poletka ryżowe.

— Zrobię wszystko, żeby wydostać się z tego kraju, wszystko.

— A co potem? Porzucisz Jasmine? — zapytała. Skinął głową.

— Po prostu sprzedajesz się — powiedziała. — Nie mogę się nadziwić. Domyślam się, że słowa „miłość” i „współczucie” me istnieją w twoim słowniku.

— Już nie. Sprzedałem raz własne ciało, by wrócić ze wsi do miasta.

Teraz sprzedaję duszę w zamian za życie Co za różnica? W Ameryce rozpocznę życie od nowa Jestem gotów poświęcić wszystko, by spełniły się moje marzcnici.

— Przemyśl to sobie — powiedziała, cedząc słowa -Zebra jest twoją przyjaciółką i też dobrze ci życzy.

— Jeżeli tylko za mnie wyjdiesz...

— Wybierz to sobie z głowy. — Głos jej drżał — Porozmawiam z panem Hanem. Postaram się, żeby zmienił zdanie.

Roześmiał się ironicznie.

— Idź, dostaniesz nauczkę. Przekonasz się, jak smakuje dyktatura proletariatu. Życzę ci szczęścia.

Powiedziałam Katherine, żeby się nie wygłupiała. Nie chciała mnie słuchać. Oznajmiła mi, że nawet gdyby pan Han był Panem Bogiem, to i tak nie zrezygnowałaby z zamiaru porozmawiania z nim.

— Poradzę mu, żeby był rozsądny — rzekła. Potrząsnęłam głową z niedowierzaniem.

— Wasza amerykańska mentalność nie pasuje do naszej

— To nie jest kwestia amerykańskiej mentalności. Chodzi o humanitaryzm. A humanitaryzm obowiązuje wszędzie

— Pan Han nie darzy cię sympatią, czy ty tego nie widzisz?

— Dlaczego miałby mnie nie lubić? Nie jestem przecież taka ważna.

Zresztą nie ma powodu mnie nie lubić.

— Ma powód. Wywierasz na nas wpływ. To mu przeszkadza we władaniu nami. Dzięki tobie postrzegamy siebie jako odrębne jednostki.

Zrozumieliśmy, że nie chcemy, żeby partia za nas myślała. Możemy sami, na własne konto, podejmować decyzję. Zaczęliśmy zadawać pytania, kim jest ten człowiek

który ogłosił siebie sługą ludu. Zagrażasz jego imperium. I dlatego nienawidzi twojej odwagi, to chyba zrozumiałe.

— Czy nie widzisz, że twoje życie jest zagrożone?

— Taki już mój los, nie da się go zmienić.

— Nie! Nie wolno ci tak myśleć! Pomogę ci go zmienić. — Uklękła przede mną. Wyciągnęła ku mnie ramiona. — Spróbujmy, Zebra.

Podejmijmy walkę o twoją przyszłość. Nie można rezygnować.

Oparłam głowę na jej ramieniu i starałam się chłonąć jej siłę. Słyszałam bicie jej serca.

— A co będzie z tobą? — zapytałam. Uniosła mój podbródek, zajrzała mi w oczy.

— A co ma być?

— Jeśli pan Han zechce, przyklei ci etykietkę „osoby niepożądaney” i wyrzuci cię z Chin.

— Owszem, jest taka możliwość. I nie będę w stanie nic na to poradzić.

— Nie mogę cię narażać: musisz zaadoptować Małego Królika i skończyć książkę.

Wstała z kolan i usiadła obok mnie. Ujęła mnie za rękę i powiedziała, że jej książka mówi o losie chińskich kobiet. Włączywszy się w moje życie, będzie mogła zrozumieć dogłębnie problem i poznać prawdę.

— Nie przejmuj się Małym Królikiem. Adopcja jest już załatwiona. W ciągu tygodnia sierociniec przyśle mi oficjalne poświadczenie tego faktu.

Pan Han nie może mi tu w niczym zaszkodzić. Gdy będę już miała córkę, podejmę decyzję, czy zostać tu, czy wrócić do domu.

Zostałam u niej na noc. Gadałyśmy do późna. Zapytała mnie, czy się boję.

Odrzekłam, że tak, bo pan Han jest niczym Ru-Lai *Buddha*, którego ramię, gdy zechce, może rosnąć w nieskończoność. Może przykryć swą dłonią cały mój świat. A ja, głupia małpa, sądziłam, że te siedemset tysięcy monet zapewni mi uwolnienie spod kontroli Buddy, po to tylko, żeby się przekonać, że kolumna, którą obsikałam, była boskim palcem wskazującym.

Katherine oświadczyła, że nigdy w życiu nie była w takim podłym nastroju.

— Dziś wieczór czuję się Chinką. Chinką z krwi i kości.

Nazajutrz udała się do gabinetu dyrektora. Jej prośba o rozmowę została odrzucona. Funkcjonariusz o szczurzej twarzy oznajmił, że szefa nie ma, poza tym nikogo już w najbliższym czasie nie przyjmie.

— Kalendarz ma wypełniony i wcześniej niż za miesiąc nie ma co liczyć na rozmowę — oznajmił.

Po tygodniu znowu podjęła próbę. Tym razem paszłyśmy obie. Nigdy nie chodziłam do biura sekretarza partii, chyba że sam mnie wezwał.

— Nie ma dla pani czasu — powiedział funkcjonariusz.

— Nie szkodzi, poczekamy — rzekła Katherine i usiadła tuż przed drzwiami.

Funkcjonariusz uchylił drzwi i wślizgnął się do gabinetu dyrektora.

Zanim zamknął drzwi z drugiej strony, dostrzegłyśmy krawca, który mierzył długość ramienia pana Hana. Podśledzałyśmy rozmowę.

— Jak dostał się do pana brzucha? — zapytał krawiec.

— Nie wiem — odparł pan Han. — Jadłem kotlet wieprzowy; musiał wypaść i trafił do gardła.

— Boli to pana?

— Ani trochę.

— Kiedy się pan zorientował, że go nie ma?

— Po obiedzie. Szukałem wszędzie. Kazałem nawet

ludziom grzebać w śmieciach. Jak kamień w wodę. Poradzono mi, żebym poszedł do doktora, bo złoto może być bardzo niebezpieczne, nawet groźne dla życia.

— Prześwietlił się pan?

— Oczywiście.

— No i? Był w żołądku?

— Tak. Przy samym pępku. Widziałem prześwietlenie. Niech to szlag!

Mam przez to sraczkę.

— A gdzie on teraz jest? Wyszedł z pana?

— Nie, zniknął. Cholera jasna, zupełnie jak pojazd międzyplanetarny.

Radar nie potrafi go odnaleźć.

— A sprawdzał pan swoje gówno? Może już go pan wydalił? Spuścił w toalecie razem z wodą. Szkoda. To prawdziwe złoto, prawda?

— Sprawdzałem swoje gówno. Mówiąc szczerze, me korzystam już z publicznych toalet... Co takiego?

Dobiegł nas szmer głosu szczurogętego funkcjonariusza.

— Niech wejdzie — powiedział pan Han.

Szczurogęby otworzył drzwi i wykonał w naszą stronę zapraszający gest.

— O co chodzi, panno Katherine? — zapytał ciepłym tonem pan Han.

Katherine zrobiła krok do przodu i powiedziała, że nie chce zajmować cennego czasu pana Hana, ma tylko jedno pytanie.

Pan Han spojrzał na nas i poprosił o zajęcie miejsc. Choć jest potwornie zajęty, spróbuje dać jej odpowiedź.

— Dlaczego skierował pan Zebra do Słoniowych Pól? Przecież dobrze pan wie, że jej umiejętności na nic się tam nie przydadzą.

Pan Han wolno się obrócił, żeby krawiec mógł zmierzyć jego drugie ramię. Szył sobie garnitur na modłę zachodnią.

— Czy tylko o to chciała mnie pani zapytać?

— Tak.

— Na to pytanie nie ma odpowiedzi — stwierdził. — Jako Chinka Zebra rozumie, co znaczy posłuszeństwo wobec poleceń partii. — I zwrócił się do mnie z lodowatym uśmiechem: — Rozumiesz, prawda?

Milczałam.

— Ponadto — ciągnął — to nie jest tylko moja decyzja. Tak zdecydował Komitet Partyjny. Rozumie pani? Tkwi to w naszej tradycji, że jednostka podporządkowuje się potrzebom grupy.

— Ależ, szefie — zaczęła Katherine łagodnym tonem. — Oboje wiemy, o czym mowa. Pan tu rządzi. Przyszłość Zebry jest w pańskich rękach.

Oboje również wiemy, że pana córka nie lubi Zebry i nie podoba jej się, że ja i Zebra jesteśmy przyjaciółkami, no i dobrze. Ale pan jako przywódca jest zobowiązany do czystej gry. A wysłanie Zebry do Słoniowych Pól nie jest grą uczciwą.

Pan Han zmarszczył brwi. Odepchnął dłonią krawca i spojrzał Katherine prosto w oczy. Uśmiechnął się dziwnie, po czym rzekł:

— Wybaczam pani, panno Katherine, głupstwa, jakie pani wygaduje, ponieważ jest pani Amerykanką, ale nie wybaczam pani tego, że wprowadza pani zamęt w głowach studentów.

— Słusznie, jestem Amerykanką, lecz przede wszystkim jestem człowiekiem — powiedziała. — Ta sprawa mnie dotyczy. Nie życzę sobie, żeby moja studentka ponosiła karę za to, że w jakiś sposób przyszła mi z pomocą.

Pan Han wybuchnął głośnym śmiechem, który zdawał się nie mieć końca.

Katherine, krawiec i ja staliśmy jak słupy wbite w ziemię. Nagle śmiech umilkł i pan Han odezwał się w te słowa:

— Zachodnia propaganda zrobiła pani wodę z mózgu. Ma pani błędne pojęcie o tym, co ja robię jako sekretarz partii. Jestem ojcem Jasmine, ale proszę nie zapominać, że przede wszystkim jestem sługą ludu.

Skierowanie Zebry do Słoniowych Pól nie ma nic wspólnego z moimi prywatnymi odczuciami. Pojedzie tam, ponieważ w Słoniowych Polach potrzebna jest swojej ojczyźnie.

Katherine starała się zachować spokój. Wzięła głęboki oddech i zapytała:

— Czy nie miałby pan nic przeciwko temu, żeby podać naszą dzisiejszą rozmowę do wiadomości publicznej?

— Panno Katherine, byłem na tyle uprzejmy, że zgodziłem się na pani nie zapowiedzianą wizytę. A teraz wygląda na to, że pani mi grozi, tylko nie pojmuję czym.

— Puszczę wszystko w niepamięć, jeśli wycofa pan skierowanie Zebry.

Jeżeli natomiast stanie się inaczej, obawiam się, że będę zmuszona poinformować o tym fakcie amerykańską prasę i amerykańską dyplomację.

Pan Han uniósł lewe ramię, krawiec zaś podszedł do niego z muślinowym rękawem. Spinał materiał wzdłuż ramienia pana Hana.

Pan Han zamknął oczy, przechylił głowę do tyłu.

Katherine spojrzała na mnie ukradkiem.

Krawiec nachylił się, upinając spodnie pana Hana.

Pan Han otworzył oczy i uśmiech zawitał na jego ustach.

— Partia z radością przyjmuje pani krytyczne uwagi. Służenie pani pomocą wchodzi w zakres moich obowiązków — powiedział.

— Czy to oznacza, że wycofa pan skierowanie Zebry? — Katherine domagała się konkretów.

Pan Han przełknął głośno ślinę. Wyjął chustkę, wytarł nos. I znowu się roześmiał.

— Zorientuję się, czy komitet promocyjny zgodzi się przejrzeć ponownie listę kandydatów.

— Kiedy dowiemy się o wyniku narady? — zapytała Katherine.

— Jak tylko dojdziemy do tego punktu.

— A kiedy dojdziecie?

— Jest pani w Chinach dość długo, zatem doskonale pani wie, że nie pijemy w pośpiechu gorącej herbaty.

— Żądam tylko odpowiedzi.

— Powiedzmy, za dwa tygodnie.

— Za dwa tygodnie skierowanie Zebry do Słoniowych Pól zostanie wycofane, tak?

— Ojej! — Pan Han szturchnął gniewnie krawca, który ukłuł go szpilką.

Krawiec przeproszał go raz po raz.

— Czy mogę liczyć na pana słowo? — zapytała Katherine.

— Dowie się pani za dwa tygodnie, począwszy od dnia dzisiejszego.

Czułam, że coś złego wisi w powietrzu. Powiedziałam o tym Katherine po wyjściu z gabinetu pana Hana. Stroiła sobie żarty na temat mojego przeczulenia, lecz ja z uporem przestrzegałam ją przed zbliżającym się niebezpieczeństwem. Ona na to, że życie w ciągłym strachu to chroniczna choroba Chińczyków. Dodałam, że gdy pan Han wypowiadał ostatnie słowa, miał złe błyski w oczach. Roześmiała się, i odpowiedziała mi chińskim przysłowiem: „Człowiek raz pobity przez dziesięć lat będzie się lękał kija”.

W niedzielę, chcąc oderwać mnie od złych myśli, Katherine zaproponowała, żebyśmy pojechały do sierocińca i zabrały Małego Królika na piknik. Wsiadłyśmy do pociągu i przez cztery godziny, żeby o niczym nie myśleć, słuchałam z walkmana amerykańskich piosenek.

Katherine natomiast czytała

„Dobrą ziemię”.

Na widok Katherine Mały Królik podbiegła z wyciągniętymi ramionami.

Obie piszczwały ze szczęścia. Mały Królik zaczęła już wydawać dźwięki i obecnie wymawiała kilka słów.

Katherine powiedziała, że wszystkie dokumenty są już gotowe, więc niedługo opuści sierociniec. Do Małego Królika nie dotarła ta wiadomość, była zbyt podniecona widokiem Katherine. Wtuliła się w jej ramiona, przywarła buzią do jej piersi. Nazywała ją mamą. Katherine uniosła dziecko do góry i obie tańczyły walca. Oczy miała pełne łez.

Zjadłyśmy obiad w pobliskiej makaroniarni. Po obiedzie zaprowadziłyśmy Małego Królika do sierocińca. Obiecałyśmy, że za parę dni zabierzemy ją stąd na zawsze.

Gdy wróciłyśmy, dochodziła już jedenasta, i każda z nas poszła do swojego pokoju. Noc była wietrzna, wiatr hulał po ulicach. Przypomniał mi się fragment starego wiersza: „Nim z gór nadejdzie burza, wiew oddechu smoka przenika przez okna wieży!”.

W moim pokoju panował ziąb, zmarzłam nawet pod kilkoma kocami.

Zasnęłam dopiero o świcie.

Obudził mnie Jim. Otworzyłam drzwi i przeraziłam się: wyglądał jak pacjent szpitala dla obłąkanych. Ubrany był od pasa do łąsa. Powiedział, że musi ze mną porozmawiać, że bym wyszła na korytarz. Zrzuciłam coś na siebie i zamknęłam za sobą drzwi.

Korytarz był jeszcze pogrążony w mroku, blask świtu ledwo tu docierał.

Zapytałam go, o co chodzi.

— Zbliża się... tajfun — rzekł. Wyjrzałam przez okno.

— Jaki tajfun? — zapytałam.

— Nie, to nie to. To jest... — Gestami dał mi do zrozumienia, że rząd rozkazał milicji dokonać masowych aresztowań wśród podejrzanych o czyny przestępcze.

Typowa metoda partii demonstrującej swą siłę.

— Dlaczego tak cię to wzburzyło? — spytałam. Rozejrzał się nerwowo, czy nikt go nie podsłuchuje. Po czym powiedział mi, że Katherine znalazła się na rządowej liście osób przeznaczonych do aresztowania.

Byłam przekonana, że pan Han uknuł ten spisek. Dążył do tego, żeby Katherine wyrzuciono z Chin.

Zapytałam Jima, skąd się dowiedział o tej liście. Odparł, że jego przyjaciel współpracuje z milicją. Jim zwierzał się mu, że jest oczarowany Katherine. Zadałam mu pytanie, dlaczego ryzykował własne życie, zdradzając mi tajemnicę państwową.

— Wciąż szaleję za cudzoziemskim diabłem — powiedział. — I czuję się winny, że przeze mnie miała tyle kłopotów. Powierzyłem ci ten sekret, żeby mieć czyste sumienie.

— Kiedy nastąpią aresztowania? Nie był tego pewny.

Spytałam, czy pozwoli mi powiedzieć o tym Katherine, by mogła uciec na czas.

— Zrobisz to i tak, bez mojego pozwolenia. — Spojrzał na mnie i dodał spokojnym głosem: - Ale myśmy się dziś rano nie widzieli. Kiedy zobaczysz Katherine, pożegnaj ją ode mnie. Powiedz, że ją pozdrawiam.

Wsiadłam na rower i pojechałam co sił do chaty Katherine. Po dwudziestu minutach byłam na miejscu. Przed chatą zgromadził się tłum.

Nigdy w tej okolicy nie widziałam tylu ludzi Stali spokojnie. Trudno powiedzieć, ilu wśród nich było tajniaków. Postawiłam rower przy drodze i ruszyłam w stronę chaty. Zebrani zablokowali mi przejście. Na moje "przepraszam" nikt nie reagował. Spletli dłonie, tworząc łańcuch.

Ludzi wciąż przybywało. Wśród nich dostrzegłam paru moich kolegów.

Najwyraźniej wieść o aresztowaniu już się rozprzestrzeniła.



Parłam do przodu z całych sił. Przcisnęłam się przez ludzką barykadę i zajrzałam przez okno chaty. W dziwnym oświetleniu ujrzałam Katherine stojącą przed dwoma umundurowanymi milicjantami. Coś do niej mówili, a ona milczała. Pewno nie wiedziała, co ma powiedzieć. Jeden z milicjantów okazał jej identyfikator. Machając nim przed jej oczami oświadczył, że jest oficerem milicji.

Drugi milicjant przeszukiwał ją.

Oficer wyjął z kieszeni kartkę papieru i zaczął czytać na cały głos listę zarzutów. Jego kolega trzymał już w ręku kajdanki. Katherine broniła się, ale dwaj mężczyźni chwycili ją za ramiona i skuli kajdankami.

Wyprowadzono ją z chaty.

Wchłonął ich tłum. .

— Co ja takiego zrobiłam?! — wykrzyknęła Katherine.

— Złamała pani chińskie prawo — odparł oficer. Starłam się podejść do niej jak najbliżej. Odwróciła głowę i spostrzegła mnie.

— Zawiadom konsulat amerykański! — zawołała.

Zrozumiałam.

Patrzyłam, jak ładują ją do zaparkowanego obok czarnego milicyjnego samochodu.

Zauważyłam przemykającego wśród tłumu Jima. Udawał, że mnie nie widzi.

Gdy radiowóz odjechał, miejscowi milicjanci przystąpili do rewizji chaty.

Tłum przejawiał coraz większą nerwowość. Ludzie byli ciekawi, co też milicjanci tam znajdują.

Po piętnastu minutach opieczętowali chatę i odjechali. Szerzyły się plotki.

Cudzoziemski diabeł musiał popełnić jakieś straszne przestępstwo, skoro został potraktowany w ten sposób. Na twarzach niektórych malowało się współczucie.

Chciałam od razu pójść do konsulatu, wiedziałam jednak, że z chwilą gdy dotknę klamki, zostanę aresztowana jako zdrajczynie narodu. Oskarżą mnie, że usiłowałam sprzedać tajne informacje o Chinach. Nie było w tym nic niezwykłego.

Poszłam do rodziców i zamknęłam się w łazience. Całe dwie godziny pisałam list lewą ręką. Opisałam przebieg aresztowania Katherine i poprosiłam, by każdy, ktokolwiek go otrzyma, przekazał go konsulatowi amerykańskiemu.

Udałam się do hotelu „Garden” w poszukiwaniu zagranicznych turystów mówiących z amerykańskim akcentem. Wyszukałam wzrokiem kobietę w średnim wieku, która sprawiała wrażenie osoby o dobrym sercu, i podążyłam za nią. Wyszła z hotelu machając ręką, wzywała taksówkę.

Podeszłam do niej i powiedziałam tylko tyle:

— Bardzo panią proszę, niech pani pomoże pewnej Amerykance.

Wręczyłam jej list. Wsiadła do taksówki, a ja pojechałam za nią na rowerze. Wsiadła przed amerykańskim konsulem.

W szkole wszyscy mówili o aresztowaniu cudzoziemskiego diabła.

Wiadomości były sprzeczne — prawdy nie sposób było odróżnić od kłamstwa, nie miało to zresztą większego znaczenia. Aresztując Katherine, rząd chciał nam zamknąć usta, znana metoda. Musieli sobie jednak uświadomić, że przemocą nic nie wskórają, nie pokonają ludzkich umysłów. Pierwszą zasadą starożytnych cesarzy, jeśli chcieli zachować władzę, było okazywanie ludziom życzliwości.

Naród miał im być posłuszny, kierując się potrzebą serca, a nie wygłaszając puste słowa o głębokiej lojalności wobec władzy.

Następnego dnia zarządzono zebranie ogólne. W obwieszczeniu wezwano wszystkich do przyjścia. Idąc na owo zgromadzenie, widziałam zmierzających z różnych kierunków moich kolegów. Nieufność i lęk podzieliły nas. Byliśmy niczym kwadraty na szachownicy, każdy na swoim miejscu; wszyscy myśleli tylko o tym, jak w obliczu wroga ochronić własną skórę.

W środku hali stał duży stół, na którym umieszczono mikrofony, wokół rzędy ławek. Z sufitu zwisał olbrzymi proporzec z czerwono-czarnym napisem: WYMIECIEMY Z DOMU BURŻUAZYJNE ŚMIECI.

Za stołem pośrodku siedział pan Han. Ku mojemu zdziwieniu zobaczyłam obok niego Głowę Lwa. Zastanawiałam się, co też on tu robi.

Wyglądał inaczej niż zwykle. Jakby nie spał całą noc. Obgryzał paznokcie. Gdy pochylał głowę nad filiżanką herbaty, ramiona miał sztywno wyprostowane. Jasmine siedziała po jego prawej stronie i kreśliła coś długopisem w notatniku. Miała pewną siebie minę i tryskała wręcz energią. Patrzyła na drzwi, przyglądając się napływającym ludziom. Wszedł Jim i usiadł w odległym kącie. Miał na głowie wojskową zieloną czapkę, opadającą mu na oczy.

Zebranie rozpoczęło się punktualnie o dziesiątej. Wszystkie miejsca były zajęte.

Katherine weszła do hali w otoczeniu dwóch umundurowanych strażników. Jeden z nich zaprowadził ją uprzejmie do wolnego miejsca obok pana Hana.

Usiadła z właściwym sobie wdziękiem. Miała na sobie ciemnoniebieski sweter i dzinsy. Włosy wyglądały tak, jakby dopiero co je umyła i wysuszyła. Choć nie była umalowana usta, w zestawieniu z bladą cerą, wydawały się jaskrawoczerwone. Patrząc na nią, czułam głęboki podziw dla jej urody i opanowania. Mimo wszystko twarz jej jaśniała nadzieją.

Byłam zdenerwowana. Siedziałam z tyłu przy wejściu, ale w polu widzenia miałam Katherine. Obok mnie — Duży Li Mały Li i Mały Ptaszek. Staralam się, aby nikt nie zauważył mojego wzburzenia.

Okryłam się starą zieloną wojskową kurtką. Miałam dreszcze.

Obserwowałam Jasmine. Dostrzegłam jej skrzątnie skrywany uśmiech.

Można rzec, cieszyła się tym, co się stało. Obsługiwała gabinet tortur swego ojca.

Katherine zachowywała spokój, przynajmniej takie sprawiała wrażenie.

Jak gdyby czekała na rozpoczęcie przedstawienia. Z jej jasnych oczu promieniała niewinność.

Popelniła jednak poważny bład, zapomniała, że jest w Chinach. Była jak nowo narodzony cielaczek, który nie wie, że tygrys jest jego wrogiem.

Nie uświadamiała sobie, iż atak tygrysa jest groźny.

Pan Han uniósł się z miejsca i otworzył zebranie mówiąc że Komitet Partyjny chce podać do wiadomości publicznej pewną sprawę i oczekuje opinii szerokich mas.

Podsunał mikrofon Głowie Lwa.

Ten położył na stole niebieską płócienną torbę. Wyjął z niej kilka arkuszy papieru. Ręce mu drżały. Twarz pokryła się czerwienią, zsiniała i zszarzała. W końcu wyciągnął z torby jakieś pismo ilustrowane. Na jego okładce widniały prawie całkiem nagie zachodnie kobiety. U góry napis „Playboy”

Krew uderzyła mi do głowy. Znałam nazwę tego magazynu. Za czytanie go można trafić do więzienia.

Na widok Głowy Lwa wyjmującego z torby „Playboya” Katherine czuła się chyba tak, jakby połknęła robaka. Pomyślała zapewne, że bardzo nie w porę Głowa Lwa stroi sobie z niej żarty. Wpatrywała się w niego wzrokiem pełnym oburzenia.

Kiedy wrażenie osłabło, nastąpił kolejny szok. Tym samym powolnym ruchem Głowa Lwa wyjął plik fotografii. Nagie ciało Katherine sfotografowane przez niego, gdy pomalowała ją przed mającą się odbyć uroczystością. Gniew schwycił mnie za gardło.

Chciałabym pożreć Głowę Lwa, wypić krew z jego żył, wypruć mu wnętrzności. Nienawidziłam się za to, że za moją przyczyną wyrządził

Katherine taką krzywdę.

Tłum był wzburzony. Starsi ludzie spoglądali na Katherine z obrzydzeniem. Młodzi byli wyraźnie zainteresowani i sycili wzrok nieszczęściem cudzoziemskiego diabła. Mężczyźni wyciągali szyje, chłonąc oczami demonstrowane zdjęcia. Kobiety nie odrywały spojrzenia od fotografii, nie chcąc uronić żadnego szczegółu. Z zapartym tchem wpatrywały się w piersi w

kształcie jabłuszek, w szczupłe biodra przypominające smukły koński zad. Zachodnia wspaniałość wywoływała wschodnie zawstydzenie. Z oczu kobiet zniknął wyraz życzliwości.

Zawiść przerodziła się w złość. Umysły mas powlekała alkaliczna biel.

Pan Han wraz z Jasmine siedzieli spokojnie, obserwując reakcję zgromadzonych. Żadnego komentarza, nie padło ani słowo. Czekali na wybuch oburzenia.

Pamiętam, jak kiedyś Jasmine z dumą powiedziała mi o sztuce rządzenia swego ojca:

— Jakby trzymał w ręce pioruny i jeden po drugim wypuszczał z dłoni.

Pan Han pozwolił Głowie Lwa zabrać głos, poprosił go tylko, żeby się streszczał i nie mówił zbyt obrazowo, ponieważ należy zachować umiar.

Głowa Lwa zacisnął usta, po czym z trudem wykrztusił kilka niezrozumiałych słów. Powiewając nad głową magazynem i plikiem fotografii, oznajmił:

— Ona mnie uwiodła. — Wskazał palcem na Katherine. — Łączył nas nielegalny związek. Popisywała się wobec mnie różnymi pozycjami seksualnymi... — Urwał. Nic więcej nie powiedział. I nie było potrzeby. Pan Han miał zadowoloną minę. Orzekł, że to w zupełności wystarczy.

Nie sposób o tym wydarzeniu opowiedzieć bardziej dobitnie. Chiny nie życzą sobie być świadkiem takiego „zbezczeszczenia ducha”.

Pan Han oświadczył, że jeśli Katherine nie poda nazwiska osoby, pod której wpływem zachowywała się w ten sposób, to zostanie uznana za przestępcę, dojdzie do procesu, i niech Katherine nie liczy na łaskawość chińskiego wymiaru sprawiedliwości tylko dlatego, że jest Amerykanką.

Próbowali zmusić Katherine, by mnie zadenuncjowała. Spojrzałam na nią. Ona na mnie. Obie rozumiałyśmy, czego się od nas żąda. Wpadłam w panikę; miałam mętlik w głowie. Nie wiedziałam, o czym jeszcze Głowa Lwa ich poinformował. Nie wiedziałam, czego mam się spodziewać po Katherine. Może będą ją przesłuchiwać, upokarzać. Używają zazwyczaj zęb maoistowskiej techniki, polegającej na snuciu barwnych opowieści o nieludzkim systemie tortur; będą chcieli ją zastraszyć i wydobyć z niej to, co jest im potrzebne. Jest Amerykanką. Czy zniesie to wszystko? Skąd mogę mieć pewność, że nie postąpi wobec mnie tak, jak zachował się wobec niej Głowa Lwa?

W hali zapanowała martwa cisza, wyraźnie było słychać jak ludzie oddychają. Nagle w powietrzu zawibrował odgłos' kaszlu kogoś, kto siedział gdzieś w kącie.

Katherine uśmiechnęła się, najpierw do siebie, potem do mnie, potem do wszystkich w hali.

Siła tego uśmiechu podniosła mnie na duchu. Uwierzyłam, że nic jej nie złamie. Pan Han chrząknął głośno.

— Jak pani się domyśla, nie musi pani przez to wszystko przechodzić.

Jest pani naszym gościem, panno Katherine. Zakładamy, że pożyczyła pani ten magazyn, nie kierując się złymi intencjami. Pozowała pani do zdjęć, nie przypuszczając w swojej naiwności, do czego mogą być użyte.

Lecz musi nam pani powiedzieć, kto za tym stał. Sądzymy, że była pani pod wpływem kogoś, kto mienił się pani przyjacielem. Proszę podać nazwisko.

— Przykro mi, ale nikt taki nie istnieje — odparła.

— Zamierza pani dokończyć swą pracę o chińskich kobietach? — zapytał pan Han.

— Nie ma to chyba nic wspólnego z moją sprawą — powiedziała Katherine.

— Ma bardzo wiele wspólnego. Dla Chinki moralność jest rzeczą najcenniejszą. Nie będziemy tolerować kogoś, kto podważa nasze moralne wartości, kto chce je wytrzebić. Nie dopuścimy do tego, by czyjś zły wpływ zatruwał umysły naszej młodzieży. — Spreparowana akcja.

— Niestety, nie dała nam pani wyboru. — Pan Han wstał, zwrócił się do ludzi, wypuszczając z dłoni swój ostatni piorun. Głos miał dźwięczny, czysty. — Jako reprezentant Komitetu Partyjnego oświadczam niniejszym, że ta kobieta nie będzie więcej uczyła w naszej szkole.

Splugawiła jej dobre imię, rozprawdając zachodnie pisma pornograficzne, pozując nago do fotografii, co obraża naszą tradycyjną moralność. Jej materiał badawczy zostanie skonfiskowany, żeby wiedziała na przyszłość, że nie wolno czynić zła naszemu krajowi. A sierota...

Katherine zerwała się na równe nogi.

— Zmieniła pani swoje stanowisko? — zapytał pan Han. Potrząsając przecząco głową, odparła powoli:

— Nie.

Łzy napłynęły jej do oczu; usiadła.

Pan Han oznajmił jej, że poświadczenie adopcji zostało anulowane.

Polecił, aby w ciągu dziesięciu dni opuściła kraj. Bez prawa powrotu.

Krople deszczu stuknęły o liście. Wychodzący z hali ludzie trzymali nad głowami gazety. Dla mojego narodu owo wydarzenie było jednym z wieluset, jakich byli świadkami. Poza deszczem nic już ich teraz nie obchodziło. Każdy ma własne życie i własne kłopoty. Jeśli

Katherine nie przysporzyła im żadnych materialnych korzyści, to co ich ona obchodzi? typowe podejście człowieka po doświadczeniach rewolucji kulturalnej.

Wygłupiła się i przyjechała do Chin. Tak czy owak świat się dla niej nie kończy, mówili między sobą. Wróci do Ameryki i obudzi się z tego koszmarne snu, będzie szczęśliwa, że jeszcze żyje po tym wszystkim.

Zatem jaką krzywdę uczynił jej sekretarz? Dziecko? Może żyć bez dziecka. Ale sierota wskutek tej całej sprawy nie będzie miała łatwego życia.

Trzymałam jak wszyscy gazetę nad głową i czułam się martwa.

Z konsulatu amerykańskiego przyszło oświadczenie potwierdzające prawa Katherine jako Amerykanki, tylko że przyszło za późno. Zaraz po zebraniu została zwolniona. „Nic jej się złego nie stanie” — odpisały konsulатовi władze szkolne.

Odebrano mi ją. Jak ja będę bez niej żyć?

Nie miałam siły na nią spojrzeć. Gdy wstała z miejsca, wybiegłam z hali.

Nie byłabym w stanie powiedzieć jej do widzenia. Lęk mnie sparaliżował. Dziesięć dni.

Pamiętam długi list brata mojego dziadka, mającego wówczas siedemdziesiąt trzy lata, w którym oznajmiał rodzinie, że został przyjęty do partii komunistycznej. Był niesamowicie szczęśliwy. Może już umrzeć w spokoju. Największy błąd w jego życiu, pisał, to że w odpowiednim czasie nie został kandydatem. To było źródło wszystkich jego nieszczęść. Przecierpiał sporo za popełnienie takiego błędu; obecnie zawarł pokój z samym sobą.

Nie wiedziałam, co myśleć o tym liście. Bardzo mnie zasmucił. Dziadek był niczym czosnek doprawiony gorzycą lęku. Potem już nie przypominał czosnku; stracił osobowość. Partyjna machina przemełła go.

A najsmutniejsze w tym wszystkim było to, że czułam się z tym szczęśliwy.

Kim jest teraz? Czy to ten sam wujeczny dziadek, który pisał wiersze sławiące wspaniałą moc świeżych lilii w Tybecie? W moich oczach stał się kłownem tańczącym w czasie świąt, by przypodobać się swemu panu.

To smutna historia, lecz ludzie, którzy to przeżywają, me czują na ogół smutku.

Cierpiałam z powodu Katherine. Ale nigdy nie stanę się moim wujecznym dziadkiem. Nigdy nie pozwolę jej odejść.

Wieczorem pomagałam matce szyć koce na zimę w Słoniowych Polach.

Siedziałyśmy naprzeciwko siebie na łóżku i szyłyśmy całymi godzinami.

Matka pochłonięta była pracą. Jej ręce poruszały się powoli, ale pewnie.

Staralam się ze wszystkich sił robić równe szwy, lecz palce odmawiały mi posłuszeństwa. Czułam wzbierającą we mnie wściekłość, rozsadzała mnie od środka. A serce waliło mi,

jakby miało pęknąć lada chwila.- Westchnęłam głęboko. Matka uniosła głowę i spojrzała na mnie sponad grubych szkieł okularów. Wpatrywała się we mnie nieruchomym wzrokiem. Byłam już spokojna, oczy miałam utkwione w robocie. Matka znowu powróciła do szycia.

Patrzyłam, jak spod moich palców wychodzą kręte ścieżki, zupełnie jak ślady wędrowni ślimaka, i pomyślałam sobie, jak bardzo jest do nich podobna linia mojego złamanego życia.

Głowa Lwa uszczęśliwił wreszcie Jasmine. Należał do niej. Przestał rozprawiać o filozofii Zen. Uległ gwałtownej, rewolucyjnej przemianie.

Pogodził się ze sobą. On, znawca, nie czuł się już znawcą niezależnym; nie był już oderwanym od życia indywidualistą. A życie stało się absurdem. Mówił, że widzi teraz wszystko w oślepiająco jasnym świetle.

Jego pogląd na konkretny fakt nie różnił się niczym od oceny właściwej totalitaryzmowi, czego był świadom. Powiedział, że zdusił w sobie wszelkie uczucia.

Trzy dni po sławetnym zebraniu, na którym los Katherine został przypieczętowany, imię Głowy Lwa znalazło się na tablicy ogłoszeń, na której wywieszano biuletyny; on właśnie, dobry towarzysz, ma jechać do Ameryki jako stypendysta Narodów Zjednoczonych. Takiego dokonano wyboru. Jego imię zdobiły wycinanki z czerwonego karbowanego papieru. Głowa Lwa uśmiechał się promiennie z fotografii do zgromadzonych przed tablicą kolegów. Pod fotografią widniał napis:

„Gratulacje, Towarzyszu Niebiański Lwie, dumo naszych abiturientów!”.

Głowa Lwa i Jasmine, trzymając się za ręce, zjawili się w akademiku.

Byli zaręczeni. Jasmine z trudem nad sobą panowała. Przyssała się do Głowy Lwa jak pijawka. Miała na sobie przylegającą do ciała nylonową bluzkę w czerwono-białą szachownicę i zieloną spódnicę przed kolana. Na nogach brązowe plastikowe modne buty. Dzień był słoneczny, więc trzymała nad głową czarną parasolkę. Od czasu do czasu Jasmine opuszczała parasolkę, by przytulić twarz do twarzy ukochanego. .

Ciekawe, co też sobie Głowa Lwa umyślił. Nieważne nie moja sprawa.

Tak, Jasmine żyje uludą miłości. Głowa Lwa osiągnął cel. Nie było mi jej żal. Jedno warte drugiego.

Poszłam z ojcem odwiedzić moją dziewięćdziesięcio-letnią cioteczną babcię. Zdaniem ojca, kolejnej naszej wizyty może już nie doczekać.

Cioteczna babcia mieszkała na ostatnim piętrze trzypiętrowego domu.

Klatka schodowa była wąska i ciemna. Potykaliśmy się o własne nogi.

Cioteczna babcia miała mały pokój przylegający do słonecznej werandy.

Była tak zagorzała miłośniczką kwiatów, że zamieniła werandę w ogród.

Lubiłam zawsze ją odwiedzać, popatrzeć na kwitnące kwiaty, ale teraz już ich nie było. Gliniane doniczki albo rozbite, albo poniewierające się smętnie na betonie. Kraty z bambusu odchyliły się od ceglanego murku.

Wiatr powiewał suchymi liśćmi bluszczu.

Ciotka Złoty Księżyc i ciotka Srebrny Księżyc, córki mojej ciotecznej babci, powitały nas w progu.

— Pamiętaj, mów głośno - powiedział ojciec, kłaniając się swoim kuzynkom.

— Nie ma to już żadnego znaczenia — rzekła Srebrny Księżyc — Matka ledwo słyszy i ledwo widzi.

Nie dostrzegłam w pokoju ciotecznej babci. Zapytałam, gdzie się podziewa. Ciotka Złoty Księżyc wskazała na górę koców. Obejrzałam się i doznałam wstrząsu: cioteczna babcia skurczyła się do rozmiarów małego dziecka.

Zapytałam, jak babcia spędza czas, czy wie, że śmierć puka do jej drzwi?

Czy się boi? Czy może ma już dosyć tego świata? Czy mówi o życiu po śmierci? Ojciec kazał mi przestać, żebym nie zadawała takich *hu-ji-li* pytań, które kuszą zły los, lecz ja nie mogłam się powstrzymać.

Ciotka Srebrny Księżyc powiedziała z uśmiechem, że jej zdaniem babcia ma się całkiem dobrze. Nie wstaje z łóżka.

— Bawi się w łóżku, mamrocze coś pod nosem, śpiewa piosenki zapamiętane z dzieciństwa. Załatwia się w pieluszki i bardzo nie lubi, kiedy się ją myje.

— Zobacz, jak się teraz bawi — powiedziała ciotka Złoty Księżyc, przysuwając krzesło do łóżka. Kazała mi na nim usiąść.

— Babciu! — krzyknęłam.

Żadnej odpowiedzi. Ciotka Złoty Księżyc rozsunęła zasłony. Wydawało się, że blask światła obudził to małe stworzenie. Leżała skulona jak robaczek. Dwie córki pieściły, tuliły matkę, a ona chichotała, nie otwierając oczu i wymachiwała szponias-tymi rękami. Ojciec włożył jej pod plecy kilka poduszek, ciotka Srebrny Księżyc podsunęła pudełko cukierków.

Cioteczna babcia wzięła cukierek i podała mi z uroczystą miną. Zanim zdążyłam odwinąć papiera, ciotka Złoty Księżyc wyrwała mi go.

Szepnęła, że babcia odwija każdy cukierek i liże.

— Bawi się w ten sposób — powiedziała. — Odwija cukierek, possie trochę i z powrotem go zawija. I tak bez końca. Lubi wszystkiego spróbować, jak małe dziecko. Nie pozwala



nikomu dotykać pudełka z cukierkami. Słodczyce to jedyna rzecz, o którą po przebudzeniu się nie zapomina zapytać.

Ojciec z kuzynkami poszli do kuchni, a ja siedziałam przy babci, żywej mumii. Obserwowałam, jak próbuje każdego cukierka, a potem kładzie go z powrotem do pudełka. Co dla tego nieszczęsnego stworzenia znaczy życie? Zazdrościłam ciotecznej babci demencji starczej. Nie wie, co to zmartwienia, co to rozpacz. Życie bez bólu. Takie odchodzenie ze świata to chyba najlepsza rzecz, jaką Bóg obdarował człowieka.

Z drzewa mojej duszy opadły liście. Potrafiłam tylko leżeć i cierpieć.

Pozwalałam, by martwe liście szeleściły na mojej lodowatej twarzy. Z dała docierał do mnie smutny śpiew liści, strącanych przez bezlitosny wiatr.

Dwa dni przed wyjazdem Katherine, po południu, dostałam od niej list.

Ręce mi drżały, gdy listonosz mi go wręczał.

W kopercie znajdowała się kartka, a na niej wiersz napisany czarnym atramentem:

*Pojawiłaś się bezbronna niczym pączek w zimie na wierzbie, który pragnie wypełnić przesłanie natury.*

*Pojmujesz, czym jest walka?*

*Byłaś świadoma sił,*

*które chciały cię unicestwić?*

*Wbrew nieopanowanej furii stałaś się pięknym posągiem, którego ramię, niczym gałąź drzewa, przyjmuje z*

*radością lekki wiatr, także mróz.*

*Moja opancerzona bogini, Kocham cię.*

W postscriptum prosiła mnie, żebym do niej przysła w przeddzień wyjazdu z Chin. Chce się pożegnać, poza tym potrzebuje mojej życzliwości i powie mi, co dla niej znaczyło nasze spotkanie.

Pod adresem, jaki mi podała, znalazłam budynek z murowaną fasadą, tuż obok bazaru z żywnością, w południowej części miasta. Za tym budynkiem wznosiły się po obu stronach walące się domy mieszkalne.

Zaułek ponury, mroczny. Śmierdziało kurzym łajnem. Płacz dzieci.

Odgłos, jakby ktoś szorował nocnik. Gdy skręciłam w ścieżkę, walnęłam głową w wiszący wyżej aluminiowy garnek. Poczulałam na twarzy mokre ręczniki. Niemal się potknęłam o dymiący piec. Z przeciwległego okna dobiegł mnie duszący kaszel jakiejś starszej pani. Gdy kaszel ustąpił, usłyszałam te oto słowa:

— Zaciskasz rzemień na wiszącym dachu! Po coś tu przysła? Słyszysz mnie?

Na ulicy wrzeszczały dzieci. Matka dawała klapsa dziecku. Nazywała go kwaszonym ogórkiem i groziła, że przełamie go na pół. Raptem tuż przede mną upadła miotła. Dziecko przebiegło obok i trzasnęło drzwiami wąskiej klatki schodowej.

Weszłam na podwórko i wpadłam na goniącą chłopca matkę. — Kim pani jest? — zapytała zagniewana.

— Szukam pokoju numer dziesięć.

Wskazała palcem w górę i powiedziała, że numer dziesięć jest na poddaszu. Pobiegła za chłopcem.

Zanim zdążyłam zapukać, drzwi otworzyły się, skrzypiąc, i ujrzałam twarz Katherine. Kazała mi szybko wejść i starannie zamknęła za mną drzwi.

— Jim wynajął mi ten pokój — wyjaśniła. — Należał do jego wujka.

Mniej więcej przed miesiącem wujek zmarł i rząd do tej pory nie położył łapy na tym pokoju.

Światło dzienne przedostawało się przez połamane żaluzje. Ani jednego mebla. Katherine usiadła na podłodze. Wskazała gestem dłoni, bym usiadła obok.

— Wszystko w porządku? — zapytała. Skinęłam głową. Głos odmówił mi posłuszeństwa.

— Potrzebuję twojej pomocy. — Była bardzo wzburzona. Znowu skinęłam głową.

— Proszę cię, pomóż Małemu Królikowi, gdy mnie już tu nie będzie. To wszystkie pieniądze, jakie mam. Tysiąc dolarów. Chciałabym, żebyś ją adoptowała, przekup władze, jeśli okaże się to konieczne. Większą sumę prześlę ci przez Jima. Pozwolił nam korzystać ze swojej skrzynki pocztowej. Wymieni dolary na chińską walutę i przekaże ci. Zrobisz to dla mnie?

W jej oczach błyszczały łzy. Chciałabym jej powiedzieć, że zrobiłabym dla niej wszystko. Wzięłam pieniądze i włożyłam je do wewnętrznej kieszeni.

Chwyła moje dłonie i ukryła w nich twarz. Rękawy zwilgotniały mi od jej łez. Pochyliłam się, objęłam ją. Potem spojrzałam jej prosto w twarz.

Przypomniałam sobie chwilę, gdy zobaczyłam ją po raz pierwszy.

Uśmiechnęła się. Zapytałam, kiedy odlatuje.

- Jutro wczesnym rankiem — odparła. Mówiła głosem martwym, wypranym z emocji. - Nie mieści mi się w głowie, że nie będę mogła wrócić do Chin. Miałaś rację, okazałam się naiwna.

Milczałyśmy. Słońce powoli zmierzało ku zachodowi. Z dołu dobiegały odgłosy bazaru. Rozpoczął się już popołudniowy handel. Ludzie krzyczeli, kłócili się o miejsce w kolejce. Sprzedawca wymyślał im od świńskich mózgow. Słyszałam pobrzękiwanie blaszanej wagi.

Jaki obraz Chin pozostanie jej w pamięci? \_ Opowiedz mi o Słoniowych Polach - powiedziała. — Zdaję sobie sprawę, że będzie ci tam bardzo ciężko. Wstyd mi, że w niczym nie mogę ci pomóc. Ale spróbuję.

Musimy, koniecznie, za wszelką cenę, być w kontakcie.

Skinęłam głową i zapytałam, kiedy mamy opuścić ten pokój i czy będzie miała czas zjeść ze mną obiad. Za piętnaście minut musi się stąd wynieść.

Musi pójść do biblioteki, zdążyć przed jej zamknięciem, i zwrócić książki. Uświadomiłam sobie, że jest to moja ostatnia szansa, ostatnie z nią spotkanie.

— Dziękuję — powiedziała.

— Bardzo proszę — wyrwało mi się. Obie nie znajdowałyśmy słów.

— Dzięki za to, kim byłaś dla mnie. za wszystko... Na próżno próbowała się uśmiechnąć. Westchnęła i odwróciła głowę. Patrzyłam w jej przepiękne rysie oczy. Czułam, jak z minuty na minutę coraz bardziej zapadała mi w pamięć

Przyptyw rozpacz. Co też się ze mną stanie w tych Słoniowych Polach? Kto tam jeszcze został z dawnych czasów mojej nieszczęsnej przeszłości? Nie wiadomo, czy pozwolą mi na korespondencję z Katherine. Nie mogę jej o tym powiedzieć. Nie mogę pozbawić jej nadziei. Mały Królik jest jej dzieckiem. Muszę w niej tę nadzieję podsycać.

Katherine nie była już gościem z Ameryki. Prowadziła życie takie jak Chińczycy; nie trwało długo to nasze wspólne życie, ale było bardzo intensywne. Dowiedziała się o Chinach wszystkiego, czego chciała, lecz jednej rzeczy nigdy by nie zrozumiała, a mianowicie tego, że mój duch przestał istnieć — tu, w tym momencie. Słyszałam, jak szatan stuka do drzwi mego serca, zapraszając mnie gościnnie do piekła.

— Zatańcz ze mną — powiedziała, wyjmując z torebki małą kasetę. — Ściszymy odbiór.

Nie czekając na odpowiedź, ujęła mnie za rękę. Mocno.

Muzyka była tak cicha, że słyszałam skrzypienie podłogi pod naszymi stopami. Na ścianach poruszały się nasze cienie. Oparłam głowę o jej ramię. Czułam jej oddech na policzku. Chciałam jej powiedzieć, że zakochałam się w niej od pierwszego wejrzenia, że nie wyobrażam sobie bez niej życia.

Jak gdyby wyczuwając to, przytuliła mnie mocno do piersi, a ja nie mogłam wypowiedzieć słowa. Oczy miała zamknięte, włosy pachniały jak świeże kwiaty. Gładziła opuszkami palców moją twarz. Ja również zamknęłam oczy, wsłuchując się w rytm jej ciała.

— Zabiorę cię ze sobą — szepnęła. — Zabiorę cię stąd. Otworzyłam oczy.

Łzy spływały jej po policzkach.

Tuliłam się do niej, pragnęłam jej bliskości, miłości, ciała, głosu. Żegnaj, moja Ameryko.

Jako „wypożyczonego robotnika” zwrócono mnie z wszelkimi honorami Słoniowym Polom.

Po promocji pan Han nie raczył ze mną zamienić ani słowa.

Powiadomienie o moim wyjeździe przyklepiono na drzwiach mieszkania rodziców. Był na nim ostateczny termin wyjazdu i czerwona pieczętka partii. Poczulałam się jak zamknięty w trumnie szkielet. Pan Han pozbył się mnie jak kurzu z mebli. Moja rodzina mogła tylko płakać nade mną.

Matka wydała wszystkie swoje oszczędności na mięso i warzywa, jak gdyby każdy posiłek w domu miał być ostatnim w moim życiu. Gotowała przyprawione pikantnie mięso i puree fasolowe, zamykała hermetycznie w słojach, żebym mogła wziąć je ze sobą. Ojciec uprażył mąkę i wsypał ją do woreczków — po zalaniu gorącą wodą powstaje coś w rodzaju puddingu. Rodzice pracowali w milczeniu, przygotowując w ten sposób siebie i mnie do rychłego rozstania.

Koledzy i sąsiedzi nie wypowiadali się na temat mojego zesłania. Typowa chińska obojętność. „Odgarnij śnieg ze swego podwórka i nie zwracaj uwagi na pokryte szadzią dachy sąsiadów”.

Przekonana, że to walka z wiatrakami, napisałam listy do pana Hana i Komitetu Partyjnego, domagając się przyzwoitego potraktowania.

Utonęły jak kamień w wodzie — nie otrzymałam żadnej odpowiedzi. Byłam jak modliszka, usiłująca nóżkami zatrzymać pojazd. Byłam zerem, nikim, tonęłam w oceanie miliarda ludzi. Bez twarzy, bez głosu.

Autobus, pociąg, pociąg, znowu autobus, całe dni i noce przez góry i rzeki środkowych Chin — podróż do piekła. Kiedy w końcu traktor dowiózł mnie do Słoniowych Pól, opuściły mnie wszystkie siły. Przez dłuższą chwilę nie mogłam ruszyć ani ręką, ani nogą. Byłam jak sparaliżowana, chłód zmroził mi krew w żyłach. Źrenice mi się rozszerzyły, prawie nic nie widziałam, ciało miałam odrętwiałe. Leżałam na brzuchu, oddychając płytko i urywanie.

Słoniowe Pola nic się nie zmieniły, „ucho słonia” widniało w oddali jak olbrzymia skała na tle nieba. Bezmierny, szary krajobraz przemienił mnie niemal w mrówkę, czulałam się jak mrówka. Oczy miałam suche, ani jednej łzy. Uciec z piekła po to, by do niego powrócić — rozpacz klęski. Siłą woli stanęłam na nogach i ruszyłam przed siebie.

Pod wieczór zarejestrowano mnie w biurze sekretarza partii — drewniany dom, w którym słycać było wycie wiatru. Sekretarz powiedział, że mam już przydział pracy. Był to starszy, sześćdziesięcioletni mężczyzna, nazywał się Lao Guener — Stara Drewniana Laska. Jego maoistowska kurtka była upstrzona różnokolorowymi łatkami. Oznajmił mi, że otrzymał moje dossier z Komitetu Partyjnego w Szanghaju i wie, kim jestem. Jeśli nie mam nic więcej do powiedzenia, to przydzielili mnie zaraz do namiotu, w którym mieszkają już dwie robotnice. Zapytałam, czy w tym dossier powypisywano o mnie straszne rzeczy, bo chciałabym wiedzieć, co powinnam „mieć do powiedzenia”. On na to, że nie może mi udzielić takiej informacji — byłoby to wbrew prawu partii.

— Przeszłość się nie liczy, tak nas nauczał przewodniczący Mao — rzekł

Lao Guener, jego oddech śmierdział tytoniem. — Ważne jest to, jak teraz będziesz się zachowywała.

Każdy ma oczy. Wierzę swoim oczom. Tak więc, moim zdaniem, nie powinnaś się przejmować tym, co o tobie napisano.

Gdy prowadził mnie do namiotu, zapytałam o kilkoro moich byłych towarzyszy pracy. Odparł, że gdy w 1980 roku zmieniła się polityka Komitetu Centralnego, całej miejskiej młodzieży pozwolono wrócić do domów. W ciągu nocy tysiące ludzi spakowało się i wyjechało skoro świt.

Obecnie pracują tu tylko tutejsi wieśniacy oraz ci spośród młodych, którzy zawarli z miejscowymi małżeństwo i mają dzieci, bo tym dzieciom nie wolno wyjechać do miast. Zostali również byli kryminaliści, bo wstydzili się wrócić na łono rodziny. Słoniowe Pola traktowano jako obóz resocjalizacji.

— Wiele tu dokonaliśmy — powiedział z dumą. — Popatrz na to miasto namiotów. Przypominają mi się czasy, kiedy służyłem w Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej. Dzięki temu rewizjoniści nigdy nie zdołają zniszczyć ducha proletariatu.

Rozpakowując się, poczułam smród dynamitu. Moje współmieszkanek były tutejszymi wieśniaczkami. Analfabetki, mówiły dialektem zupełnie dla mnie niezrozumiałym. Patrzyłyśmy na siebie niespokojnie, jak ptaki.

Pokazały mi najbliższą ścieżkę do źródła.

Wyłączyłam wszystkie swoje zmysły i pracowałam jak maszyna.

Spałyśmy w jednym ze stojących w rzędzie namiotów i szłyśmy do pracy tam, gdzie byłśmy potrzebne. Robotnicy śpiewali: „Niebo jest naszym przykryciem, a naszym łóżkiem skalista ziemia”. Szłam do pracy przystrojona gwiazdami, a gdy wracałam, niosłam nad głową księżyc.

Po pierwszym tygodniu rozboleły mnie wszystkie mięśnie. Bolały mnie piersi, gdy kaszlałam lub załatwiałam się. Pięćdziesięciofuntowy młot znów był moim jedynym towarzyszem.

Szukałam śladów lat, jakie tu spędziłam. Rzeka, na której brzegu przeżyłam poronienie, wyschła. Krzewów też nie było. Tylko niebo było takie samo, szare jak skóra trupa.

Topiliśmy lód, żeby móc coś ugotować. O prysznicu nie było mowy.

Skóra mi się łuszczyła —jak skóra zwierzęcia na pustyni. Gdy plecy mnie swędziały, ocierałam się o ścianę, jak niedźwiedź.

Zarabiałam miesięcznie pięćdziesiąt funtów, z czego dwadzieścia pięć wysyłałam do pewnej wiejskiej kobiety, która opiekowała się Małym Królikiem. Mieszkała dwadzieścia mil ode mnie.

Zastosowałam różne sztuczki, żeby wyciągnąć Małego Królika z sierocińca. Nie wątpiłam, że po wyjeździe Katherine pana Hana nie będzie obchodziło, co się stanie z dzieckiem, nie ruszy palcem w bucie w jego sprawie. Spreparowałam dokumenty, które przekonały kierowniczkę sierocińca, że sprawa przeciwko Katherine była aktem zemsty, i napelniłam jej kieszenie pieniędzmi.

— Nie, nie mogę przyjąć od pani pieniędzy — wzbraniała się.

— A co pani powie o dotacji? Skinęła z wahaniem głową.

— Proszę więc traktować te dwieście juanów jako dotację.

Pozwolono mi zabrać Małego Królika z sierocińca. Zapytałam kierowniczkę, co się stało z poświadczeniem adopcji, które było już przygotowane dla Katherine. Odparła, że nie wie, co zrobić z tym dokumentem, ale nie ma pewności, czy powinna mi go dać. Zapewniłam, że po prostu chcę mieć ten świstek i nigdy nikomu go nie pokażę.

— Ma pani bardzo ładny zegarek — powiedziała. Zdjęłam go z ręki.

— Proszę, należy do pani.

Znowu krygowała się, że nie może przyjąć tego zegarka, i znowu nazwałam ów akt dotacją. Wzięła zegarek i wręczyła mi dokument.

Moje życie było puste, tak jak dawniej. W ciągu dnia pracowałam z dynamitem. Wieczorem przegrywałam taśmy, które zostawiła mi Katherine. Jej wiersz trzymałam pod poduszką. Choć usiłowałam żyć zgodnie z jej wyobrażeniem o „bogini w pancerzu”, nie zawsze mi się to udawało. Nie wierzyłam, że jeśli bardzo czegoś chcę, potrafię odmienić własne życie. Myślałam często o Katherine, jak też jej się wiedzie w Ameryce. Wyobrażałam sobie ją w samochodzie i zastanawiałam się, jakie to uczucie, kiedy się prowadzi własny samochód.

Dręczyły mnie koszmary senne; do najbardziej męczących należał ten, że Katherine zapomniała o nas. Budziłam się porażona myślą: w końcu ona jest cudzoziemką, ma własne życie, własne troski. Może adoptowała dzieci z innych krajów albo wyszła za mąż i sama urodzi dziecko.

Minęły trzy miesiące, a ja miałam uczucie, że minęło trzydzieści lat. Brak nadziei zatruwa człowieka. Pewnego razu gotowałam wodę na piecyku gazolinowym przed moim namiotem. Wiatr zmienił nagle kierunek i namiot stanął w płomieniach. Moje współmieszkanki powiedziały mi potem, że stałam spokojnie i przyglądałam się, jak ogień pożera namiot.

Byłam wstrząśnięta tym faktem. Gdyby nie one, patrzyłabym obojętnie do końca pożaru. Wiem, że tak by było. Nic bym nie zrobiła, żeby ugasić płomienie. Moim jedynym lekarstwem, ratunkiem dla mego stanu psychicznego był

Mały Królik. Rosła jak na drożdżach i miała dwa warkoczyki. Jej wiejska opiekunka, wraz z całą rodziną, była dla niej nadzwyczaj dobra. Niania, bo tak ją można nazwać, starała się zmienić złe nawyki dziewczynki, jakich nabyła w sierocińcu: na przykład załatwiała się gdzie popadło.

Zdumiało mnie, kiedy usłyszałam, że mówi jak normalny człowiek, nie niemowa. Dzięki Katherine stał się cud. Powiedziała kiedyś, że jak dorośnie, chce wyglądać tak jak Katherine.

— Będę bardzo dużo jeść, żeby mieć taką dużą *pegue* jak moja mama, albo nawet większą — powiedziała z całą powagą, pokazując rączkami na pupę. Miała również bujną wyobraźnię.

Opisywała mi ze szczegółami, jak mucha chciała ukraść sucharki, które ona właśnie jadła.

Pewnego popołudnia, gdy siedziałyśmy z nianią, gawędząc o tym i o owym, zaczął padać deszcz. Mały Królik wdrapała się na krzesło, żeby zobaczyć, jak deszcz kapie z futryny okna. Przez dłuższy czas spokojnie się temu przyglądała, po czym wyciągnęła nagle ramiona ku niebu i powiedziała:

— Przestań płakać! Dlaczego płaczesz? *Nao-mi-bi*, nie masz wstydu. — Zeskoczyła z krzesła i usiadła mi na kolanach. Zwróciła się do mnie: — W nocy, kiedy śpię, deszcz płacze w moim ciele. Mówię do niego: „Nie płacz. Nie można płakać”. Deszcz się złości i każe mi siusiać do łóżka.

*Nao-mi-bi.*

Bardzo tęskniła do Katherine.

Listonosz stał się moją obsesją. Przyjeżdżał traktorem raz na tydzień. Gdy wyczytywał nazwiska na paczkach i kopertach, pełna byłam nadziei, a potem rozczarowania. Miałam na

swoim koncie mnóstwo tych rozczarowań, lecz co tydzień przyświecało mi nikłe światełko nadziei. Po czterech miesiącach pobytu dostałam pierwszy list. Wysłała go do mnie przez Jima. Przełożył list do chińskiej koperty i przesłał pod moim adresem. Kiedy otwierałam kopertę, serce omal nie wyskoczyło mi z piersi.

— To jej pismo, dotykała tych kartek — mruzczałam pod nosem, nie zdając sobie z tego sprawy. Zaczęłam biec, żeby się zmęczyć do cna.

Położyłam się na wznak na polu i rozplakałam. Bez końca całowałam list.

— Katherine, Katherine, Katherine! — wołałam.

Pisała, że wysłała list do Jima, jak tylko wylądowała w Ameryce, żeby się przekonać, czy dojdzie. Z początku listy wracały z adnotacją: „Zwrot do nadawcy”. Ale ostatnio zaczęły się przebijać przez chiński mur. Przypuszczała, że jest to wynikiem coraz większych kontaktów handlowych między oboma krajami; niemożliwe, żeby chiński rząd kontrolował każdy prywatny list. Pisała, że wykłada na wydziale historii w kalifornijskim college'u i czuje się dobrze. Opowiedziała rodzinie i przyjaciołom o mnie i Małym Króliku; wierzy głęboko, że w końcu się spotkamy. Pytała, co robię. Ogromnie tęskni do mnie i Małego Królika.

Próbowałam jej odpisać, ale nie było to łatwe. O czym miałabym jej pisać? O życiu więźniarki, jakie wiodłam? O problemach ze stawami? O pęcherzach na dłoniach, krwawiących co noc? O tym, jak mnie boli sucha, łuszcząca się skóra? Że żywność ma smak piasku? Że załatwiam się wśród skał, jak kozioł górski?

Postanowiłam wreszcie napisać jej o Małym Króliku, o jej marzeniach i o tym, jak ładnie mówi. Wyobraziłam sobie Katherine, jak się cieszy, śmieje z radości. Jakże ja tęskniłam do jej śmiechu! Nie chciałam pisać o sobie, po co mam ją martwić? Dobrze zresztą wiedziała, jak wygląda życie w Słoniowych Polach.

Przepisałam ten list na czysty arkusik papieru i schowałam pod poduszkę.

Na kopercie podałam adres Jima. Nazajutrz przed pracą poszłam na pocztę. Urzędnik zapytał mnie, czy list jest pilny, bo tutaj opróżniają skrzynkę raz na miesiąc. Najbliższa skrzynka znajduje się sześć mil stąd, ale tam opróżniana jest co tydzień. Pobiełam niemal do tej najbliższej skrzynki i wrzuciłam list.

Niebawem nadeszła odpowiedź; Katherine napisała, że przez trzy dni nie posiadała się z radości. Wiadomość ode mnie obudziła ją z letargu — takie miała wrażenie. Pilnie obserwuje, jak zmienia się rola Chin w świecie. W Stanach Zjednoczonych, pisała, studiuje ponad pięćdziesiąt tysięcy Chińczyków; dowiadywała się, jak to sobie załatwili. „Nie piszesz mi o swoim życiu w Słoniowych Polach. Domyślam się, jak to wygląda.

Dzielę z tobą twój ból, tak samo jak dzielę z tobą swoją radość.



Codziennie myślę o tobie...".

Posłałam do roboty z listem Katherine na piersi. Dziś wybuchy dynamitu pobudzały moją wyobraźnię. Po raz pierwszy cieszył mnie niesamowity widok spadających po wybuchu milionów małych kamieni. Również po raz pierwszy nie obchodził mnie miesięczny raport Lao Guenera, według którego nasz oddział wyprodukował najlepsze skały do budowy dróg.

Nazwano nas „modelową drużyną roboczą” w Słoniowych Polach.

Któregoś wieczoru odwiedziłam Małego Królika, by jej powiedzieć o liście matki. Wytrzeszczyła oczy i ni stąd, ni zowąd dostała napadu złości.

Zrzuciła na podłogę miskę z ryżem i powiedziała, że kłamie. Matka zapomniała zabrać ją stąd, tak jak obiecała.

Chwyciłam ją mocno w ramiona. Nie mogłam znaleźć właściwych słów.

Znowu list do Katherine; napisałam, jak bardzo Mały Królik przeżywa rozczarowanie.

„Każdego ranka budzę się z myślą, że muszę zabrać do siebie Małego Królika — odpisała. — Nikt nigdy nie twierdził, że łatwo jest urodzić dziecko. Nikt nigdy nie rozdzielił mnie z moim dzieckiem”.

Minęły kolejne trzy miesiące. Ostatni list Katherine zawierał ważne wiadomości. Opowiedziała o mojej sytuacji dyrektorowi college'u i pokazała mu fotografie moich obrazów. College wyraził zgodę na włączenie mnie do programu zajęć sztuk pięknych i chętnie przyzna mi stypendium. „Teraz kolej na ciebie — pisała. — Musisz postarać się o zezwolenie na wyjazd dla siebie i Małego Królika. Dowiedz się, jak długo mogą trwać biurokratyczne zabiegi, i bądź przygotowana, że będą ci rzucać kłody pod nogi. Ja ze swojej strony trzymam rękę na pulsie. Obiecuj mi, że nie zaprzepaszysz szansy”.

Uderzyłam się pięścią w czoło, bo nie mogłam uwierzyć, że nie śnię, że to wszystko dzieje się naprawdę. Rozejrzałam się dokoła. Robotnicy, pokryci pyłem, wyglądali jak białe niedźwiedzie. Czyżby to był koniec mojego nieszczęścia? Całą noc nie zmrużyłam oka.

Napisałam do wszystkich znajomych z zapytaniem, jak dostać pozwolenie na wyjazd na studia do Ameryki. Jim poinformował mnie listownie, jak wygląda procedura. Duży Li i Mały Li też mi odpisali; udzielili mi kilku wskazówek i zachęcali do działania. Mały Ptaszek skontaktowała się z jednym ze swoich krewnych w Biurze Spraw Zagranicznych i przysłała mi wzór podania o paszport dla mnie i Małego Królika. Przepisałam podanie i zgodnie z radą Jima przedłożyłam je tutejszemu sekretarzowi partii.

Czekałam na odpowiedź Lao Guenera. Czekałam nieustannie, od przebudzenia do zaśnięcia. Ilekroć zapalałam lont dynamitu, odrzucałam go i pogrążałam się w myślach, aż współpracujący ze mną robotnik wrzasnął, żebym uciekała.

Wreszcie po dwóch tygodniach od dnia, w którym złożyłam podanie, Lao Guener wezwał mnie w czasie przerwy obiadowej do swego biura.

Wzięłam ze sobą spłowiała płócienną torbę, zawierającą dziesięć kartonów papierosów, które kupiłam za pieniądze Katherine.

Miałam szansę, by mu się przypochlebić i przekupić go. Nogi pode mną drżały. Próbowałam zachować spokój, chciałam sprawiać wrażenie osoby rozluźnionej i próbowałam nie myśleć, co się stanie, jeśli odrzuci moją prośbę.

Lao Guener siedział w kucki — jak sowa na gałęzi — na wąskiej ławce, przy zrobionym z pnia drzewa stole. Na połowie stołu piętrzyły się ku niebu pokryte grubą warstwą kurzu dzieła Mao. Lao Guener pił herbatę i palił fajkę. Wyglądał na

zmęczonego i wydaje się, że od dawna nie zażywał kąpieli. Niechlujny zarost, maoistowska kurtka, brudna, z plamami po tłuszczu. Gestem ręki kazał mi usiąść na sąsiedniej ławce.

Nerwowo przygryzałam wargi. Wszystko we mnie drżało. Lao Guener miał nade mną, nad moją przyszłością taką samą władzę jak pan Han. Czy aby nie jest dziś w złym humorze? Czy sądzi, że przysparzam mu kłopotów? Czy dobrze spał ostatniej nocy? Czy ponownie przeczytał moje dossier? Czy będzie mnie osądzał na podstawie raportów pana Hana, czy też, jak powiedział, ma własne oczy i tylko nimi zwykł się posługiwać. Moja praca w Słoniowych Polach była bez zarzutu — on sam chwalił mnie, że jestem dobrą robotnicą — ale czy wobec tego będzie chciał się pozbyć dobrej robotnicy? Czy listki tytoniu w jego fajce są wystarczająco suche, by pobudzić, a potem ukoić jego mózg? A może dostanie napadu kaszlu, co wprawi go w irytację?

Czułam się jak przestępca przed egzekucją. Moje życie zawisło na koniuszku języka Lao Guenera. Jedno słowo z jego ust, a głowa albo zaczniesz tańczyć na moich ramionach, albo spadnie z hukiem na podłogę.

Lao Guener chrząknął i splunął. Powiedział coś, czego nie dosłyszałam.

Widziałam jego zażółcone od herbaty zęby. Jeszcze mocniej przygryzałam wargi i całą uwagę skoncentrowałam na jego mięsistych ustach wydających chrapliwe dźwięki. Usłyszałam, że prosi mnie, bym wyjaśniła, o co mi chodzi w tym podaniu.

Rozpoczęłam długą, starannie przygotowaną mowę. Powiedziałam, że mój wyjazd na studia do Ameryki traktuję jako dowód wdzięczności wobec partii, która tyle dla mnie uczyniła dobrego. Po powrocie pomogę komunizmowi — dzięki wiedzy, jaką zdobędę — umocnić się w Chinach.

Lao Guener przerwał mi, wyraźnie zniecierpliwiony. Zapytał, czym ta Ameryka właściwie jest. Odetchnęłam. Nie będę musiała tłumaczyć, dlaczego wybrałam taki imperialistyczny kraj. Odparłam, że w Ameryce żyją różne narody i różne rasy, no i mnóstwo proletariuszy. Zapytał, gdzie leży Ameryka. Po drugiej stronie oceanu — wyjaśniłam. Moje odpowiedzi wciąż go nie zadowalały.

— Czy ta Ameryka leży blisko Albanii? — spytał. Pomyślałam sobie, że musi żywić przyjazne uczucia wobec albańskich komunistów, i usłyszałam wypowiedziane przez siebie słowa:

— Niezbyt daleko.

— Zamierzasz szerzyć w Ameryce idee rewolucji, przyczynić się do jej powstania? — Stuknął fajką o stół i wysypał nań popiół.

— Oczywiście. Jeśli tylko będę miała po temu okazję — rzekłam.

— O nie! Jako rewolucjonistka musisz szukać okazji, dążyć do tego, by rewolucja objęła cały kraj. Musisz być aktywna. — Opanowało go jakieś dziwne podniecenie. — Gdy byłem młodym żołnierzem, szerzyłem idee rewolucji wszędzie, od wsi do wsi, od portu do portu. Nic mnie nie mogło powstrzymać, nic! A dlaczego? Bo byłem aktywny, nieugięty.

Zapytałam, czy mnie wypuści.

— A niby czemu miałbym nie wypuścić? Nie widzę nic złego w tworzeniu podstaw rewolucji w Albanii.

— W Ameryce — wtrąciłam nieśmiało.

— Oczywiście, w Ameryce. Nieważne. Ważne natomiast jest to, żebyśmy robili co w naszej mocy, by powstawały na mapie czerwone kropki, prawda?

— Prawda — powtórzyłam za nim jak echo.

— A teraz powiedz, czego ode mnie oczekujesz. Zapytałam, czy mógłby napisać, że wyraża zgodę na mój wyjazd, i czy pozwoli mi na czasową nieobecność w pracy, ponieważ muszę zebrać stempelki od różnych rządowych instytucji. Skinął głową i powiedział, że wie, jak bujnie rozkwitła w mieście biurokracja.

— Mówiąc szczerze — rzekł — to nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego cała młodzież miejska wróciła do domów, a ciebie odesłano z powrotem tutaj.

Opowiedziałam o panu Hanie. Potrząsnął głową i oświadczył, że doskonale rozumie moją sytuację. Połowę pochodzących z miast robotników w Słoniowych Polach zesłano tu z podobnych powodów.

— W latach sześćdziesiątych byli kontrewolucjonistami; w siedemdziesiątych — reakcjonistami. Ciekawe, jak nazywają się teraz, w latach osiemdziesiątych. — Westchnął i

przypalił fajkę. — Pozostaje jeszcze kwestia opłaty za program edukacyjny, w jakim uczestniczyłaś w Słoniowych Polach, za tę wiedzę, jaką tu nabyłaś.

Było to dopominanie się o podarunek. Otworzyłam torbę i popchnęłam ją przez stół.

Prosił, żebym skomponowała pismo, które on podpisze, a mianowicie, że jestem dobrą towarzyszką i że on, Lao Guener, nie ma nic przeciwko zwolnieniu mnie.

Buddo w niebiosach, dzięki Ci. Katherine, módl się, żeby wszystko poszło dobrze. Nocą leżałam na zewnątrz namiotu, czcząc swoje pierwsze zwycięstwo. Gwiazdy świeciły jasnym blaskiem. Księżyc był tak blisko, na wyciągnięcie ręki. Panował przyjemny chłód. Czy ja przez to przebrnę? Wiatr zaszumiał mi w odpowiedzi.

Pisma potwierdzające opinię o mnie jako o dobrej towarzyszce wraz z podaniem o paszport wędrowały z miejsca na miejsce. Udałam się po pieczętkę do Dzielnicowego Biura Partii, do Miejskiego Biura Partii, do Okręgowego Biura Partii, do Prowincjonalnego Biura Partii i w końcu do Biura Partyjnej Edukacji Narodowej. Pismo dwukrotnie utknęło — za pierwszym razem argumentowano, że „brak pewnych dokumentów”, za drugim, że „zaplecze rodzinne wymaga ponownego sprawdzenia”.

Czekałam cierpliwie i z pokorą przyjmowałam comiesięczną kontrolę władz.

Minęły cztery miesiące. Podczas kolejnego przesłuchania zakomunikowano mi, że moje dokumenty zaginęły, ale wszystko wskazuje na to, „że niedługo się odnajdą”. Byłam przekonana, że koniec ze mną, nie może być inaczej. Mimo to znowu napisałam podanie.

Zdarzały się dni, podczas których miałam już serdecznie dość czekania.

Byłam kompletnie wykończona, straciłam wszelką nadzieję. Obawiałam się, że za sformułowaniem „zaginęły dokumenty” kryje się coś ważniejszego. Chińska metoda karania jest dość skomplikowana.

Pewnego zimowego listopadowego dnia wróciłam po pracy do namiotu ledwo żywa ze zmęczenia i dostrzegłam na moim kocu przybrudzoną kopertę. Wzięłam ją do ręki. Otwierając kopertę, wstrzymałam oddech.

Padłam na kolana i wyciągnęłam z niej małą brązową książeczkę w folii.

Mój paszport.

W nocy tańczyłam dookoła namiotu, trzymając w ręku kopertę. Zdaniem moich współmieszkanek to duch zamieszkał w moim ciele i wyczyniał takie czarnoksięskie harce.

Następnym moim zadaniem było skontaktowanie się z Biurem Spraw Zagranicznych w Szanghaju. Łączyłam się z siedmioma centralami telefonicznymi i w końcu dotarłam do potrzebnego mi wydziału.

Załatwiałam te telefony w mieście odległym o kilka mil od Słoniowych Pól. Szłam dwie godziny do tego miasteczka. Powiedziano mi, że paszport Małego Królika jest już w drodze.

Popędziłam do niani, żeby zabrać dziecko, ale ku mojemu przerażeniu Małego Królika nie było. Niania powiedziała, że przyjechali po nią ludzie z sierocińca. Osłupiałam. Miałam w głowie kompletną pustkę. Co się dzieje, u licha? Pobiegłam na stację autobusową, lecz ostatni autobus właśnie odjechał. Szłam do sierocińca całą noc. Na miejscu byłam o piątej rano. Cała zgrzana. Ubranie przesiąkło potem.

Oznajmiono mi, że Mały Królik znajduje się w izolatce. Kierowniczką powiedziała, że polecono jej zabrać Małego Królika, bo dziecko ma być adoptowane przez pewną tajwańską rodzinę. Przybrani rodzice są już powiadomieni o pozytywnej decyzji władz.

— Dlaczego?! — zawołałam, ledwo dysząc.

— Dlaczego? — powtórzyła z nutą złośliwości w głosie. — Siebie o to zapytaj.

— Nie rozumiem.

Patrzyła mi prosto w oczy. Wskazując palcem na koniuszek mego nosa, rzekła: — Sfałszowałaś dokumenty, prawda?

Milczałam, co oznaczało przyznanie się do przestępstwa.

— Zbierasz to, co posiałaś.

— Ale przecież Małego Królika przyznano Katherine — podkreśliłam z uporem.

— Mówisz tak, jakbyś nie przeżyła rewolucji kulturalnej — zauważyła z sarkazmem.

— Doniosłaś na mnie?

— Nie — odparła, pochylając się nad plikiem dokumentów.

Rzuciła je na biurko i zaczęła przeglądać. — Przesłuchiwał mnie sekretarz z samej góry. Ale kryłam cię, mówiąc, że nie mam pojęcia, dlaczego do tej sprawy wkradł się taki bałagan. Widocznie któryś z moich pracowników pomieszał dokumenty Małego Królika z dokumentami innego dziecka. W każdym razie los Małego Królika jest przesądzony i nic już w tej sprawie nie mogę zrobić.

Chodziłam tam i z powrotem po podwórzu sierocińca. Kierownicze na pewno było przykro, bo przecież przyjęła ode mnie „dotację”. Zapytałam, czy mogłaby opóźnić o kilka dni przyjazd owego tajwańskiego małżeństwa; nie wiedziałam zresztą, czy ci Tajwańczycy naprawdę istnieją, czy to wszystko nie jest czystym wymysłem, by pokrzyżować mi plany. Powiedziała, że jeśli chodzi o odłożenie ich przyjazdu, nie ma sprawy, ponieważ w sierocińcu panuje zakaźna choroba. Objawia się wysoką gorączką i może w pewnych okolicznościach zaatakować mózg.

Większość dzieci nie została zaszczepiona i wysoka temperatura zwała ją z nóg.

— Nie możemy przyszłym rodzicom pokazywać chorych dzieci.

Poczekamy, aż poczują się lepiej. Nasz sierociniec nie jest rajem.

Dziecko, które nie ma wrodzonej odporności, umrze. Jak widzisz, nasze możliwości są mizerne. Jeden opiekun na dwanaścioro dzieci. A codziennie znajdujemy pod drzwiami kilkoro podrzutków. Przeważnie dziewczynki oraz niepełnosprawni chłopcy. Upośledzeni fizycznie albo umysłowo... Nie dajemy rady.

— Czy Mały Królik jest zdrowa? — zapytałam.

— Sprowadziliśmy ją wczoraj. Wygląda na to, że nic jej nie dolega.

Chciałam zobaczyć Małego Królika. Zażądałam, by mi to umożliwiono.

Kierowniczką wzięła klucze i raptem zmieniła zdanie.

— Bardzo mi przykro, ale nie chcę stracić pracy.

Ledwo żywa ze zmęczenia pobiegłam na stację kolejową. Stacja przypominała zagrodę dla zwierząt z poutykaną wszędzie słomą.

Dowiedziałam się od konduktora, że przed paroma dniami wykupiono wszystkie bilety. Zapytałam o miejsce w wagonie towarowym. Na widok mego upačanego błotem ubrania zawahał się i spojrzał na mnie ze współczuciem. Chciałby mi pomóc, powiedział, ale to jest wbrew przepisom, bo w wagonie przewozi się zwierzęta, nie ludzi. Wcisnęłam mu do ręki pięćdziesiąt juanów i ukrył mnie w świńskim wagonie.

O szóstej rano nastąpił odjazd — jechałam razem ze świniami. Około południa byłam w Szanghaju. Poszłam prosto do amerykańskiego konsulatu. Zdawałam sobie sprawę, że wyglądam jak wariatka; nic dziwnego, że strażnik położył rękę na broni. Pokazałam mu paszport i bezużyteczne już zaświadczenie o adopcji. Wpuścił mnie do środka.

Wyszedł do mnie zastępca konsula generalnego i podczas gdy ja opowiadałam mu o powstałej sytuacji, on przeglądał dokładnie dokument. Kazał mi czekać i wyszedł do swojego gabinetu. Słyszałam, że dokądś dzwoni. Gdy znowu się pojawił, poprosił, żebym nazajutrz zgłosiła się do konsulatu.

Nie mogłam spać. Wciąż czułam smród świń z pociągu. Rodzice czuwali przy mnie. Dopytywali się, kiedy wyjeżdżam do Ameryki, bo chcą poczynić pewne przygotowania. Wrzasnęłam na nich: niech idą spać i dadzą mi święty spokój! Dodałam tylko, że mogę w ogóle nie wyjechać.

Nerwy miałam zszarpane, a myśli krążyły wokół jednego tematu. Jak mogłabym wyjechać bez Małego Królika? Jak powiem Katherine, że Mały Królik ma teraz innych rodziców? Siedziałam przy oknie i czekałam, aż zacznie świtać.

O wpół do ósmej byłam pierwsza w kolejce czekających przed konsulatem.

Dopuszczono mnie przed oblicze samego konsula generalnego; poprosił o wyjaśnienie, w jaki sposób Katherine adoptowała Małego Królika.

Powiedziałam wszystko, co wiedziałam, łącznie z tym, że sfałszowałam dokumenty, by móc umieścić Małego Królika u niani, w pobliżu Słoniowych Pól; chciałam w imieniu Katherine czuwać nad dzieckiem.

Konsul wziął słuchawkę i zaczął wykręcać numer.

Serce waliło mi jak młotem i dziwnie się czułam, rozmawiając po angielsku z amerykańskim dyplomatą. Zadzwoił telefon na jego biurku i konsul zapytał mnie, czy chcę rozmawiać z Katherine.

Nie ruszyłam się z miejsca. Niemożliwe, pewno źle go zrozumiałam.

Powtórzył pytanie i podał mi słuchawkę.

Wstałam, nogi się pode mną ugięły. Usłyszałam głos: „Halo, halo”. To był głos Katherine.

Zrelacjonowałam jej zwięźle, co się wydarzyło, ale nie mogłam wyjaśnić sprawy fałszerstwa. Bałam się, że telefon jest na podsłuchu. Powiedziała, żebym się nie martwiła; konsul przyśle jej kopię dokumentu o adopcji, a ona nawiąże kontakt z odpowiednimi władzami w Ameryce.

— Tylko działaj szybko, Katherine — powiedziałam. — To są Chiny, w każdej chwili sprawy mogą przybrać całkiem inny obrót...

— Wiem o tym doskonale, Zebro — rzekła. — Teraz jedź do sierocińca i czuwaj nad Małym Królikiem. Wkrótce o mnie usłyszysz.

Wróciłam do Słoniowych Pól. Wszystkie swoje rzeczy zapakowałam do plastikowej torby. I znowu wyjechałam. Traktorem do sierocińca — chciałam być razem z Małym Królikiem.

Kierowniczką oznajmiła mi, że sprawa Małego Królika „jest na wokandzie”.

Co to znaczy „jest na wokandzie”? Czy chodzi tu o moje fałszerstwo, czy prowadzą dochodzenie w tej kwestii? Czy może jest to dowodem, że konsul amerykański przystąpił do działania? A może władze zastosowały taką metodę: Mały Królik zniknie i w ten sposób nie będzie już sprawy Katherine.

Cały dzień czekałam przed biurem kierowniczką — błagałam ją i groziłam, chciałam za wszelką cenę zobaczyć Małego Królika; liczyłam na to, że w końcu będzie miała mnie dość i da za wygraną. Nocowałam w wiejskiej słomianej szopie. Skończyły mi się pieniądze Katherine, co oznaczało, że będę miała problemy finansowe.

Po dwóch dniach przekupiłam portiera, który powiedział mi, że Mały Królik zaraziła się i ma wysoką gorączkę. Przewieziono ją właśnie do szpitala.

Pobiegłam do szpitala. Sala była pełna chorych dzieci. Żadnych lekarzy ani pielęgniarek. Łóżka stały rzędami. Dzieci wyglądały jak półżywe.

Mały Królik leżała pod kropłówką. Twarz miała bez kropelki krwi.

Przyłożyłam dłoń do jej ust — oddech był ledwo wyczuwalny.

W samo południe weszła pielęgniarka z dwoma koszami i zmieniła dzieciom zimne okłady. Zniknęła równie szybko, jak się pojawiła.

Nikt tych dzieci nie odwiedzał.

Mały Królik uchyliła powieki. Poznała mnie, ale nie miała siły na wypowiedzenie słowa. Oczy czerwone, jak u prawdziwego królika; usta spierzchnięte niczym popękana skórka pomidora. Była zbyt słaba, nie potrafiła wykonać najmniejszego gestu.

Przed wieczorem przyszedł doktor i powiedział, że od chwili przybycia do szpitala Mały Królik to traci, to odzyskuje przytomność.

— Zobaczmy — rzekł.

Czuwałam przy niej i kiedy mogła coś przełknąć, karmiłam ją kleikiem.

Chore, leżące bez ruchu dzieci wpatrywały się tępym wzrokiem w sufit.

Wstydziłam się, widząc wyraz ich oczu — bezradny, bez krzty nadziei — że nie jestem w stanie im pomóc. Nie rozumiały, dlaczego muszą tak cierpieć, lecz dostrzegłam, że z pokorą przyjmują swój los.

Codziennie jechałam traktorem ze szpitala na pocztę w miasteczku, oczekując niecierpliwie listu od Katherine. Pewnego deszczowego popołudnia kierowca, skręcając na wąski most, stracił kontrolę nad pojazdem. Oboje wylądowaliśmy w rzece. Spadając, myślałam w ułamku sekundy o moim paszporcie zawiniętym w woskowany papier w wewnętrznej kieszeni żakietu.

Wypłynąwszy na powierzchnię i stwierdziwszy, że paszport jest w porządku, nie czułam nawet żadnego, spowodowanego wypadkiem bólu.

Pomogłam tutejszym wieśniakom wydobyć kierowcę z rzeki. Miał złamaną nogę. Mogło to równie dobrze przydarzyć się mnie, pomyślałam.

Po tygodniowym pobycie w szpitalu stan Małego Królika pogorszył się.

Szpital był prymitywnie wyposażony — łóżka bambusowe, ręczniki koloru błota, brudne podłogi. Mały Królik przeważnie spała.

Czas włókł się w nieskończoność. Któregoś ranka szłam brzegiem rzeki — panowała gęsta mgła. I nagle uświadomiłam sobie, że doszłam w życiu do takiego momentu, w którym



nie wolno mi się poddawać, nawet jeśli mój wyjazd do Ameryki spali na panewce. Nie poddam się. I tylko tego będę się od siebie domagać. Dzięki owemu odkryciu poczułam się szczęśliwa. Wróciwszy do szpitala, spojrzałam w lustro wiszące w poczekalni. Roześmiałam się do swego odbicia. Typowa chińska wieśniaczka z północy kraju. Szare jak kurz włosy, sterczące niczym jakaś dzika roślina. Ciemnobrązowa cera, wydatne kości policzkowe przypominające gotowane na parze bułki.

Zapadnięte oczy jak dwie stykające się pyszczkami rybki. Nos jak kartofel. Nie wyglądała na zalęknioną, raczej trochę oszołomioną, ale pewną siebie i dumną.

Po dziesięciu dniach, wróciwszy z Szanghaju, dostałam zawiadomienie o depeszy. Okazałam paszport urzędnikowi na poczcie, a on wręczył mi zieloną kopertę. Bałam się, że zawiera złe wiadomości. Może Katherine zawiadamia mnie, że jest już tym wszystkim zmęczona, rezygnuje z dalszych starań i niech się dzieje, co chce... Rozerwałam kopertę.

Wyjęłam telegram. Litery widziałam jak przez mgłę, ale powoli zaczęłam je rozróżniać:

*Członek Kongresu USA przeprowadził rozmowy w Beijingu. Sprawa załatwiona. Wizy, dokumenty imigracyjne i bilety są do odebrania w konsulacie. Będę czekała na ciebie i dziecko na lotnisku. Pozdrawiam. K.*

Poczułam coś bardzo dziwnego, jakąś wypełniającą mnie ciszę. Tajałam.

Mały Królik powoli otworzyła oczy. Spojrzała na mnie. Dotykając małymi paluszkami mego policzka, zapytała: — *Zhe-shi-shi-me?* Co to jest? Pomachałam depeszą.

— Mama? Skinęłam głową.

— Czy mama przyjedzie po mnie?

Otworzyła szeroko te swoje czerwone oczy; patrząc na mnie, ściągnęła brwi. Czekwała na odpowiedź. Zanim zdołałam otworzyć usta, zemdląła.

Ujęłam jej małe purpurowosine rączki, pokłute igłami. Elektrokardiograf wykazywał nieregularne bicie serca. Wszedł czerwoniczy doktor i zbadał jej puls.

— Pani jest matką? — zapytał ze wzrokiem utkwionym w zegarek.

— Tak.

— Dojdzie do siebie. Dzielnie walczy o życie. Moim zdaniem pokona chorobę.

Na korytarzu siostry niosły na noszach małe ciało przykryte prześcieradłem.

Nikt nie płakał, słychać było tylko kroki na betonowej posadzce.

— Jutro — powiedział doktor i odchodząc, uśmiechnął się do mnie.

Łzy dławiły mnie, nie mogłam wykrztusić słowa. Wyjęłam walkmana Katherine i nałożyłam na uszy słuchawki.